

Lisa Bingham

Kiedy nadciaga noc

OSOBY

Elizabeth Boothe - pracuje w branży reklamowej. Nienawidzi samolotów i panicznie boi się latać nimi. Nie sądziła, że lot do Denver zmusi ją do tego, by zmierzyła się ze swoim strachem, a także z uczuciem do mężczyzny, o którym nigdy nie zapomniała.

Seth Brody - pilot. Rutynowy czarter z Salt Lake City do Denver dał mu niespodziewaną okazję do konfrontacji z byłą żoną i błędami przeszłości.

Frankie Webb - psychopata. Skazany na śmierć seryjny morderca, który nie ma już nic do stracenia i zrobi wszystko, żeby skorzystać z nadarzającej się okazji i uciec pilnującym go agentom.

Stan Kowalski I Brent Caldwell - agenci FBI. Obaj poświęcili całe życie służbie w FBI i nie zamierzają dopuścić do tego, by przestępca, którego mają przewieźć z więzienia na salę sądową, uciekł im w czasie podróży.

Willa Hawkes - samotna bibliotekarka. Postanowiła, że osobiście dostarczy cenne książki i rękopisy na wystawę starodruków organizowaną w jednym z muzeów w Denver.

Michael Nealy - naukowiec i outsider. Podejmuje podróż do Aruby, gdzie pragnie rozpocząć nowe życie.

Peter Walsh - bankowiec. Jego bank ma zostać wystawiony na licytację, on sam ucieka przed finansowymi kłopotami i pragnie jedynie zyskać trochę czasu, by móc wreszcie zająć się sprawami osobistymi.

Ernst Gallegher - biznesmen. Ma niewiele czasu i cierpliwości do czegokolwiek poza własnymi sprawami.

Richard Brummel - sympatyczny złodziejasek. Chwali się, że nazywają go „Lepki Ricky”. Nie wiadomo tylko, czy pożyje na tyle długo, żeby się nacieszyć swoim ostatnim złodziejskim łupem.

PROLOG

- SOS, SOS, SOS!

Te słowa przedarły się do świadomości Elizabeth, rozerwały otulającą ją ciepłą bańkę snu i raptownie obudziły.

Coś było nie tak.

Mimo że część jej istoty błagała o powrót do rozkosznej nieświadomości, Elizabeth zamrugała i usiłowała się skoncentrować. Niepewnie starała się uświadomić sobie, co takiego obudziło ją z głębokiego snu.

- SOS, SOS, SOS!

Ledwie dotarło do niej znaczenie tych słów wypowiedzianych przez pilota, kiedy nagle jakaś siła rzuciła nią do przodu i poczuła na piersi mocny ucisk pasa bezpieczeństwa. Z ust Elizabeth wydarł się okrzyk i automatycznie wysunęła przed siebie ręce, opierając się o chłodną przednią szybę. Stopniowo zaczynała dostrzegać otoczenie, mimo że jej mózg nie funkcjonował jeszcze całkiem sprawnie.

Samolot. Leciała samolotem.

A ten samolot spadał.

Panika podeszła Elizabeth do gardła, niemalże ją dusząc. Cały czas czuła silne dławienie w krtani. Dlaczego zasnęła? Gdyby nie spała, mogłaby...

Co by mogła? Nie była pilotem. I w dodatku bardzo nie lubiła latać.

- Boże jedyny, tracimy panowanie nad sterami! - wykrzyknął ktoś za nią.

Elizabeth zerknęła przez ramię i zlokalizowała właścicielkę głosu, starszą kobietę o krótko obciętych, siwych włosach. Kobieta ścisnęła kurczowo pas, a rysy jej twarzy były wykrzywione ze strachu.

Elizabeth знаła z widzenia tę kobietę. Chyba nawet rozmawiała z nią.

Na siedzeniu nieopodal młody mężczyzna o twarzy chłopca ścisnął swój plecak. Przenikliwe, szarzielone oczy spoglądały z bladej jak płótno twarzy. Chłopiec ten najprawdopodobniej nie zaznał jeszcze prawdziwego strachu. Po drugiej stronie przejścia inny mężczyzna sięgał po papierową torbę lotniczą, a kiedy to robił, Elizabeth zauważyła błysk pistoletu pod jego pachą.

Starsza pani. Chłopiec. Agent FBI.

Myśli o tych osobach wirowały w jej głowie, nie chcąc jednak ułożyć się w jakąś logiczną całość. Znała tych ludzi. Wzięła jednak coś, przez co była śpiąca i oszołomiona. Tabletkę. .. może kilka tabletek?

Dlaczego nie potrafiła się skupić?

Samolot znowu zanurkował, a ten gwałtowny ruch sprawił, że Elizabeth mocniej oparła jedną rękę o szybę, drugą zaś o fotel.

Potrząsając głową, żeby oczyścić umysł, usiłowała zignorować to, co się działo wokół niej. To na pewno był sen. Koszmar...

- SOS, do cholery!

Ten krzyk pilota sprawił, że spojrzała na niego. Nagle wszystko, co wydarzyło się do tego momentu, stało się nieznośnie jasne.

Pilotem był Seth Brody.

Seth Brody.

Mężczyzna, którego poślubiła po niespełna tygodniu znajomości. Mężczyzna, którego zostawiła po niespełna miesiącu. Człowiek, którego unikała od ponad trzech lat.

Seth Brody pilotował samolot.

I lada chwila mieli się rozbić.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Salt Lake City, Utah Wcześniej tego popołudnia

- Posłuchaj, Paul - powiedziała Elizabeth Boothe do komórki, przerywając kazanie swojego pracodawcy. - To nie moja wina, że Greg Russell nie pojawił się dzisiaj na naszym spotkaniu. Miał opóźnienie w Toronto. Dzwonił rano z Kanady, bardzo wylewnie przeproszał i oświadczył, że z pewnością przełoży nasze spotkanie na przyszły tydzień.

- Niech to diabli, Elizabeth - westchnął Paul Burbank. - Mówiłem ci przecież, żebyś wysłała któregoś ze swoich podwładnych na rozmowy z Russellem. Potrzebowałem cię w biurze, a nie w jakimś zapomnianym przez Boga zakątku Idaho.

- Utah - poprawiła go.

- Wszystko jedno. Chciałem, żebyś była tutaj i dokończyła pracę nad kontraktem z Allied Foods.

- Już o tym rozmawialiśmy, Paul. - Elizabeth skrzywiła się z niesmakiem. - Greg Russell proponuje nam wielomilionowy kontrakt...

- Ale tylko wtedy, gdy zdołasz go kiedykolwiek przyszpilić i porozmawiać.

- Po to przyjechałam do Utah.

- Ale Allied Foods...

Elizabeth westchnęła, sięgając po olbrzymi skórzany neseser, który służył jej jednocześnie za aktówkę i torbę. Leżał obok na siedzeniu taksówki i musiała użyć sporo siły, aby jedną ręką przyciągnąć go i położyć sobie na kolanach.

Pierwotnie zaplanowano prezentację Allied Foods na następny tydzień, ale kiedy pojawiły się plotki o planach konkurencji, Paul przyspieszył termin. Dlaczego jednak nagle uznał, że powinna być w Nowym Jorku, żeby dopracować szczegóły? Podobno to on zajmował się tym projektem. Mimo że zostawiła mu szczegółowe notatki, plany i tabele, chciał mieć ją u swego boku, żeby odpowiadała na te wszystkie pytania, na które on nie potrafił odpowiedzieć. Od początku przedstawiał jej pomysł jako swój własny...

- Paul - odezwała się ze znużeniem. - Obiecuję, że zrobię wszystko, żeby pojawić się w Nowym Jorku jutro do południa. - I w myślach dodała: Zrobić wszystko oznaczało niestety zarezerwowanie miejsca na lot czarterowy.

Wytarła wilgotne dłonie o grubą wełnę płaszcza. Już dawno temu przysięgła sobie, że nigdy nie będzie latała czarterami. Bez problemu potrafiła się przyznać, że należy do grupy tych przestraszonych pasażerów, którzy wolą duże samoloty, pierwszą klasę, podwójną dawkę środka przeciwwymiotnego i mocny drink. W tej kolejności.

Nie lubiła latać.

Nigdy za tym nie przepadała, mimo że jej były mąż - znawca historii wojen i samolotów bojowych - był pilotem i dorabiał do pensji wykładowcy na Uniwersytecie w Nowym Jorku, latając na krajowych pokazach. Latał odnowionymi samolotami i strzelał z odnowionych działek, żeby zabawiać zdumioną publiczność, zbyt zajęta rozrywką, aby uświadomić sobie, że kiedy piloci wzbijali się w powietrze, narażali swoje życie na niebezpieczeństwo.

Na to wspomnienie poczuła skurcz w żołądku - a także strach, towarzyszący jej za każdym razem, kiedy zbliżała się do lotniska. Elizabeth przyłożyła telefon do lewego ucha. Prawą wolną ręką zaczęła nieuważnie wyrzucać z nesesera notatnik, kosmetyczkę, okulary do czytania i czasopisma. Szukała małego metalowego pudełka, w którym znajdowały się jej tabletki przeciwwymiotne.

- O, są! - sapnęła, gdy znalazła pudełko pod ostatnim numerem „Wall Street Journal”.

- Mówiłaś coś? - spytał z irytacją Paul.

- Nie. Mów dalej.

Szczerze mówiąc, nie pamiętała już, na co przed chwilą uskarżał się Paul - i nie zwracała sobie głowy słuchaniem, kiedy znowu zaczął mówić. Wytrząsnęła trzy tabletki na dłoń i połknęła je, popijając butelkowaną wodą, o której nigdy nie zapomniała podczas podróży. Następnie pomyślała o rozpadającym się samolocie - jakże innym od 747 - i połknęła jeszcze dwie. Przez cały ten czas Paul Burbank, dyrektor naczelny Radon Advertising, brzęczał w jej uchu jak irytująca osa.

Szybciej, szybciej, pospieszała w duchu kierowcę taksówki.

Kiedy Greg Russell zadzwonił z Kanady, żeby wytłumaczyć swoje opóźnienie, Elizabeth natychmiast zatelefonowała do biura podróży, mając nadzieję na szybszy powrót do Nowego Jorku. Kiepska pogoda w stanach Środkowego Zachodu i lądowanie awaryjne samolotu na jednym z głównych pasów startowych międzynarodowego lotniska w Salt Lake City sprawiły jednak, że

dziesiątki lotów zostało odwołanych lub opóźnionych. Jediną szansą na opuszczenie tego miejsca przed nadejściem poranka był lot czarterowy z miejskiego lotniska Million - Air na rogatkach Salt Lake City. Mogła stąd polecieć do Denver, a następnie złapać jakieś połączenie do Nowego Jorku.

Samolot odlatywał o szesnastej dwadzieścia pięć.

Elizabeth spojrzała na zegarek. Piętnaście po czwartej. Przecież piętnaście po czwartej wychodziła z hotelu... Nie, to chyba była trzecia czterdzieści pięć... Spanikowana, przyjrzała się cieniom zakradającym się do taksówki, zastanawiając się, czy zegarek chodzi prawidłowo. Czyżby zapomniała go nakręcić? Czy już zdążyła spóźnić się na swój samolot?

Zmarszczyła brwi, postukała palcem w szkiełko i przyłożyła zegarek do ucha. Miarowe tykanie starego czasomierza matki upewniło ją, że godzina jest właściwa. Mimo szybko zapadającej ciemności w zasypanym śniegiem mieście do wieczora nadal było daleko.

Elizabeth pochyliła się i wyjrzała przez ubłocone okno taksówki. W duszy zaczęła modlić się, żeby zadymka ze Środkowego Zachodu nie dotarła aż tutaj. Jeśli pogoda jeszcze się pogorszy, komunikacja powietrzna praktycznie przestanie funkcjonować.

Zadrzała, kiedy zauważyła ciężkie chmury zbierające się na niebie. Stanowiły szare tło dla surowego górskiego krajobrazu. Pasma mgły wisiały nad doliną niczym rozczapierzone palce. Popioły. Zupełnie, jak gdyby krajobraz został zasypany popiołami.

Ta niesamowita ciemność nie była spowodowana jedynie ołowianymi chmurami. Tu, w górach, noc nadciągała szybko. Kiedy niezwykle zmierzch łączył się ze zjawiskiem powodowanym przez coś, co miejscowi nazywali efektem jeziora, rezultat faktycznie mógł wywołać klaustrofobię. Zwłaszcza w kimś, kto miał odlecieć z tego miejsca samolotem nie większym od starego buicka.

- Czy Russell nie mógł powiedzieć ci dwa dni wcześniej, że nie spotka się z tobą, jak to zaplanowaliście? - dopytywał się Paul.

Ponieważ zadał bezpośrednie pytanie, nie miała wyjścia, musiała odpowiedzieć.

- Nie sądzę, żeby Russell cokolwiek na ten temat wiedział do chwili, gdy go powiadomiono, że jego ostatni transport stoi na cle.

Ku nieopisanej uldze Elizabeth światła miejskiego tomiska wyłoniły się z mgły.

- Posłuchaj, Paul, muszę kończyć - powiedziała szybko, chwytając się pierwszej lepszej wymówki, żeby przerwać rozmowę. - Mam tylko pięć minut do odlotu.

- Ale, Elizabeth...

- Porozmawiamy jutro - stwierdziła stanowczo, wcisnęła przycisk kończący połączenie i wrzuciła komórkę do nesesera. Szybko włożyła tam resztę swoich rzeczy, które wcześniej wyrzuciła na tylne siedzenie taksówki.

Zerknęła na licznik przymocowany do tablicy rozdzielczej i wręczyła kierowcy banknot pięćdziesięciodolarowy. Auto zatrzymało się przed długim, drewnianym budynkiem. Napis nad wejściem głosił: Biuro Czarterowe - Zachodnie Niebo.

Ledwie ucichł pisk opon na zabłoconej jezdni, Elizabeth otworzyła drzwi, wyskoczyła z taksówki i pobiegła na terminal, dźwigając swoje bagaże - skórzaną walizkę i neseser.

- Ej, proszę pani! - zawołał kierowca taksówki i zjechał na krawężnik. - Płaci pani tylko trzynaście dolców!

- Nie trzeba reszty! Proszę ją zatrzymać! - odkrzyknęła, przebiegając przez rozsuwane drzwi.

Przy biurku stojącym w głębi pomieszczenia znajdował się ten sam napis, który widniał nad wejściem do budynku, więc Elizabeth ruszyła w tamtym kierunku. Poczowała ucisk w żołądku, gdy zobaczyła numer swojego lotu wypisany na tablicy, ale w pobliżu nikogo nie było.

Czyżby się spóźniła? Czy jej samolot już odleciał?

Dysząc z wysiłku spowodowanego dźwiganiem bagaży i biegiem na wysokich obcasach, stanęła przed biurkiem, za którym zauważyła czyjeś zgięte plecy i w duchu zmówiła dziękczynną modlitwę.

- Przepraszam... może mi pan powiedzieć... czy lot... do...

Urywane słowa z trudem wydostawały się z jej ust. Zanim jednak zdążyła otrząsnąć się ze słabości spowodowanej tygodniem nieregularnych posiłków, wielu przebytych lotów, związanych z tym opóźnień i sporych dawek tabletek przeciwwymiotnych, mężczyzna podniósł głowę i spojrzał na nią.

Poczowała, jak jej ciało zmienia się w blok lodu, kiedy tak patrzyła w tę dobrze sobie znaną twarz.

- To ty? - wyszeptała ochryple.

I stała tak, zupełnie jakby czas się zatrzymał, a wysoki, szczupły mężczyzna wpatrywał się w nią, jak gdyby dostrzegł zjawę. Wydawało się, że wszystko wokół toczy się w zwolnionym tempie.

Seth Brody.

Jej były mąż.

Patrzyła z przerażeniem, jak Seth wyprostował się i znów pochylił nad biurkiem. Jego oczy zwięzły się, a usta zacisnęły w prostą, bezwzględną kreskę. Następnie odłożył teczkę z dokumentami, którą trzymał w dłoni, i wyszedł zza biurka.

Przy każdym jego kroku puls Elizabeth przyspieszał, a serce uderzało coraz mocniej.

Minęło już tyle czasu, odkąd ostatni raz stała tak blisko niego; zdołała przekonać samą siebie, że już nigdy więcej go nie zobaczy. Jednakże w tej chwili zmuszona była do konfrontacji z tym człowiekiem, którego tak starannie unikała przez ostatnie lata.

- Elizabeth?

Mimo że Seth ledwie wyszeptał jej imię, kryło się w tym coś więcej niż powitanie. W jego głosie brzmiała pretensja, niedowierzenie i żal.

Elizabeth z całych sił zacisnęła powieki i modliła się o spokój. Nawet w najśmielszych marzeniach nie oczekiwała, że spotka tu Seta. Ot, tak sobie, przez zwykły przypadek? To niemożliwe! Może nie powinnam była łykać aż pięciu tabletek, pomyślała. Z pewnością to jakaś halucynacja spowodowana przedawkowaniem medykamentu. Kiedy jednak odważyła się spojrzeć raz jeszcze, stwierdziła, że Seth jest najzupełniej realny.

Podszedł bliżej, przytłaczając ją, niemalże odbierając jej powietrze.

- Elizabeth? - szepnął.

Bez ostrzeżenia jego ręce wśliznęły się w jej włosy, złączyły się na jej karku i pociągnęły ku niemu. I nagle ją pocałował.

Oczy Elizabeth zamknęły się, gdy zalała ją fala rozkoszy. Poczowała wszechogarniające pożądanie. Seth zawsze wzbudzał w niej takie reakcje. W przeszłości wystarczyło, że tylko na nią spojrzał, a robiło się jej słabo. A gdy ją dotykał... Po prostu stawała się niewolnicą swego pana.

Choć nie chciała się do tego przyznać, było jej bardzo dobrze z Sethem. Przy nim czuła się żywa, silna, kobieca.

Nie zważając na konsekwencje, Elizabeth przysunęła się bliżej i przywarła do byłego męża, by raz jeszcze doświadczyć tej rozkoszy. Choć raz.

Kiedy się od niej oderwał, walcząc o oddech, Elizabeth jęknęła, po czym zakryła drżące wargi dłońmi. Popatrzyła na Seta niepewnie i zobaczyła, jak wyraz pragnienia na jego twarzy zastąpiła niechęć...

Na myśl o przeszłości.

Ten człowiek był kiedyś jej mężem. Ale to Elizabeth odeszła. Elizabeth zrezygnowała z ich związku.

Teraz oderwała się od niego, wiedząc, że jeśli znowu pozwoli na to, by wziął ją w ramiona, choćby na kilka sekund, zapomni o wszystkim, co sprawiło, że odeszła od Seta Brody'ego. Zapomni o tym, co osiągnęła przez ubiegłe lata, o odwadze, którą zyskała, i o swoich sukcesach.

Spojrzała na swoje bagaże. Porzucone, w nieładzie leżały na podłodze. Pochyliła się i próbowała porządnie ustawić obok siebie walizkę i ciężki neseser. Drżały jej dłonie, przez co to proste zadanie stało się niemal niemożliwie do wykonania. Uklękła obok walizki, bo nagle poczuła się tak, jak gdyby wjeżdżała na szczyt jakiejś olbrzymiej górskiej kolejki. Kręciło się jej w głowie. Wydarzenia i zmysłowe doznania sprawiły, że emocje wymknęły się spod kontroli i nie miała pojęcia, kiedy powróci spokój i opanowanie.

- Panie i panowie, lot 356 do Denver opóźni się o dwadzieścia minut, bo tyle trzeba czasu, aby pług mógł oczyścić pas startowy - oznajmił przez głośniki kobiecy głos. - Mogą państwo zająć miejsca w samolocie albo odpocząć na terminalu. Odprawa zacznie się o szesnastej trzydzieści pięć.

Elizabeth zerknęła na pulchną kobietę w średnim wieku, która stała nieopodal prowadzących na zewnątrz metalowych drzwi. Kobieta uniosła rękę i machała do tych pasażerów, którzy chcieli już wejść na pokład samolotu, gestem dłoni sygnalizując im, aby poszli za nią.

Elizabeth pomyślała, że też musi już iść.

Musi odejść.

Uciec.

Choć bardzo pragnęła rzucić się do ucieczki, nie mogła zrobić najmniejszego ruchu. Nie mogła podnieść się z kolan. Przez długie sekundy patrzyła na czubki wielkich butów Setna.

W zasięgu jej wzroku pojawiła się szeroka męska dłoń i zanim zdążyła zareagować, Seth ujął ją za ramię i pomógł wstać z klęczek.

Rozum nakazywał jej rzucić mu niedbałe „do widzenia” i pośpieszyć z innymi na pokład samolotu. Jednak nie potrafiła tego zrobić. Z trudem przełknęła ślinę, usiłując pozbyć się napięcia, które zaciskało jej gardło.

- To mój lot - wyszeptała.

- Mają opóźnienie.

- Tak, ale...

- Spokojnie. Nie odlecą bez ciebie.

- Ale...

- Ja też czekam na pozwolenie startu, a także na jeszcze trzech pasażerów. Nie wolno mi odlecieć bez nich.

Elizabeth, nie kryjąc zdumienia, wpatrywała się w niego. Bardzo powoli docierała do jej świadomości ta informacja.

- Ty jesteś pilotem?

- Tak.

Psiakrew, psiakrew, psiakrew. Dlaczego nie wzięła pod uwagę tej możliwości, kiedy kupowała bilet?

Ale przecież nie miała nawet bladego pojęcia, że Seth pracuje dla firmy czarterowej. Ostatnio, kiedy go widziała, brał udział w pokazach i rozmaitych imprezach dobroczynnych. Skąd miała wiedzieć, że przeniósł się do sektora prywatnego?

Elizabeth czuła, że Seth czeka na słowa wyjaśnienia. Ona jednak mogła tylko tak stać i przyglądać mu się uważnie - jego trochę za długim, ciemnym włosom, błyszczącym szarzielonym oczom, męskim rysom. Wciąż nie mogła przestać myśleć o tym, że Seth Brody miał pilotować jej samolot.

- Nie... Nie rozumiem - mruknęła w końcu. Nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

- A co tu jest do rozumienia? To ja mam cię pilotować do Denver. - Kiedy Elizabeth milczała, dodał: - Jestem właścicielem linii lotniczej pod nazwą Zachodnie Niebo.

Kolana ugięły się pod nią niebezpiecznie. Obawiając się kompletnej kompromitacji, czyli upadku na podłogę u jego stóp,

Elizabeth odstawiła bagaż. Na sztywnych nogach podeszła do krzesła dla pasażerów i opadła na jego winylowe siedzenie.

- Nie wiedziałam, że zrezygnowałeś z pokazów powietrznych.

Seth położył ręce na szczupłych biodrach. Wyglądał poważniej i bardziej stanowczo niż kiedykolwiek.

- Udział w pokazach powietrznych był wymuszony przez działalność na rzecz Fundacji Sztuki i Nauk Humanistycznych. Wiedziałaś o tym.

Elizabeth zmarszczyła brwi, usiłując sobie przypomnieć wydarzenia sprzed trzech lat. Docierało do niej jednak wyłącznie to, że oto jej były mąż stoi kilka metrów od niej, co było o wiele bardziej niepokojące, niż mogłaby wcześniej przypuszczać.

Mocny ucisk strachu, który nagle poczuła w żołądku, gdy rezerwowała lot, teraz jeszcze się wzmógł, a na jej czole pojawiły się krople potu.

Powinna była zaufać swojej intuicji. Powinna była zrozumieć, że z jakiegoś ważnego powodu boi się tego lotu. Jej wrodzony szósty zmysł ostrzegał ją... Powinna wiedzieć, że...

Że co? Że ponownie ujrzy Setna?

Czy też, że nie będzie czuła się całkiem w porządku, kiedy go spotka?

Uciekaj. Wydostań się stąd. Zapomnij, że miałaś polecieć tym samolotem, zanim będzie za późno.

Elizabeth odetchnęła głęboko i wstała z krzesła.

- Seth, ja... muszę już... nie mogę...

Zanim zdołała wykrztusić dalsze słowa, główne drzwi nagle otworzyły się, wpuszczając do środka wiatr i mżawkę. Elizabeth zobaczyła wchodzących dwóch mężczyzn w trenczach i idącego pomiędzy nimi skutego kajdankami więźnia, ubranego w pomarańczowy kombinezon.

Mężczyźni szybkim krokiem zmierzali w kierunku Elizabeth. Podeszli jednak do Seta i podali mu jakieś legitymacje. Stojąca tuż obok Elizabeth zobaczyła, że są to odznaki FBI.

- Przepraszam, że musiał pan czekać - powiedział starszy, smutnawy mężczyzna, chowając odznaki. - Jestem Stan Kowalski, a to mój partner, Brent Caldwell. Mieliśmy pewne problemy na drodze, były długie korki.

Seth rzucił Elizabeth spojrzenie, które mówiło: „Porozmawiamy później”.

- Nie ma sprawy - odparł. - Czekamy, aż oczyszczą pas startowy, więc mamy jeszcze kilka minut w zapasie.

Odpowiedź Setha była tak spokojna i rzeczowa, że Elizabeth zaczęła się zastanawiać, czy często wykorzystywano go do przewożenia agentów FBI i ich więźniów.

Wystarczyło, że raz rzuciła okiem na skazańca i serce podeszło jej do gardła. Nie była aż tak zajęta swoją karierą, żeby nie śledzić codziennej prasy i nie oglądać wiadomości telewizyjnych. Od razu rozpoznała rysy i drobną sylwetkę mężczyzny, który nazywał się Frankie Webb. Był to osławiony seryjny morderca dotychczas osadzony i skazany tylko za dwa zabójstwa. Jeśli wierzyć telewizyjnym wiadomościom, zabił już co najmniej jedenaście kobiet, wszystkie były ledwie po trzydziestce. Mordował te, które miały ciemne włosy, ciemne oczy i szczupłą budowę ciała.

Zupełnie jak ja, pomyślała.

Webb odwzajemnił jej spojrzenie. Elizabeth zadrżała, kiedy jego usta wykrzywił dziwaczny uśmiezek.

- Co mamy zrobić z bagażem? - spytał Stan, wskazując dwie niewielkie płócienne torby, które dźwigał jego partner.

Seth zwrócił się do pulchnej kobiety, która stała w drzwiach:

- Patty, zawołasz Billy'ego, żeby zaniósł torby do samolotu?

Kobieta wyszła i kilka sekund później młody chłopak w uniformie linii lotniczych Zachodniego Nieba przybiegł po bagaż.

Seth podał agentom dwa identyfikatory. Korzystając z zamieszania, Frankie pochylił się ku Elizabeth, a jego ciemne oczy zalśniły.

- Wiesz, co mi się podoba w takich małych dziewczynkach jak ty?

Elizabeth poczuła, że ma gęsią skórę. Chciała uciekać, a przynajmniej się cofnąć, ale nie była w stanie nawet drgnąć.

Stan Kowalski szarpnął Frankiego za ramię i odciągnął go od niej.

- Zachowuj się, Frankie. - Agent skinął głową w stronę Elizabeth.
- Przepraszam panią. Mamy tu źle wychowanego mężczyznę, ale zajmujemy się nim.

Frankie uśmiechnął się bezczelnie, po czym potrząsnął kajdankami, najwyraźniej chcąc zaniepokoić Elizabeth.

Stan groźnie popatrzył na niego i Frankie najwyraźniej uznał, że nie warto denerwować agentów, więc spróbował z innej beczki.

- Chciałbym się napić, zanim wejdziemy na pokład - powiedział.

- To nie jest lot dla twojej przyjemności - odparł sztywno Stan.

- Woda. Mówiłem o wodzie. Z fontanny. - Kiedy mężczyźni go zignorowali, Frankie wrzasnął: - Chcę się zobaczyć ze swoim adwokatem! Odmawianie więźniowi wody jest wykroczeniem przeciwko prawu. Powiadomię o tym Związek Swobód Obywatelskich.

Stan popchnął więźnia i oparł go plecami o betonowy słupek, a następnie wyciągnął z kieszeni składaną pałkę i przyłożył ją do gardła Frankiego.

- Posłuchaj mnie, Frankie, posłuchaj dobrze - syknął. - Zobacysz swojego adwokata w Baton Rouge. Do tego czasu ja i Brent będziemy się tobą zajmowali.

Agent przycisnął pałkę jeszcze mocniej do szyi więźnia. Frankie zaczął się krztusić. Uniósł zaciśnięte pięści, próbując odepchnąć Stana, ale kajdanki uniemożliwiały mu szerszy ruch rąk i jakikolwiek atak.

Brent Caldwell przyłączył się do partnera.

- Ostrzegano nas, że masz na wolności przyjaciół, którzy chętnie przyjdą ci z pomocą - wyszeptał. - Przyjaciół, którzy są zbyt wścibscy, żeby mogło to im wyjść na dobre. Więc jeśli myślisz o tym, żeby zrobić coś głupiego, Frankie, to lepiej tego nie rób. Stan i ja zaplanowaliśmy sobie miłą, spokojną i krótką podróż. Jeśli tylko spojrzysz na nas wilkiem albo skrzywisz się zniechęca, zaczniemy strzelać. Zrozumiano?

Przez jedną pełną napięcia chwilę oczy Frankiego świeciły tą samą chorobliwą nienawiścią, którą jego adwokat usiłował ukryć przed ławą przysięgłych. W tym właśnie momencie Elizabeth zrozumiała, że Frankie od chwili złapania ma całkowitą świadomość tego, co go czeka. Już został skazany na karę śmierci przez Sąd Stanowy Utah - i najprawdopodobniej to samo czekało go w dwóch innych stanach. Nie miał więc nic do stracenia. Niezależnie od ostrzeżeń agentów, był gotów zrobić wszystko, co w jego mocy, aby uciec.

Stan nieoczekiwanie puścił go i Frankie osunął się na ziemię, opierając ręce na kolanach i oddychając ciężko. Agent, patrząc na

niego, spokojnie schował pałkę do kieszeni płaszcza. Kiedy Brent chciał wziąć skazańca pod ramię, Frankie syknął i wyrwał mu rękę.

- Zapłacisz za to - wyszeptał, utkwivszy spojrzenie swoich ciemnych oczu w Stanie. - Obaj za to zapłacicie. Będę ścigał was, wasze rodziny i waszych przyjaciół aż do dnia waszej śmierci.

- Czyżby? - odezwał się drwiąco Brent. - Cóż, najpierw musiałbyś uciec, prawda?

Seth zauważył ciekawskie spojrzenia innych pasażerów i wskazał na drzwi za sobą.

- Mam w swoim biurze wodę - powiedział. - Możecie zaczekać tam, na osobności. Tu zaczynają się gapić...

Agenci z wdzięcznością skinęli głowami i powlekli ze sobą więźnia. W ostatniej chwili, tuż przed wejściem w drzwi, Webb nagle odwrócił się i popatrzył na Elizabeth ciemnymi, pełnymi złości oczyma.

Poruszona Elizabeth poczuła mocny ból w podbrzuszu.

- Gdzie mogłabym...? Muszę iść do toalety.

Seth popatrzył na nią z niepokojem, po czym wskazał ręką korytarz oddalony o kilka metrów.

- Tam, drugie drzwi po prawej. Przypilnuję twojego bagażu.

- Dziękuję - odparła słabo i niemal biegiem ruszyła we wskazanym kierunku. Zobaczyła toaletę dla pań i wpadła do środka. Następnie oparła się o drzwi, zamknęła oczy i zaczęła głęboko oddychać.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Mój Boże!

Elizabeth natychmiast otworzyła oczy. Wysoka, szczupła kobieta o siwych włosach w stalowym odcieniu przyglądała się jej uważnie.

- Wygląda pani tak, jak gdyby zobaczyła pani ducha - zauważyła, kiedy Elizabeth przyłożyła wilgotny papierowy ręcznik do twarzy.

Zakłopotana Elizabeth wyprostowała się i podeszła do stojącej obok luster kobiety.

- Prawie - odparła. - Widziałam byłego męża.

- Hm. - Oczy nieznanym błysnęły. - Brzmi to intrygująco.

- Zapewniam panią, że tak nie jest. To jedynie... takie niezręczne, krępujące spotkanie.

- Aha. - Usta kobiety wykrzywiły się w ironicznym uśmiechu. - To dlatego ma pani takie zaczerwienione policzki?

Elizabeth spojrzała na siebie w lustrze i zrobiła zdziwioną minę.

- Do diabła - wyszeptała. - Miałam nadzieję, że wyglądam na spokojną i opanowaną.

Nagle poczuła ogromne zmęczenie. Oparła ręce o umywalkę i usiłowała walczyć z nagłą falą senności. Co, na Boga, w nią wstąpiło, że wzięła aż pięć tabletek? Pięć!

- Wiem, co pani czuje - powiedziała kobieta i zachichotała znieśnacka. - Mój zmarły mąż też potrafił mnie skonfundować, zapewniam panią.

Rozbawiona Elizabeth uśmiechnęła się do starszej pani.

- Chyba dotąd nie słyszałam, żeby ktoś jeszcze używał tego archaicznego słowa „skonfundować”.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- To chyba skaza zawodowa. - Wyciągnęła rękę. - Willa Hawkes. Jestem bibliotekarką.

Elizabeth podała rękę pani Hawkes, rozkoszując się zapachem goździków, który wypełniał powietrze przy każdym ruchu tej starszej kobiety. Przypomniła sobie, że jej babka używała podobnych perfum, ale tylko na wyjątkowe okazje.

- Czy leci pani czarterem lotniczej linii Zachodnie Niebo? - spytała Elizabeth.

- Owszem - skinęła głową i pochyliła się, żeby wziąć swój bagaż podręczny, który stał na podłodze. - Jadę do Denver na wystawę organizowaną przez jedno z tamtejszych muzeów. Proszono mnie o

dostarczenie kilku rękopisów z naszego Działu Oryginałów. - Poklepała swoją skórzaną torbę. - Nie ma mowy, żebym powierzyła je kurierom, więc uparłam się, że sama polecę do Denver. - Mrugnęła do Elizabeth. - Oczywiście, darmowa podróż do Kolorado i weekend w hotelu osłodziły mi ten trud, zapewniam panią...

Nagle usłyszały komunikat z głośników, który przerwał rozmowę, a raczej to, co ewentualnie miała jeszcze do powiedzenia pani Hawkes.

- Pasażerowie lotu 356 proszeni są na pokład. Proszę przygotować bilety.

- To my - oznajmiła radośnie Willa i wesoło mrugnęła do Elizabeth. - Proszę zbytnio nie zwlekać. Chyba nie chciałaby pani spóźnić się na swój lot.

Drzwi cicho zamknęły się za jej plecami i Elizabeth została sama. Przez kilka długich chwil patrzyła na swoje odbicie w lustrze.

Mogła spóźnić się na swój lot. Mogła zabarykadować się w łazience i długo stąd nie wyjść.

Gdy ta myśl przemknęła jej przez głowę, Elizabeth natychmiast odsunęła ją od siebie. Nie będzie zachowywała się jak nastolatka tylko dlatego, że nagle natknęła się na Seta Brody'ego. Musiała pamiętać o swojej pracy i obowiązkach.

Pochyliła się nad umywalką i opłukała twarz zimną wodą, po czym wysuszyła ją papierowym ręcznikiem. Wzięła głęboki oddech i wymaszerowała na korytarz.

Ku jej ogromnej uldze, Seth wciąż tkwił za biurkiem. Młody, piegowaty mężczyzna ścisnął swój plecak, a na jego chłopięcej twarzy widać było mieszankę lęku i niezwykłej radości. Usłyszała, jak mówił do Seta:

- Wygrałem konkurs w radiu, wie pan. Jadę do Aruby. Seth wymamrotał coś w odpowiedzi, ale Elizabeth nie dosłyszała, bo szybko skrzyła w prawo i skierowała się do baru. Może gdyby się czegoś napiła - kawy, coli - zdołałaby się pozbyć tej umysłowej ociążałości.

Przy ladzie baru stał jakiś biznesmen, a obok niego kobieta, która wyglądała na jego sekretarkę.

- Proszę nie zapominać, panie Walsh, że rezydent zjawi się tu w poniedziałek, z samego rana.

- Dziękuję, Wendy.

- Odwołałam wszystkie pana spotkania.

Walsh najwyraźniej nie słuchał. Wpatrywał się w menu, jak gdyby napisano w karcie dań najważniejsze tajemnice tego świata. Kiedy jednak barmanka zapytała, czego sobie życzy, chyba jej nie dosłyszał.

- Skontaktowałeś się z moją żoną? - spytał w końcu sekretarkę.

- Nie, proszę pana.

- Chciałem... - Walsh westchnął ciężko. Wyczuwając, że ten mężczyzna nieprędko coś zamówi, barmanka skinęła głową na Elizabeth.

Domyśliwszy się, że ich rozmowa będzie jeszcze jakiś czas trwała, Elizabeth wyszeptała: - Kawy! - i rozłożyła szeroko ręce, żeby pokazać, że chce jak największy kubek.

Walsh najwyraźniej nagle oprzytomniał, bo już różnym głosem powiedział:

- Spróbuję zadzwonić do żony na komórkę. Dziękuję, Wendy. Miłego weekendu.

Kobieta uśmiechnęła się do niego, po czym wybiegła z terminalu. Widocznie chciała wydostać się stąd, zanim pogoda zepsuje się jeszcze bardziej.

- Dwa dolary - powiedziała barmanka.

Kiedy Elizabeth zaglądała do swojej portmonetki w poszukiwaniu drobnych, zauważyła, jak Walsh wyjmując z kieszeni nieprawdopodobnie mały telefon komórkowy. Raz za razem wystukiwał numer, klął i znowu wciskał przyciski. Jednak ręce drżały mu tak bardzo, że chyba z tego powodu nie był w stanie wystukać tego numeru prawidłowo.

Elizabeth natychmiast zaczęła mu współczuć. Pomyślała, że najwyraźniej nie jest jedyną osobą na tym lotnisku, która boi się latania.

Barmanka podała jej parujący kubek kawy, a Elizabeth gestem pokazała dziewczynie, żeby przygotowała jeszcze jeden.

- Proszę - wręczyła swój kubek mężczyźnie o nazwisku Walsh.

Spojrzał na nią zaskoczony. Był tak bardzo pogrążony we własnych myślach, iż stało się jasne, że dotąd jej nie zauważył.

- Kawa - powiedziała krótko Elizabeth. Mężczyzna odetchnął głęboko.

- Dziękuję. - Upił łyk, odpreżył się wyraźnie, po czym wystukał tę samą kombinację cyfr, ale bez powodzenia. Numer nie odpowiadał. Ponowił próbę i tym razem mu się udało, ale nawet w miejscu, w którym stała Elizabeth, słychać było metaliczny, brzęczący komunikat poczty głosowej.

- Cholera. Nienawidzę tego - mruknął Walsh, ze złością wciskając przycisk kończący rozmowy. - Moja żona uparła się na pocztę głosową, żeby móc selekcjonować rozmówców.

Wsunął telefon do kieszeni, po czym wyciągnął rękę do Elizabeth i przedstawił się.

- Peter Walsh.

Jego dłoń była ciepła, a uścisk pewny. Mężczyzna miał starannie wypielęgnowane paznokcie, typowe dla zamożnego biznesmena.

- Elizabeth Boothe.

Barmanka wróciła z drugim kubkiem kawy.

- Ja zapłacę - powiedział Peter Walsh, kiedy Elizabeth chciała dołożyć jeszcze dwa dolary do banknotów wciąż leżących na ladzie. Mrugnął do niej i dodał: - Ocaliła mi pani życie.

Elizabeth uśmiechnęła się do mężczyzny, wzięła kubek z kawą oraz pieniądze, po czym odwróciła się od lady... i stanęła twarzą w twarz z Sethem Brodym.

- Pasy startowe zostały oczyszczone, wchodzimy na pokład - powiedział głośno Seth, tak, żeby słyszał go Walsh, choć było jasne, że zamierzał rozmawiać tylko z Elizabeth.

- No, to lepiej się pośpiesz. - Peter Walsh wziął swoją torbę i odszedł.

Zanim Elizabeth zdążyła cokolwiek powiedzieć, jej były mąż mocno chwycił ją za rękę.

- Seth! - zawołała Patty, idąc w kierunku biura. - Startuj jak najszybciej albo burza, której lada moment się spodziewamy, znowu nas unieruchomi!

Patty przysła, aby wyprowadzić z biura agentów FBI i ich więźnia. Seth uspokajającym gestem pomachał jej ręką. Nie spuszczał jednak wzroku z Elizabeth. Jego palce zaciskały się wokół przegubu dłoni kobiety, skutecznie uniemożliwiając jej jakąkolwiek próbę ucieczki.

- Musimy porozmawiać, Lizzie.

Lizzie! Od zawsze nienawidziła tego zdrobnienia.

- Chciałbym poznać kilka odpowiedzi na pytania dotyczące tego, co się wydarzyło trzy lata temu - ciągnął powoli, z rozmysłem.

- Ja... Hm... - Elizabeth gorączkowo poszukiwała jakiejś miażdżącej riposty albo dowcipnej uwagi, ale lekarstwa skutecznie blokowały jej umysł. Do głowy przychodziła jej tylko jedna myśl: Uciekaj stąd. I to już. Nie masz czasu ani energii na konfrontację. Paul poradzi sobie sam ze swoim projektem i swoimi klientami.

Nie mogła jednak uciec. Nie mogła.

- Seth? - odezwała się ponownie Party. - Musimy już lecieć.

Westchnął ciężko.

- Tak. To chyba nie miejsce ani czas na takie rozmowy - stwierdził. Jeszcze bardziej zmarszczył brwi i dodał: - Jeszcze nie.

Ostatnie słowa świadczyły o tym, że w bliżej nieokreślonej przyszłości zamierza jednak przeprowadzić bardzo szczegółowe dochodzenie, aby dowiedzieć się, dlaczego odeszła od niego.

Zanim Elizabeth zdołała sformułować jakąś przytomną odpowiedź, Seth poprowadził ją do swojego biurka. Zabrał stojące tam bagaże byłej żony, po czym ujął ją za łokieć i poprowadził w kierunku drzwi.

- Tędy.

Elizabeth zadrżała. Każdy mięsień jej ciała krzyczał, żeby ruszyła w przeciwnym kierunku, żeby uciekała jak najdalej od Seta. Poza tym nie potrzebowała dodatkowych stresów spowodowanych czarterowym lotem niewielką maszyną, i to w towarzystwie skazanego na śmierć seryjnego mordercy. Nie chciała też spędzać następnych kilku godzin w roli zniewolonej przez swojego byłego męża winowajczynie. W takich okolicznościach zapewne trudno byłoby jej znieść aż tyle emocji naraz - strach, ból, gniew czy pełne chaosu zdumienie spowodowane tak nagłym spotkaniem z Sethem.

Musiał wyczuć myśli Elizabeth, bo pochylił się i wyszeptał jej do ucha:

- Tchórzysz?

Do diabła! Zawsze ją prowokował, zawsze drażnił. A teraz w dodatku znowu rozpływała się w ciepłe jego oddechu, który czuła na swoim karku.

Nie. Nie pozwoli na to, żeby jej to robił. Nigdy więcej. Skończyła już z Sethem Brodym. Nie była już tą słabą, naiwną dziewczyną, której tak imponował przystojny profesor z nowojorskiego

uniwersytetu. Stała się kobietą, która wie, czego chce, która ma własne aspiracje i siłę, aby je realizować. Nie pozwoli, by Seth odebrał jej tę tak trudno zdobytą pewność siebie.

Wyrwała mu się i wyszarpnęła bagaże z jego rąk. Napędzana siłą własnej determinacji, pomaszerowała do wyjścia awaryjnego i wyszła na mróz.

Seth Brody musiał biec, żeby dogonić Elizabeth. Oczekiwał, że ucieknie z terminalu, ale ona pognąła w kierunku samolotu. Nawet kiedy się z nią zrównał, nadal nie mógł oderwać wzroku od jej pełnych gracji bioder.

Nie zważając na to, że Lizzie usiłuje uciec od niego jak najdalej, Seth złapał ją za płaszcz i zmusił, żeby się zatrzymała.

Jej wojowniczy wyraz twarzy wyraźnie wskazywał na to, że wolałaby być gdziekolwiek, byle nie tutaj. Szczerze mówiąc, nie mógł jej za to winić - co nie oznaczało, że zamierzał pozwolić, aby znów zatriumfowała nad nim.

Elizabeth Boothe.

Jedyna kobieta, z którą się ożenił.

Jedyna kobieta, którą....

Kochał? Jak mógł w ogóle tak pomyśleć po tym, co mu zrobiła? Trzy lata temu zwlókł się z ich ciepłego małżeńskiego łóża, żeby pojechać na pokaz lotniczy w Maryland. Po wielogodzinnej podróży przy bardzo złej pogodzie porozumiał się ze swoimi kolegami, którzy poinformowali go, że pokazy odwołano ze względu na silne wiatry spowodowane przybrzeżnym huraganem.

Wracając do domu, Seth spędził pół dnia na przedzieraniu się przez zatarasowane gałęziami boczne drogi oraz na walce z zacinającym deszczem i silnymi wiatrami. Zrobiłby jednak wszystko, żeby jak najszybciej być razem z nią. Ze swoją żoną. Żeby dotknąć jej ust. Żeby jej powiedzieć - chyba po raz pierwszy na głos - jak bardzo ją kocha, jak bardzo chce spędzić z nią resztę życia.

Kiedy wrócił, znalazł mieszkanie ogołocone ze wszystkiego, co do niej należało. Nie zostawiła nawet foldera, który kupili w jednej z tandetnych budek w Atlantic City, tuż po ślubie. Dopiero po kilku minutach znalazł kartkę przyczepioną do lodówki. Liścik był krótki i prowokował więcej pytań, niż zapewniał odpowiedzi.

Popełniła błąd...

Za bardzo się różnią...

Musiała odejść...

Seth poczuł gwałtowny ucisk w gardle, kiedy teraz na nią spoglądał.

Nie powinien czuć niczego poza gniewem, złością i może chęcią odwetu. Jednakże nawet kiedy przypomniawszy sobie, że w tym związku on został oszukany, nie mógł nic poradzić na to, że raz za razem omiatał wzrokiem jej sylwetkę.

Nie wyglądała dobrze - i to odkrycie nie sprawiło mu przyjemności. Była tak szczupła, że wydawała się wręcz chuda. Z jej niebieskich oczu zniknęły wesole iskierki. Maleńkie zmarszczki okalały piękne usta, a w rysach twarzy czaiło się zmęczenie. To napięcie, które dostrzegał, nie powstało jedynie w wyniku ich nieoczekiwanego spotkania.

Zmiany były zbyt daleko posunięte i trwałe. Takie zmarszczki nie powstają w ciągu godziny.

Lizzie zamknęła oczy i zachwiała się lekko. Seth przyciągnął ją do siebie, podtrzymując ramieniem w pasie. Ku jego niezwykłemu zaskoczeniu, ziewnęła i oparła się o niego.

- Hej, wy! Poczekajcie! - zawołał jakiś głos z terminalu.

Seth popatrzył na mężczyznę w średnim wieku, biegnącego w kierunku samolotu i skinął głową, żeby pokazać, że słyszał. Bliskość Elizabeth zajmowała jego zmysły do tego stopnia, że nie zastanawiał się nad tym, skąd się tu wziął nieznajomy.

Zażywny jegomość miał na sobie kurtkę na tyle ciepłą, że nadawałaby się na wyprawę na Alaskę, grube, obramowane futrem rękawice i buty, które babka Setha nazwałaby kaloszami. Idąc, walczył z płócienną torbą przewieszoną przez ramię i z ciężką walizką.

Zanim Seth zdążył zareagować, mężczyzna zatrzymał się nagle, złapał za wolną rękę Setha i potrząsnął nią z zapalem.

- Nazywam się Richard Brummel, ale nazywają mnie Lepki Ricky.

Mimo że z Sethem latali już rozmaici ekscentrycy - od znudzonych gwiazd filmu do nieprzyzwoicie przepłacanych sportowców - nigdy jeszcze nie słyszał, żeby ktoś przyznał się do tak ohydneho przezwiska.

- Jestem komiwojażerem. Tyle Seth zdążył się domyślić.

- Zna pan te minibarki, które znajdują się w hotelowych pokojach? To właśnie ja je zaopatruję - zachichotał. - Jasne, że nie robię tego osobiście. Pokoje zaopatruje służba hotelowa, a ja zaopatruję służbę, rozumie pan. - Zaśmiał się głośno, z entuzjazmem. Widząc jednak, że ani Seth, ani Elizabeth mu nie zawtórowali, szybko włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej małą buteleczkę.

- Proszę - wyciągnął dłoń w kierunku Seta. - Stawiam próbkę. Zobaczmy... Pan wygląda mi na miłośnika whisky...

Seth wpatrywał się w komiwojażera ze zdumieniem, zastanawiając się, czy ten mężczyzna nie ma ani za grosz rozumu?

- Proponuje pan alkohol pilotowi?

- No nie - mruknął Brummel. - Pewnie nie jest pan typem, który piłby i latał. A skoro jest pan pilotem, to znaczy, że pan lata.

Seth nie odpowiedział. Nie mógł. W tym momencie Lizzie przysunęła się jeszcze bliżej, a jej dłoń nagle zanurkowała pod jego kurtkę.

Elizabeth bowiem doszła do wniosku, że jej ręka stała się zbyt ciężka, chciała ją więc oprzeć o coś i zahaczyła palcami o pasek jego dżinsów.

Ricky najwyraźniej wyczuł, że jego dowcipy trafiają w próżnię, bo zaproponował:

- Dam kilka produktów pana damie. Wypijecie za moje zdrowie później... W wolnym czasie.

Znowu zanurzył dłonie w kieszeniach i wyciągnął kilka miniaturowych buteleczek, dwa małe batoniki oraz dwie torebki z orzeszkami, po czym wepchnął to wszystko do torby Elizabeth.

- Chyba będzie lepiej, jeśli już zajmie pan swoje miejsce. - Seth wstrzymał oddech, kiedy palce Elizabeth zanurzyły się nieco głębiej pod jego pasek. - Musimy ruszać, jeśli mamy uciec przed złą pogodą.

- Och. Jasne.

Ricky porozumiewawczo mrugnął do Seta, zanim wgramolił się na pokład, uderzając o fotele swoją walizką.

Kiedy komiwojażer przeproszał serdecznie pozostałych pasażerów, Seth pochylił się ku Elizabeth i wyszeptał:

- Co ty robisz, u diabła?

- Ja... - Elizabeth nie dokończyła, a on czekał, żeby usłyszeć, co jeszcze ma do powiedzenia.

Po chwili stało się dla niego jasne, że nie zdoła dokończyć. Właściwie to gdyby nie znał jej lepiej i nie wiedział, że nie pije alkoholu, pomyślałby, że już zdążyła osuszyć zawartość buteleczek. Albo...

Cholera! Przecież pamiętał, że bała się latać. Zwłaszcza małymi samolotami. Usiłował zabrać ją ze sobą tylko raz, dwupłatowcem sprzed pierwszej wojny światowej, i przez cały czas chorowała. Potem upierała się, żeby brać tabletki przeciwwymiotne za każdym razem, kiedy podróżowali - zawsze brała ich za dużo i przesypiała prawie cały lot.

Seth niechętnie chwycił rękę Elizabeth, potrząsnął nią i zmusił kobietę, żeby spojrzała na niego.

Potknęła się, usiłując walczyć z sennością, i posłała mu krzywy uśmiech. Ten grymas przypominał mu lepiej niż cokolwiek dziewczynę, którą zdecydował się poślubić zaledwie w kilka dni po poznaniu.

- Ile wzięłaś, Elizabeth?

- Hm? - Miała nieprzytomne spojrzenie.

- Ile wzięłaś tabletek?

Zmrużyła oczy, patrząc na niego z wysiłkiem.

- Dziewięć.

- Dziewięć!

- Tylko żartowałam. - Zachichotała niemądrze.

- No to ile?

Elizabeth zmarszczyła brwi.

- Trzy... Nie, cztery. A może pięć?

- Cholera! Billy! - zawołał do studenta, który dorabiał sobie na pół etatu, wrzucając walizki i torby pasażerów do luku bagażowego samolotów Zachodniego Nieba.

- Tak, proszę pana?

- Zabierz i te bagaże. - Seth podał mu walizkę i neseser Lizzie.

Następnie pochylił się i wziął ją na rękę.

Oczy Billy'ego rozszerzyły się ze zdumienia na ten nieoczekiwany przejaw czułości ze strony zazwyczaj powściągliwego pracodawcy. Usta chłopaka rozciągnęły się w uśmiechu.

- Jasne, szefie. - Nie odważył się powiedzieć nic więcej. - Jej torbę także?

- Ani mi się waż. - Elizabeth odzyskała nieco wigoru i przycisnęła do siebie torbę. - Tu są moje buteleczki.

Billy z pewnością pomyślał, że wypila o jedną buteleczkę za dużo, ale puścił uchwyt skórzanej torby, a resztę bagażu zaniósł do samolotu.

- Będziesz mi winna mnóstwo wyjaśnień, kiedy już oprzytomniejesz, Lizzie - mruknął Seth. - Gdy tylko wylądujemy, utniemy sobie poważną pogawędkę.

- Bardzo poważną - skinęła głową z fałszywą gorliwością. - Bardzo, bardzo poważną.

Widząc, że stan kobiety nie pozwala na racjonalną dyskusję, Seth wspiął się po schodkach prowadzących do samolotu i usadowił Elizabeth na miejscu dla drugiego pilota. Następnie zapiął jej pasy - może nieco mocniej, niż było to konieczne - i wyszedł z samolotu, żeby odebrać dokumenty od Billy'ego.

- Czy ty i Party dacie sobie radę, zanim pojawi się następna zmiana? - spytał. - Przez tę pogodę nasze dwa samoloty utknęły gdzieś na wschodzie.

- Pewnie. Z tym nowym facetem, którego pan zatrudnił, powinniśmy...

- Z jakim nowym facetem? - zeszywniał Seth.

Billy zmrużył oczy, po czym omiótł wzrokiem okolice, jak gdyby kogoś szukał.

- Jakaś godzinę temu pojawił się tu nowy sprzątac. Czyścił obicia foteli. - Chłopak wzruszył ramionami. - To nie był jeden z tych dwóch tymczasowych pomocników, którzy ostatnio przychodzili, więc uznałem, że to pewnie nowy.

Seth zmarszczył brwi. Jego dwaj pracownicy poszli na studia, więc zmuszony był korzystać z dorywczej pomocy. Pomocnicy przychodzili do niego na początku zmiany, więc Seth miał pewność, że to ci sami, którzy pracowali na lotnisku przez cały tydzień.

- Jesteś pewien, że to był ktoś nowy?

- Może tylko się szkolił? - Billy raz jeszcze wzruszył ramionami.

- Wie pan, zawsze przyprawdzają ze sobą nowych.

- Sprawdziłeś, co zrobił?

- Pewnie. Nieźle mu poszło. Samolot był czysty i gotów do drogi.

Seth odsunął od siebie wątpliwości i postanowił porozmawiać później z agencją. Myślał, że jasno dał do zrozumienia, iż nie życzy

sobie, aby ktokolwiek nieupoważniony przez niego pojawiał się na pokładzie samolotów.

- Szczęśliwej podróży.

Seth pomachał Billy'emu i wszedł na pokład samolotu, zamykając za sobą drzwi. Następnie usiadł na swoim fotelu, zerknąwszy przelotnie na Lizzie.

Spała.

Albo udawała, że śpi. Do odlotu pozostało jedynie kilka minut i Seth był pewien, że wsłuchiwała się w każdy fragment rozmowy, w każde słowo wydobywające się z ust pozostałych pasażerów. Żeby tylko nie myśleć o chwili, w której znajdą się w powietrzu. Nie mógł jednak teraz się nad tym zastanawiać. Miał inne sprawy na głowie.

Seth wziął głęboki oddech, zamknął oczy i świadomie oczyścił swoje myśli ze wszystkiego, co mogłoby mu przeszkodzić w skoncentrowaniu się na czynnościach związanych z poderwaniem maszyny do lotu.

ROZDZIAŁ TRZECI

To tylko rutynowy lot, pomyślał, kiedy już przedstawił się pasażerom. Wkrótce pogoda pogorszyła się gwałtownie, więc powtarzał te słowa pod nosem. W pewnej chwili jednak samolot wpadł w wir powietrzny, a Seth zaczął walczyć o odzyskanie kontroli nad sterami. Sytuacja zmieniła się diametralnie.

Za sobą słyszał krzyki pasażerów, a samolot zdawał się spadać z nieba, po czym w pewnej chwili znowu wzbił się w górę. Seth panował nad sytuacją do momentu, w którym usłyszał złowrogi trzask. Urządzenia sterownicze rozregulowały się, wiedział, że za chwilę zaczną się prawdziwe kłopoty -

Natychmiast sięgnął do radia, ignorując przenikliwy dźwięk dzwonnka alarmowego, i usiłował wyprowadzić samolot na poziomą pozycję. Minuty ciągnęły się niczym godziny, podczas gdy Seth zastanawiał się, jak pokonać niesprawne urządzenia i nieprzychylną pogodę.

- SOS, SOS, SOS!

Walczył, by utrzymać maszynę w powietrzu, a lód i silny wiatr uderzały gwałtownie o szybę, niemal wyrывая mu stery z ręki.

- SOS, SOS, SOS!

Nikt nie odpowiadał na jego gorączkowe okrzyki. Nie słyszał w słuchawkach niczego oprócz głośnego szumu.

Zaklął i zostawił radio w spokoju. Nieznana siła, która uszkodziła stery, zepsuła także radio. Teraz Seth miał już bardzo poważne zmartwienia na głowie - takie, jak utrzymanie maszyny w powietrzu i niedopuszczenie do tego, żeby zderzyli się ze skałą.

- Niech wszyscy zapną pasy najmocniej jak potrafią! - krzyknął do pasażerów za sobą.

Jego spojrzenie oderwało się na chwilę od elektronicznych wskaźników. Mimo że zamierzał spojrzeć na ludzi poprawiających swoje pasy, jego wzrok utkwiał w kobiecie, która siedziała na miejscu drugiego pilota.

Po raz pierwszy, odkąd ją tam posadził, Elizabeth nie spała i w pełni zdawała sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje, a także z jego obecności. Jej oczy były wielkie i przerażone, pełne niedowierzania. Jednak, mimo dzielących ich nieporozumień, popatrzyła na Seta z nadzieją. Wierzyła, że on naprawi samolot i zapewni ją, że wszystko będzie dobrze.

Bardzo pragnął jej powiedzieć, że nic im się nie stanie. Nie mógł jednak okłamywać Elizabeth. Nie aż tak. I nie teraz.

Pozwoliwszy sobie na ostatni szybki rzut oka w jej kierunku, ponownie skoncentrował się na urządzeniach.

- Liz - powiedział surowo. - Chcę, żebyś przeszła na jedno z siedzeń z tyłu.

- Ale...

Zignorował niepokój w jej głosie. Lekarstwo, które zażyła, sprawiło, że reagowała z opóźnieniem, więc mógł tylko liczyć, że w końcu zrozumie powagę sytuacji i zastosuje się do jego polecenia.

- Zrób to. Samolot stracił sterowność. Spadamy, i to szybko. Jeśli będziemy mieli na tyle dużo szczęścia, że trafimy na śnieg, może uda nam się wyhamować. Przednia część weźmie na siebie uderzenie, więc z tyłu będzie znacznie bezpieczniej.

Słuchała go uważnie i usiłowała zrozumieć jego słowa w tłumie zaniepokojonych głosów pozostałych pasażerów, wycia wiatru i natłoku własnych myśli.

Samolot trafił na kieszeń powietrzną i zaczął spadać niczym zepsuta winda, zanim Seth ponownie odzyskał panowanie nad sterami. Zmusił się do tego, żeby skupić całą swoją uwagę na urządzeniach i tylko na nich. Przecież nie może teraz zabawiać się wyobrażaniem sobie Elizabeth w szczęśliwych chwilach ich małżeństwa. Nie może akurat teraz wspominać ich zmiętej pościeli, myśleć o ich wspólnych śniadaniach w łóżku, o długich popołudniowych spacerach...

Zmusił się do koncentracji na bieżących problemach. Tamta część jego życia już minęła i jeśli nie będzie uważał, nie czeka ich żadna przyszłość, nikogo z nich.

- Cholera, Lizzie, idź do tyłu!

Nie patrząc na nią, pochylił się w bok i rozpiął jej pas bezpieczeństwa.

- Po drodze powiedz innym pasażerom, żeby sprawdzili swoje pasy, zdjęli okulary, biżuterię, wysokie obcasy... wszystko, co mogłoby się okazać niebezpieczne przy uderzeniu o ziemię.

Przy uderzeniu!

To słowo dotarło do niej znacznie szybciej niż wszystko, co do tej pory powiedział. Ocknęła się i zgodnie z jego wskazówkami szybko zdjęła buty i schowała je do swojej wielkiej torby. Jej dłonie drżały

wyraźnie, kiedy odpinała delikatne kolczyki z brylantami i broszkę w stylu art deco. Następnie oparła się o fotel i stanęła w przejściu, walcząc o zachowanie równowagi.

Seth wpatrywał się w widok przed sobą, podczas gdy Elizabeth krzyczała do pasażerów:

- Proszę zdjąć z siebie wszystko, co jest ostre albo się tłucze i schować to do bagażu podręcznego. Biżuterię, okulary, wszystko, co mogłoby połamać się przy uderzeniu o ziemię.

Grzeczna dziewczynka, pogratulował jej w duchu Seth. Słyszał w głosie Elizabeth władczą nutę, która uciszyła krzyki pozostałych pasażerów. Kazała im wszystkim coś robić - nieważne, że na dłuższą metę te wysiłki mogły okazać się zupełnie bezużyteczne - żeby czuli się nieco mniej bezradni, nieco mniej zdani na łaskę losu.

- Szybciej, szybciej! - krzyczała. - Jeśli nie macie miejsca na swoje rzeczy, wrzucie je do mojej torby. Szybko, szybko!

Samolot skrzył gwałtownie i Lizzie potknęła się, upadła na Seta i złapała go jedną ręką za ramię.

Seth gwałtownie wciągnął powietrze. Przez krótką chwilę wspominał pieszczotliwy dotyk dłoni Elizabeth na swojej nagiej skórze.

Czy właśnie to zdarzało się na chwilę przed śmiercią człowieka? Czy najpiękniejsze momenty jego życia przelatywały mu przed oczyma?

Nie. Nie tylko jego życia.

Jego życia z Elizabeth.

Właśnie w tej chwili samolot przedarł się przez burzowe chmury. W zamglonym świetle Seth widział wierzchołki Rockies, a w pewnej odległości sporą, pokrytą śniegiem polanę.

Odruchowo uścisnął dłoń Elizabeth.

- Idź do tyłu, Lizzie. Lądujemy. Teraz.

Zdeterminowany ton Seta sprawił, że Elizabeth pośpiesznie ruszyła przed siebie. Najpewniej jak potrafiła, stawiała stopy na wyłożonym dywanem przejściu i chwytiała za oparcia foteli. Idąc na tył maszyny, automatycznie sprawdzała, jak się czują inni pasażerowie i chowała ich rzeczy do swojej torby.

Jednakże jej myśli dryfowały tysiące kilometrów dalej, tysiące lat wcześniej. Znajdowała się na weselu przyjaciółki, nad morzem, a

morska bryza usiłowała porwać kwiat z jej włosów, kiedy w pewnej chwili głęboki, męski głos zapytał:

- Potrzebuje pani pomocy? To był Seth Brody.

Wtargnął w jej życie z subtelnością buldożera. Tydzień później wpisywała swoje nazwisko obok jego na akcie ślubu. Koledzy i przyjaciele uważali, że ta decyzja jest całkowicie nieodpowiedzialna i zbyt pośpieszna - zupełnie nie w jej stylu. Elizabeth zawsze była pragmatyczna, pedantyczna, zorganizowana.

Seth jednak zbił ją z nóg. Wniósł w jej życie radość i przygodę - i to w takiej dawce, że serce było jej szybciej na samą myśl o nim. Ich namiętność była wszechogarniająca, pożądanie natychmiastowe.

Nic więc w tym dziwnego, że ich małżeństwo rozpadło się tak szybko.

Ta myśl sprawiła, że nagle ogarnęło ją dojmujące poczucie straty, silniejsze niż jakiegokolwiek wcześniej przeżyte doznanie.

Z jej krtani wyrwał się jęk, kiedy samolot nagle zaczął pikować w dół i przejście zniecka zamieniło się w spadziste zbocze pokryte szarym dywanem.

Ostatkiem sił Elizabeth usiadła w ostatnim pustym fotelu dla pasażera i usiłowała zapiąć pas bezpieczeństwa wokół swojej talii.

Samolot opadał gwałtownie, tylko na moment jeszcze raz się wyprostował, potem znów zaczął pikować w dół, co sprawiło, że nawet tacy twardziele jak agenci FBI siedzący przed Elizabeth krzyknęli głośno.

- Przygotujcie się! - usłyszała krzyk Setha. Szlochając, usiłowała zapiąć sprzączkę przy pasie, ale nagle jej palce stały się zupełnie sztywne i nieposłuszne.

- Nie rób mi tego - błagała zdławionym głosem, aż w końcu udało jej się włożyć końcówkę paska w sprzączkę. Nie zauważyła tylko, że jednocześnie wkręciła w zapięcie kawałek swojej marynarki i mechanizm nie chciał zaskoczyć.

Walcząc z tkaniną, sprzączką i własnym strachem, Elizabeth rozejrzała się wokół siebie. Poczuli się nagle bardzo samotna i bardziej przestraszona, niż była to sobie w stanie wyobrazić. Inni pasażerowie pochylili się i zakryli głowy rękami, więc bardzo dobrze widziała przód samolotu - i Setha, i zbliżającą się, pokrytą śniegiem ziemię.

- Boże jedyny - wyszeptała zdრętwiałymi wargami, kiedy miotane wiatrem płatki śniegu zniknęły i po jednej stronie zniecka ukazał się poszarpany kształt skał. Ziemia zbliżała się coraz szybciej. W oknie pojawiło się coś białego i stalowoniebieskiego.

- Trzymajcie się!

Gdy Seth wykrzyknął to ostrzeżenie, samolot wylądował na śniegu, podskoczył i znowu uderzył o ziemię.

Przeraźliwy zgrzyt zgniatanego metalu i pękającego szkła rozległ się w uszach Elizabeth. Ostry, gorzki smak krwi wypełnił jej usta, gdy przegryzła zębami wargę. Następnie runęła do przodu, uderzyła ciałem o siedzenie przed sobą i wyleciała na podłogę, gdzie zaklinowała się pomiędzy rzędami foteli. Krzyknęła głośno i usiłowała zwinąć się w bezpiecznej embrionalnej pozycji, objawszy ramionami głowę, podczas gdy bagaż i fragmenty rozmaitych przedmiotów fruwały w powietrzu, spadając także na nią.

- Seth!

Zduszony okrzyk zastąpiła straszna, wszechogarniająca ciemność. Seth jęknął z bólu i z trudem nabrał powietrza w płuca.

Żył.

Czy aby na pewno?

Jęknął raz jeszcze i walczył z ciemnością, która chciała go w siebie wchłonać. Nie. Musiał się trzymać. Nie mógł dać się wciągnąć. Musiał myśleć. Pamiętać.

Kawałek po kawałku, chwila po chwili, zaczął odzyskiwać świadomość samego siebie, swojego ciała spętanego pasem bezpieczeństwa, chłodnej wilgoci śniegu na dłoniach.

Żył. Musiał żyć, uznał w końcu. Śmierć zapewne nie wymagałaby aż tak wiele wysiłku. Czułby tylko błogi spokój, a nie ostre pulsowanie w głowie.

Jego oczy ciągle były mocno zaciśnięte, a on usiłował wyrzucić z pamięci moment katastrofy. Jednakże jego mózg najwyraźniej dostał się w jakąś pętlę. Seth co chwila, na okrągło, obsesyjnie przypominał sobie, jak podwozie uderzyło o śnieg, jak maszyna podskakiwała, ślizgała się, wymykała spod kontroli, jak pękało skrzydło, jak krzyczeli pasażerowie. ..

A potem ta straszna, wibrująca cisza.

Pasażerowie.

Musiał sprawdzić, co się stało z pasażerami.

Automatycznie zaczął myśleć o czekających na niego obowiązkach. Wziął głęboki oddech, a następnie podniósł opadającą głowę i zmusił się do otwarcia oczu.

Stopniowo coraz wyraźniej widział przed sobą popękaną szybę. Zamrugał, zastanawiając się, czy przypadkiem nie stracił wzroku, gdyż cały świat wydawał się pogrążony w jakiejś dziwnej, nieprzeźroczystej mgle. Dopiero po kilku minutach zorientował się, że dziób samolotu zanurkował w śnieg, który oblepił szybę.

Śnieg.

Wewnątrz także był śnieg. Seth zerknął w prawo i zauważył, że gałąź drzewa przebiła szybę w rogu, zniszczyła panel sterowania i przysypała śniegiem fotel drugiego pilota.

Niezbyt udane lądowanie, niemniej jednak lądowanie, pomyślał.

Znowu zamknął oczy i zaczął się wsłuchiwać we własny puls. Po chwili ból głowy zelżał, zamienił się w łagodne ćmienie. Najbardziej bolało go nad prawym okiem.

Ostrożnie dotknął tego miejsca, ale zaraz syknął, kiedy poczuł ostry ból i zobaczył, że czubki palców ma oblepione krwią.

Apteczka. Musiał znaleźć apteczkę.

Mimo że starał się zebrać siły i wstać, ruszyć się, myśleć, czuł się tak, jak gdyby uwiązł w pustce. Przez kilka długich, nie kończących się chwil wystarczało mu, że siedzi, wchłania w siebie ciszę i rozkoszuje się wypełniającym mu płuca powietrzem.

Żył.

Niechętnie uświadomił sobie, że gdyby samolot wylądował trochę bardziej na lewo albo gdyby gałąź znajdowała się kilka metrów bliżej niego...

Gałąź.

Fotel drugiego pilota.

Lizzie.

W umyśle Setha pojawiła się postać byłej żony, z szeroko otwartymi oczyma, w których czaiła się niema prośba. Przypominał sobie, jak walczyła, żeby przedostać się na tył samolotu.

Seth przesunął ręką po biodrze, aż zlokalizował zapięcie pasa bezpieczeństwa. Plama świeżej krwi zostawiła idealny odcisk palca na metalu, ale Seth nie zwrócił uwagi na ten dowód własnej śmiertelności. Nie był jedyną osobą w samolocie. Oprócz niego znajdowało się tu dziewięcioro pasażerów.

Trzask rozpinanego pasa rozniósł się echem w ciszy panującej w samolocie. Seth mruknął pod nosem, a ten dźwięk sprawił, że usłyszał w swojej głowie zgrzyt zgniatanego metalu. Niewiele myśląc, potrząsnął głową, żeby pozbyć się tych słuchowych omamów, po czym jęknął, kiedy poczuł za uchem ostry, dojmujący ból.

- Cholera - powiedział głośno.

Nie myśl teraz o tym. Nie myśl o zimnie zakradającym się do twojego ciała ani o lodowatej wilgoci pokrywającej urządzenia sterownicze, ani o siniakach i guzach, które należałoby obejrzeć.

Sprowadzenie samolotu na ziemię było pierwszą zasadniczą sprawą w tej pechowej podróży, ale nadal miał jeszcze parę rzeczy do zrobienia.

Wypełniając płuca jak największą ilością powietrza, Seth opuścił nogi, stanął na nich i podparł się łokciami, żeby się wyprostować. Kiedy jednak spojrział w miejsce, gdzie kiedyś znajdował się tył jego najlepszego samolotu, ogarnęła go panika.

Boże drogi, czy ktokolwiek zdołał to przeżyć?

Nawet w panującym wokół półmroku Seth mógł się przekonać, że przy lądowaniu na pokrytej śniegiem polanie kadłub samolotu rozpadł się na trzy części. Za kabiną pilota głęboki rów w śniegu znaczył trasę, jaką przebyły pojedyncze elementy, od pierwszego uderzenia o ziemię do zatrzymania się po poślizgu.

Pięćdziesiąt metrów dalej wylądowała największa część kadłuba, ogon i ster kierunku wystawały ze śniegu niczym surrealistyczna rzeźba. Z prawej strony leżało jedno oderwane skrzydło, które najwyraźniej przekoziółkowało i osiadło na skalistej, stromej skale sto metrów dalej. Wszędzie walały się szczątki silnika, rozrzucone bagaże, fotele i resztki tapicerki.

Ku swojej uldze Seth dostrzegł jakiś ruch, oznaki życia. Kątem oka zauważył jednego z agentów FBI kuśtykającego w kierunku miejsca, w którym para foteli utkwiała w zaspie śniegu. Inne niewielkie części wraku również zostały rozrzucone po okolicy.

Gdzie jednak była Elizabeth?

Ponownie przyglądając się zniszczeniom, zauważył, że część ogonowa i spora część samolotu pozostały nietknięte, przez co świetnie było widać fragment wnętrza jego najnowszej i największej zakupy. Lizzie usiłowała dotrzeć na tyły maszyny, więc pewnie nadal tam była...

Nagle, bez ostrzeżenia, doliną wstrząsnęła eksplozja Ziemia zadrżała pod nogami Setha. Automatycznie zanurkował i osłonił twarz, podczas gdy jedno ze skrzydeł stanęło w płomieniach.

Huk wybuchu i szept ognia przetoczył się nad polaną, wypełniając ogłuszającym rykiem uszy Setha. Niesamowite, czerwone światło z przerażającą jasnością oświetliło wrak. Seth poczuł falę gorąca, a następnie powiew wiatru.

- Liz!

Nie był nawet świadomy, że głośno wykrzykuje jej imię. Wiedział jedynie, że musi ją odnaleźć, upewnić się, że przeżyła.

Przyływ adrenaliny sprawił, że Seth zapomniał o bólu. Zanurkował pomiędzy odsłonięte kable i zwisające druty, potknął się na śniegu, wyprostował, po czym z ogromnym wysiłkiem zaczął brnąć w zaspach po kolana.

- Elizabeth!

Nadal nikt nie odpowiadał na jego wołanie, a w tyle samolotu nie zauważył najmniejszego ruchu.

Pocieszył się jednak, że przez ten wybuch i ogień kadłub samolotu stał się ledwie widoczny. A wiatr cały czas przywiewał kłęby śniegu, jeszcze bardziej pogarszając widoczność.

- Pomocy! Tutaj! Uwięziem!

Seth skręcił ku agentowi FBI, którego widział kilka minut wcześniej, i obaj ruszyli w stronę rozgorzniętego głosu, kierując się na jakiś pomarańczowy kształt na śniegu.

- Spalę się! Proszę, proszę, wydostańcie mnie stąd! Nie mogę się poruszyć!

Seth szukał jakiejś mniej śliskiej drogi. Biegąc w kierunku głosu, zerkał od czasu do czasu na wyraźnie utykającego mężczyznę i rozpoznał w nim tego z dwóch agentów FBI, który pokazywał mu swoją legitymację na lotnisku. Stan. Tak się nazywał? Stan Kowalski?

- Pomóż mi! - wrzasnął Seth, przekrzykując ryk rozprzestrzeniającego się ognia.

Razem ze Stanem mocowali się z długim kawałkiem metalu, który odpadł od kadłuba, aż Frankie Webb zdołał się spod niego wydostać. Więzień drżał, twarz miał wciśniętą w śnieg.

- Proszę, zdejmijcie mi kajdanki. Proszę.

Stan westchnął, zerkał na łańcuchy pętające nogi skazańca i w końcu ustąpił.

- Tylko niech nic głupiego nie przyjdzie ci do głowy, Webb. Nie masz dokąd uciekać i nikt tu ci nie pomoże.

- Nie będę uciekał. Proszę, uwolnijcie mnie.

Stan westchnął i wyciągnął kluczyk z kieszeni. Uwolnił nogę i jeden z przegubów Frankiego, ale drugi nadal był połączony z łańcuchem w pasie mężczyzny.

- Tyle mogę dla ciebie zrobić, Frankie.

Webb posłużył się wolną dłonią, żeby usiąść na śniegu, po czym zgarbił się i zaszlochał.

Seth wpatrywał się w więźnia. Na lotnisku Webb był taki bezczelny i pewny siebie, zimny i wyrachowany. Najwyraźniej jednak to otarcie się o śmierć zdołało nim wstrząsnąć.

Seth odwrócił się do agenta.

- Nic panu nie jest?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Utyka pan - zauważył Seth, kiedy agent nie wspomniał o swojej ranie na nodze.

- Rozciąłem udo, ale nic mi nie będzie. Niech pan poszuka innych.

Seth zawahał się, ale Kowalski machnął głową, wskazując wrak za nimi.

- Proszę iść. Zaraz doprowadzę go do porządku. Jak tylko się wysmarka - dodał z niesmakiem.

Z każdym krokiem, który wykonał w stronę zniszczonego samolotu, Seth czuł, że jego umysł się oczyszcza. Pomyślał, że przydadzą mu się umiejętności nabyte podczas wieloletniej pracy terenowej i powietrznych patroli.

Uznał, że musi znaleźć apteczkę i pomarańczowy worek marynarski z artykułami pierwszej potrzeby, zanim światło dochodzące od ognia zniknie. W worku z pewnością była latarka....

Będzie ją musiał oszczędzać.

... mieli też latarnię kierunkową...

Czy zadziała?

... ciepło... schronienie...

Jak bardzo spadnie dziś temperatura?

Kiedy dotarł do zniszczonego kadłuba samolotu, poczuł nagły przypływ energii. W ziejącej ciemnością dziurze stała jakaś postać - kobieta.

Przez chwilę Seth miał nadzieję, że Elizabeth postanowiła się z nim spotkać w połowie drogi, ale natychmiast odrzucił tę myśl, gdyż osoba, którą widział, była wyższa i pulchniejsza.

Umysł pracował mu teraz całkiem dobrze i Seth przypomniał sobie pasażerów, których obserwował zaledwie kilka godzin wcześniej. Poza „nieznaną” osobą z Randon Advertising, w samolocie znajdowała się jeszcze tylko jedna kobieta.

- Pani Hawkes? - zapytał cicho, mając nadzieję, że się nie pomylił.

Kobieta zamruwała. Jej oczy wydawały się wielkie i nieprzytomne.

- Muszę się stąd wydostać - powiedziała.

Poruszyła się, jak gdyby chciała zeskoczyć w śnieg, ale Seth ją powstrzymał.

- Pani Hawkes, myślę, że powinna pani usiąść. Proszę zostać w środku, tu jest cieplej.

- Nie... Muszę się stąd wydostać.

Głos kobiety był mocny, ale balansował na krawędzi hysterii, tak więc Seth ustąpił, pomagając jej wydostać się z wraku.

Kiedy pani Hawkes stanęła na ziemi, osunęła się na kolana i klęcząc w śniegu, zaczęła szlochać.

- Ken? Gdzie jest Ken?

Seth zmarszczył brwi. Był pewien, że nikt o tym imieniu nie znajdował się na liście pasażerów.

- Kim jest Ken, pani Hawkes?

- To mój mąż. - Popatrzyła na niego błagalnie. - Widział pan mojego męża? Nie zostawiłby mnie tu samej. Zawsze się mną opiekuje.

Seth ukląkł obok i ujął ją za rękę.

- Podróżowała pani sama, pani Hawkes. Na jej obliczu pojawiło się zaskoczenie.

- Nie, nigdy nie podróżuję sama. Nie lubię być sama ani... - Jej oczy wypełniły się łzami. - Moje książki! Gdzie są moje książki?

- Jakie książki, pani Hawkes?

- Nie podróżowałabym przecież tak daleko bez swoich... książek.

Seth czuł się rozdarty, wiedział, że powinien poszukać innych pasażerów. Jak jednak mógł zostawić Willę Hawkes w takim stanie?

- Ja z nią zostanę - odezwał się jakiś głos z tyłu.

Seth odwrócił się i ujrzał, jak kulejąc idzie w jego kierunku Richard Brummel. Lepki Ricky.

- Wy... wypadłem z wraku - stwierdził Ricky z uśmiechem pełnym zdumienia i oszołomionego niedowierzania.

- Jest pan ranny?

- Uderzyłem o coś kolanem, ale nic mi nie jest. Jeśli ktoś mnie zapyta, powiem, że to dawna kontuzja z boiska futbolowego.

Z gardła Seta wydobył się krótki, pełen ulgi śmiech.

- Proszę iść - Ricky wskazał samolot. - Myślę, że większości z nas nic się nie stało. Jeden z pasażerów, a właściwie to jakiś dziwny dzieciak, płacze się po drugiej stronie samolotu. Jest tam też facet w długim płaszczu, i jeszcze jeden dżentelmen, który wyczołgał się z maszyny tuż przed wybuchem.

Seth gorączkowo usiłował przyswoić sobie te informacje. Kowalski i jego więzień. Willa Hawkes, Ricky Brummel i trzech innych mężczyzn. Wobec tego pozostawała tylko Elizabeth i jeszcze jeden mężczyzna.

Seth ruszył w kierunku wraku i zmrużył oczy, aby dojrzeć coś w półmroku.

- Elizabeth! - zawołał. - Odpowiedz mi, do cholery. Kiedy nie usłyszał żadnej odpowiedzi, poczuł, że żołądek ściska mu się z przerażenia. Co zrobi, jeśli Elizabeth nie będzie już częścią jego życia, jeśli...

Ależ ona nie jest już częścią twojego życia, przypomniał sobie. Rozwiedliście się.

To prawda. Dotąd jednak nie zdawał sobie sprawy z tego, jak zależało mu na tym, żeby ponownie się z nią skontaktować, żeby zobaczyć, czy coś znowu między nimi zaiskrzy...

Zaiskrzy.

Światło.

Polegając wyłącznie na swoim dotyku i znajomości samolotu, Seth wymacał drogę do szafek na bagaż podręczny, zlokalizowanych nad głównym wyjściem awaryjnym. Drzwi otworzyły się z niechętnym skrzypnięciem i chociaż Seth uważał, spadł na niego deszcz płaszczy i toreb.

Zignorował to, dotarł do końca szafek, gdzie znalazł plastikowy pojemnik - apteczkę, przymocowaną pasami do przegrody. Zerwał pokrywę i wymacał dwie cylindryczne tuby z plastiku.

Bingo.

Zerwał pieczęć na jednej z tub, potrząsnął płynem wewnątrz. Zaświeciło jasne, zielonkawe światło, coraz mocniej oświetlając wnętrze samolotu.

Gorączkowo omiół spojrzeniem pomieszczenie. Poczuł ucisk w gardle, gdyż samolot wydawał się zupełnie pusty. Po chwili jednak zauważył szczupłą dłoń, która leżała w przejściu pomiędzy dwoma ostatnimi fotelami.

- Lizzie? - wyszeptał.

Zaczął odrzucać na bok torby i płaszcze, żeby przedostać się do przejścia.

Najwyraźniej zaklinowała się między dwoma ostatnimi fotelami po lewej stronie samolotu. Była oparta plecami o kadłub, nogi przyciągnęła do ciała, a jej głowa i ramię spoczywały na siedzeniu.

Z wahaniem wyciągnął rękę i odsunął pasmo włosów z twarzy kobiety. Długie, jedwabiste kosmyki przyczepiły się do jego zakrwawionych palców. Ze strachem wsunął dłoń pod jej brodę, szukając pulsu na szyi. Serce zaczęło walić mu jak młotem, kiedy poczuł oznaki życia.

- Elizabeth - mruknął, odsuwając włosy z jej policzka i modląc się o to, żeby otworzyła oczy. Z oparcia zwisał nieprzydatny już pas bezpieczeństwa.

- Dlaczego się nie zapięłaś? - wyszeptał.

Krople potu pojawiły się na jego górnej wardze, kiedy ciało Elizabeth nawet się nie poruszyło. Narastało w nim pragnienie, by ją chronić. Wyglądała tak bezbronne, tak bezradnie - nigdy nie sądził, że mógłby przypisać te cechy Elizabeth Boothe. W interesach i życiu zawodowym roztaczała aurę takiej pewności siebie, że nikt nie miał wątpliwości, iż ta kobieta panuje nad wszystkim. Rzadko kiedy prosiła o pomoc, nigdy nie dawała do zrozumienia, że czegoś potrzebuje. Nawet od niego. Mimo ich namiętnego związku i przysięgi małżeńskiej, Elizabeth nigdy go nie potrzebowała.

Dotknął jej policzka, zanurzając palce w hebanowej chmurze włosów. Był to tylko gest pocieszenia, nie mógł zrobić nic więcej, dopóki Elizabeth nie odzyska przytomności.

- Lizzie, chcę, żebyś mi powiedziała, gdzie cię boli - rzekł stanowczo, choć cicho, i uklęknął obok niej. - Lizzie, odpowiedz mi, proszę!

W końcu z gardła Elizabeth wydobyło się ciche, niemal kocie miauknięcie, a jej rzęsy zatrzepotały.

- O, właśnie tak, skarbie. Wróć do mnie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- O, właśnie tak, skarbie. Wróć do mnie.

Szorstki, dziwnie znajomy głos wyrwał Elizabeth z głębokiego i ciepłego kokonu. Znała ten głos. Tę czułość. Ale kto to?

- Wróć do mnie. Wróć...

W ułamku sekundy została wyrwana z ciepłej, bezpiecznej miękkości swojej kryjówki.

- Nie - odparła i zaczęła drżeć. Wydawało jej się, że ziemia pod nią się trzęsie. Trzeszczenie metalu na śniegu wypełniło jej uszy. - Nie! Przestań!

- Elizabeth, otwórz oczy.

Ten wymagający głos przywrócił jej pamięć.

Seth.

Samolot.

Wypadek.

Jej powieki otworzyły się szybko i skoncentrowała się na odwróconym do góry nogami świecie pełnym czerwonych oraz zielonkawych świateł i cieni, świecie jakichś nieokreślonych kształtów, świecie chaosu.

- Czy jestem w piekle? - wyszeptała.

Do jej uszu dobiegł dźwięk, który był ni to śmiechem, ni to westchnieniem. Przed oczyma Elizabeth pojawiła się znajoma twarz.

- Jeśli tak, to oboje się tam znaleźliśmy. Jednak moim zdaniem jest zbyt zimno, żeby to było coś innego niż prawdziwe życie.

Seth. Jego głos. Jego siła. Nawet teraz ją pociągał, nawet kiedy powtarzała sobie, że ich wspólne życie bezpowrotnie minęło...

Zmrużyła oczy, gdy przyglądała się twardej linii szczęki Setha, jego kręconym ciemnym włosom.

Wyglądał starzej. Starzej, ale dobrze. Bardzo dobrze.

Wróć do mnie...

Te słowa rozbrzmiewały w jej głowie i Elizabeth zastanawiała się, czy Seth rzeczywiście je wypowiedział, czy to tylko wytwór jej wybujałej wyobraźni.

Wiedząc, że kontynuowanie tego toku myślenia może jedynie prowadzić do kłopotów, Elizabeth spróbowała się wyprostować.

- Możesz mi pomóc? - zapytała w końcu, kiedy stało się jasne, że beznadziejnie utknęła pod stosem płaszczy i koców.

- Jesteś ciężko ranna? Zdrętwiałaś? Nie czujesz jakiejś części ciała?

Elizabeth poruszyła palcami u stóp, uśmiechając się niewyraźnie, kiedy jej posłuchały. Była zmarznięta i poobijana, ale z pewnością żyła.

- Nic mi nie jest. Czuję każdy centymetr ciała. - Skrzywiła się i dodała: - Uwierz mi. Jeśli chodzi o drętwotę, to marzną mi czubki palców u stóp, ale wszystko inne wydaje się w porządku.

Duże, szerokie ręce puściły jej ramiona i Seth niezgrabnie podniósł ją, przyciągając do swojego torsu. Potknął się przy tym lekko, mocniej przytulając do siebie Elizabeth. Poczowała jego mięśnie i kości, zanim z powrotem usadził ją na fotelu.

Z jej gardła wydobył się niezamierzony jęk, kiedy wyraźnie poczuła napływ krwi do głowy. Nagle zrobiło jej się słabo, a na dodatek niedobrze.

- Lizzie?

Głos Seta wydawał się dochodzić z wielkiej odległości. Elizabeth walczyła z nadciągającą ciemnością.

- Co się stało?

Uczepiła się gorączkowo jego głosu, świadomości, że Seth jest tuż obok.

- Musiałam uderzyć się w głowę - wyszeptała, ostrożnie podnosząc ręce, żeby dotknąć czaszki. Palce jej jednak drżały, a całe ciało zaczęło się trząść jak w febrze.

Widząc, co się z nią dzieje, Seth otarł ręce o dzinsy, żeby pozbyć się ostatnich śladów krwi. Chwycił leżące obok dwa cienkie koce z logo Unii lotniczych Zachodniego Nieba i owinał nimi ramiona Elizabeth, następnie pochylił się i zbliżył twarz do jej głowy.

- Niech ja spojrzę. Potem znajdziemy twoje buty i podniesiemy ci nogi. Nie chcę, żebyś doznała szoku.

Miała zamiar się kłócić, nalegać, że nie musi się z nią cackać, ale w tym momencie pragnęła czyjegoś dotyku. Dotyku Seta.

Uniósł brodę Elizabeth i popatrzył jej w oczy - a ona modliła się o to, żeby nie wyglądała tak strasznie, jak się czuła. Jeśli jednak nawet tak było, Seth nie okazał tego w żaden sposób, gdy jego szerokie, pełne odcisków dłonie dotykały jej włosów, a następnie zanurkowały pod potargane loki i zaczęły obmacywać skórę głowy.

Ból przeszył jej czaszkę i szyję. Elizabeth syknęła.

- Masz tutaj niezłego guza. Zważywszy jednak na to, że nie zapięłaś pasa, to cud, że nie złamałaś sobie karku - stwierdził Seth.

Omijając bolesne miejsce, centymetr po centymetrze badał jej głowę i ramiona.

Elizabeth zadrżała, i to nie z zimna. Już od tak dawna nikt jej nie dotykał. Odkąd zostawiła Seta, nie pozwalała zbliżyć się do siebie żadnemu mężczyźnie. Nie pragnęła nikogo innego -

Nie mogąc się powstrzymać, dotknęła rany nad jego okiem. Choć starała się z tym walczyć, świadomość otarcia się o śmierć, sprawiła, że jej ciało przeszły dreszcz.

- Masz szczęście - mruknęła. - Jeszcze dwa centymetry i byłbyś ślepy na jedno oko.

- Przeżyję. - Wzruszył lekceważąco ramionami.

Ich wzrok spotkał się i mogli obserwować odbite w ich oczach podobne emocje. Żyli. Nie zginęli.

- Dlaczego mnie zostawiłaś? - spytał Seth, tak cicho, że właściwie domyśliła się, co powiedział. Zielonkawe światło coraz bardziej bladło, aż wreszcie całkiem zniknęło.

Usłyszała, jak Seth klnie, wyczuła, jak poruszał się w ciemności. Następnie znowu zalał ich snop fluorescencyjnego światła.

Przez kilka długich chwil Elizabeth wpatrywała się w jedyne go mężczyznę, któremu kiedyś zaufała na tyle, by dzielić z nim życie. Na tyle, by kochać się z nim i go poślubić.

Co poszło nie tak?

Nie było czasu na analizę przeszłości ani też ich obecnej sytuacji. Zanim Elizabeth zdołała uporządkować własne myśli, okrzyk pełen ogromnego przerażenia wstrząsnął zimową ciszą.

Seth zareagował pierwszy.

Szarpnął za drzwi małego schowka zlokalizowanego obok toalety na tyłach samolotu. Framuga zgięła się podczas uderzenia, blokując drzwi.

Zmiąwszy w ustach przekleństwo, Seth przywarł plecami do ściany naprzeciwko i z całej siły kopnął zablokowane drzwi. Gdy ustąpiły, a właściwie wpadły do środka, zobaczył płaszcze i bagaże.

Seth uklęknął i zaczął grzebać w ciemnościach, aż wydobył ze schowka jaskrawopomarańczowy worek. Kiedy zielonkawa poświata fluorescencyjnej lampki zbladła, wyciągnął z worka olbrzymią latarkę i włożył do niej baterię.

Jasny snop światła oświetlił znienacka ciemności i panujący wokół chaos. Elizabeth wzięła głęboki oddech, zastanawiając się, jak zdołali przeżyć.

- Zaraz wracam - powiedział Seth.

Nie czekając na sprzeciw Elizabeth, skoczył na śnieg i zniknął z jej pola widzenia.

Znowu rozległy się krzyki, pełne przerażenia.

Elizabeth dźwignęła się na nogi i zadrżała, kiedy zimno, ciemności i nieznana groźba czająca się na zewnątrz omal nie pozbawiły jej tej odrobiny spokoju, którą zdołała zachować. Z bosymi stopami i obolała, poczuła się niezwykle bezbronna i śmiertelna.

Ponieważ latarka fluorescencyjna i tak była na wyczerpaniu, Elizabeth wykorzystwała nikłe światełko do zlokalizowania swojej torby. Była wciśnięta pod fotel przed nią, a że wcześniej Elizabeth przygniotła ją swoim ciałem, odnalazła ją z łatwością. Kilka sekund później schwyciła sportowe buty, które trzymała na dnie, a także grube skarpety, którymi zazwyczaj chroniła rajstopy.

Z jej ust wydobyło się westchnienie zachwyty, kiedy gruby, ciepły materiał dotknął zmarzniętego ciała. Miała jednak niewiele czasu, żeby nacieszyć się tym uczuciem, gdyż krzyki na zewnątrz stawały się coraz głośniejsze i przepojone przerażeniem. Zerwała się tak szybko, jak pozwalało jej na to poobijane ciało, założyła buty i zawiązała sznurowadła.

- Prędej, Elizabeth, prędzej - wyszeptała do siebie.

Kiedy jej wzrok przywykł do ciemności, sięgnęła po pojemnik z napisem „Pierwsza pomoc”. Z doświadczenia wiedziała, że Seth byłby zirytowany, jeśli odważyłaby się nie słuchać jego poleceń. Z pewnością jednak ucieszy się, jeśli przyniesie mu apteczkę.

Chociaż drżały jej nogi, Elizabeth zmusiła się do tego, żeby podejść do wielkiej dziury. Fluorescencyjna latarka zużyła się już do końca, więc rzuciła ją w śnieg i z przerażeniem zaczęła przyglądać się zniszczeniom.

Mimo że widywała już skutki katastrof lotniczych, spodziewała się ujrzeć samolot - zniszczony, wgnieciony, ale jednak samolot, choć z grubsza przypominający maszynę, do której wsiadała w Salt Lake City. Zamiast tego zobaczyła fragmenty silnika, foteli, połamany metal, splątane kable, rozrzucone bagaże i nadal tłące się resztki skrzydła.

Ciszę nocy przeszył kolejny krzyk i Elizabeth drgnęła, automatycznie szukając źródła hałasu. Kilka metrów dalej Seth brnął przez śnieg, zmierzając do grupki ludzi zebranych nad stosem bagażu i resztkami maszyny.

Kiedy Seth podszedł bliżej, snop światła z latarki oświetlił przerażający widok. Mężczyzna, czy też to, co z niego pozostało, wciąż był przymocowany do fotela, ale twarzy nie dawało się rozpoznać, ubranie zaś miał całkowicie podarte. Szeroko rozwarte oczy wpatrywały się w niebo.

Kilka metrów dalej kobieta w średnim wieku, z twarzą wykrzywioną ze strachu, patrzyła na ciało i trzęsa się, krzycząc przeraźliwie.

Willa Hawkes. Elizabeth przypomniała sobie, że rozmawiała z nią w toalecie.

- Ten facet siedział przede mną.

Elizabeth drgnęła, kiedy chudy mężczyzna o twarzy chłopca wyłonił się z cienia i stanął tuż za nią. Po chwili uświadomiła sobie, że to ten pasażer, który w konkursie radiowym wygrał podróż do Aruby.

Zadrzała. Żadne z nich nie zdąży na swoją przesiadkę ani na wycieczkę do Denver. Zapadała noc, ogień z palącego się skrzydła dogasał, zaczynał padać śnieg. Wkrótce nic już nie będzie widać. Jakakolwiek pomoc pojawi się najwcześniej nad ranem.

- Obaj siedzieliśmy niedaleko skrzydła - wyszeptał pasażer o zapadniętych policzkach. - Ja siedziałem... tuż za nim. To chyba był jeden z agentów FBI. Widziałem go... kiedy skrzydło odpadło... wyleciał jak...

Elizabeth nie chciała dłużej tego słuchać. Nie chciała wiedzieć, że w katastrofie zginaj człowiek. Nie chciała przyjąć do wiadomości, że właściwie wszyscy uczestnicy tego lotu otarli się o śmierć. Nie chciała pamiętać, że ten mężczyzna jeszcze tak niedawno był bardzo żywotny i pewny siebie, kiedy pokazywał swoją legitymację Sethowi, tuż przed wylotem z Lake Salt City.

Nagle rozległ się stłumiony odgłos wystrzału i Elizabeth podskoczyła. Ujrzała, jak wiruje snop światła latarki Seta, kiedy obrócił się na śniegu, po czym upadł na brzuch. Nieco dalej dostrzegła drugiego z agentów FBI, który kłął i krzyczał. Chyba miała omamy, ale wydawało jej się, że celuje on do szybko uciekającej postaci

ubranej w jaskrawopomarańczowy kombinezon i cienką dżinsową kurtkę.

- Wracaj tu, do cholery! - wrzeszczał agent, ale uciekinier w mgnieniu oka wskoczył w kępę drzew i zniknął mu z pola widzenia.

Agent usiłował za nim biec, ale ze sposobu, w jaki ciągnął za sobą lewą nogę, widać było jasno, że nie ma szans dogonić zbiega.

Seth dzwignął się i podbiegł do agenta w chwili, gdy mężczyzna upadł w śnieg. Nawet w tej pozycji Stan Kowalski przetoczył się na brzuch i nadal strzelał do drzew.

- Oszalałeś? - warknął Seth i gwałtownie wyrwał mu pistolet z rąk.

Kowalski usiłował wstać, a następnie próbował się czołgać, aż w końcu zrezygnował i opadł w śnieg.

- Wystarczy - powiedział Seth władcym tonem, który dotarł do Elizabeth nawet z tej odległości. - Niech ucieka. Daleko nie zajdzie. Mróz zmusi go do powrotu.

Elizabeth zeskoczyła na ziemię. Zignorowała silny ból, który atakował jej skronie, i zmusiła się do ruchu. Z wysiłkiem brnęła przez głęboki śnieg, a chcąc zaoszczędzić sobie trudu, trzymała się ścieżki, którą wydeptał Seth.

Dotarł do niego, kiedy Kowalski przetoczył się na plecy. Agent skręcał się z bólu, a krew sączyła się z długiej rany na jego udzie.

- Przyniosłam apteczkę - powiedziała Elizabeth do Setna. Chyba bardziej po to, żeby poinformować go o swojej obecności, niż żeby głośno oznajmić to, co sam mógł zobaczyć.

- Grzeczna dziewczynka. - Seth uśmiechnął się do niej z wdzięcznością. Waśnie rozdzierał spodnie agenta, by przyjrzeć się ranie. - Powinien tam być zestaw pincet, bandaże i jałowe gaziki. Zobacz, czy zdołasz je znaleźć.

Zapadając się w jedną z zasp, Elizabeth jednak zrobiła, co jej polecił i natychmiast znalazła potrzebne rzeczy.

Seth wziął sterylną paczuszkę i rozerwał ją zębami, po czym wyciągnął pincetę, zanim wytrząsnął resztę rzeczy do otwartego pudełka.

- W nogę wbiło mu się szkło i metal. Musimy założyć opaskę uciskową, ale nie odważę się zrobić niczego, zanim nie usuniemy odłamków. Potrzymasz mi latarkę?

Skinęła głową, zapaliła latarkę i skierowała snop światła na udo agenta. Rana była głęboka, niemal do kości i tkwiły w niej odłamki metalu.

Agent zbladł na ten widok. Mając nadzieję, że zdoła odwrócić jego uwagę od rany, Elizabeth uklękła obok niego i ustawiła latarkę w taki sposób, żeby choć częściowo zasłonić mu widok.

- Jak się nazywasz? - spytała i trąciła go kolanem, kiedy nie odpowiedział.

Było jasne, że usiłowała go zagadać, gdyż przedstawił się już wcześniej, na lotnisku. Mężczyzna oblizał usta, po czym spojrzał na Elizabeth stalowoszarymi oczyma.

- Stan Kowalski - odparł.

- Nie za dobrze strzelasz, Stan.

- Akurat. - Wbrew sobie roześmiał się krótko. - Mam w domu medal za strzelanie.

Elizabeth uniosła brew w udawanym niedowierzaniu, a on dodał szybko:

- Jest cholernie zimno, ręce mi drżały.

Zrobiła co w jej mocy, żeby uśmiechnąć się do niego przekornie.

- Jakoś nie sądzę, żeby twój przełożony uznał to za przekonujące usprawiedliwienie.

- A niech go szlag!

- Przykro mi to mówić, ale jestem całkiem pewna, że nawet nie drasnąłeś swojego więźnia.

Stan wykrzywił twarz, nie tylko z bólu.

- W zwykłych okolicznościach wysłałbym za nim swojego partnera... - W tym momencie jęknął, zapewne z powodu bólu, jaki zadał mu Seth, wyjmując kolejny odłamek. - Ale mój partner nie żyje. To on jest w tym fotelu.

Wśród zebranych rozległy się stłumione szepty.

- Wyleciał z samolotu, kiedy odpadło skrzydło - ciągnął Stan bezbarwnym, ponurym głosem. - Wylądował na poskręcanych metalu i szkłe... pewnie na części kadłuba - Jego głos zadrżał. - Żył, kiedy do niego dotarłem... żył i okropnie kłął. Usiłowałem wydobyć go z fotela, ale jego pas też się poskręcał, więc odszedłem, żeby znaleźć coś, czym mógłbym go przeciąć. Zaplątałem się w jakieś kable i upadłem. Właśnie wtedy skoczył na mnie Frankie Webb, zabrał mi kluczyki od kajdanek...

Broda mężczyzny zadrżała, a Elizabeth poczuła, że i ona nie jest w stanie trzymać nerwów na wodzy.

- Już wtedy byłem ranny w nogę po lądowaniu. I jeszcze bardziej rozwalilem sobie udo, kiedy ganiałem tego sukinsyna Webba.

Na polanie zapadła cisza. Elizabeth obserwowała, jak spojrzenie Seta prześlizguje się po twarzach pozostałych pasażerów. Niemal słyszała jego myśli.

Dziesięć osób wyleciało samolotem z Salt Lake City do Denver. Dziewięć przeżyło. Kilka odniosło rany. A jeden seryjny morderca umknął do lasu.

Elizabeth przyłapała się na tym, że obserwuje ocalałych pasażerów tak, jak chyba musiał to robić Seth.

Willa Hawkes przestała krzyczeć i teraz stała kilka metrów dalej, z torebką przyciśniętą do piersi. Najwyraźniej znajdowała się w szoku, bo nie przestawała mamrotać do siebie:

- Moje książki, moje książki, moje książki...

Na widok stanu bibliotekarki Ricky podskoczył do niej i objął ją ramieniem.

- Chodźmy, panno...

Kobieta przez chwilę wpatrywała się w niego bezmyślnie, ale kiedy Ricky uśmiechnął się do niej zachęcająco, powiedziała ochryplym głosem:

- Pani Hawkes.

- No właśnie, pani Hawkes. Chodźmy poszukać pani płaszcza.

- Ubierz ją jak najcieplej, Ricky. Potem zmusz, żeby się położyła i uniosła stopy! - krzyknął do niego Seth.

Ricky skinął głową na znak, że rozumie. Ostrożnie poprowadził Willę do schronienia w części ogonowej. Willa przystanęła, kiedy zrozumiała, że chciał, by weszła do środka, ale Ricky się nie zrażał, więc po chwili zgarbiła się i posłusznie zastosowała do jego polecenia.

- Proszę pana! - zawołał Seth, wskazując ręką na wymizerowanego biznesmena, który usiadł na jednym z foteli znajdujących się w pobliskiej zaspie.

Elizabeth rozpoznała w nim mężczyznę, który kupił jej kawę w Salt Lake City. Walsh nie odrywał wzroku od rany w udzie Kowalskiego.

- Jak się pan nazywa? - zapytał go Seth.

- Walsh. - Mężczyzna odchrząknął i powiedział głośniejszym głosem: - Peter Walsh.

- Jest pan ranny?

Walsh potrząsnął głową, ale Seth widząc, jak zasłaniał ręką klatkę piersiową, uznał, że najprawdopodobniej stara się robić dobrą minę do złej gry.

- Mimo to zaraz pana obejrzę - powiedział Seth. - A pan? - Wskazał ręką na wysokiego, trupio bladego biznesmena, ubranego w surowy czarny garnitur i płaszcz.

- Jestem pewien, że doznałem urazu kręgosłupa... a może nawet czegoś gorszego. Co się, u diabła, stało?!

Elizabeth drgnęła, poruszona jego agresywnym tonem, a raczej gniewem wibrującym w głosie mężczyzny. Jak przez mgłę przypomniała sobie tego człowieka siedzącego z tyłu samolotu, tuż przed katastrofą. Nie zauważyła go na lotnisku, więc musiał wsiąść na pokład, zanim ona się na nim pojawiła.

- Chyba jest pan winien nam wszystkim wyjaśnienie - warknął pasażer i skierował pełne złości spojrzenie na Seta.

- Porozmawiamy o tym później. - Głos Seta był spokojny i niewzruszony. - Teraz musimy się zorganizować, panie...

- Gallegher. Ernst Gallegher. Jestem dyrektorem naczelnym Gallegher Enterprises.

Powiedział to takim tonem, jak gdyby uważał, że ta informacja musi zrobić na wszystkich wielkie wrażenie.

- Panie Gallegher, panie Walsh, chciałbym, żeby panowie także wrócili do samolotu. Wszyscy powinniście się położyć na fotelach albo na podłodze i owinąć kocami.

Elizabeth wątpiła, czy cokolwiek z tego, co powiedział Seth, dotarło do Petera Walsha. Kiedy jednak Seth spojrział na Ernsta Galleghera, mężczyzna pochylił się, żeby pomóc Walshowi wstać. Razem powlekli się za innymi odchodzącymi pasażerami.

- Hej! Proszę pana! - zawołał Seth do ostatniego pasażera, z którym jeszcze nie rozmawiał, do tego samego chudego mężczyzny o twarzy chłopca, który wcześniej zwrócił na siebie uwagę Elizabeth. Mężczyzna kręcił się niespokojnie po poboju, a jego oczy były wilgotne od łez. - Jest pan ranny?

Młody człowiek drgnął, po czym pokręcił przecząco głową.

- Mój płaszcz - powiedział słabo. - Usiłuję znaleźć swój płaszcz. Jest długi, wełniany. Naprawdę ciepły. Zdjąłem go i włożyłem do podręcznej torby. - W jego oczach pojawił się błysk. - Widzieli ją państwo? Moją torbę? Tam jest identyfikator z moim nazwiskiem... Michael Nealy.

Elizabeth nie miała pojęcia, jak Nealy zamierza odnaleźć cokolwiek w zapadających nad doliną ciemnościach. Nawet poświata z dopalającego się skrzydła samolotu nie dawała zbyt wiele światła.

- Niech pan przyłączy się do reszty, Nealy - powiedział bez ogródek Seth.

- Ale to bardzo ważne, żebym...

- Proszę iść! Proszę sobie wziąć koce lub jakiś bagaż, cokolwiek, co znajdzie pan po drodze, ale chcę, żeby za minutę był pan w samolocie, rozumiano?

- Ale...

- Cholera! Więzień, który uciekł, to seryjny morderca kobiet, psychopata, a skoro zapewne ma pistolet tego zabitego agenta, to chyba nie chciałby pan stać tu sobie na polanie i czekać na niego, co?

Elizabeth patrzyła, jak Nealy nagle zaczął biec prosto do samolotu.

- Naprawdę myślisz, że Frankie Webb zacznie do nas strzelać? - zapytała nerwowo, wpatrując się w coraz ciemniejsze cienie drzew.

- Nie, u diabła. Mógłbym się założyć, że pistolet Caldwell'a nadal tkwi w kaburze.

- To dlaczego...

- Dlaczego to powiedziałem? - Seth znowu zaczął się zajmować rannym Kowalskim. - Chciałem zmusić tego młodego człowieka, żeby wrócił do samolotu. Ludzie w szoku robią rozmaite głupie rzeczy. Gdybym nie przekonał go do zmiany zdania, pewnie spędziłby całą noc na poszukiwaniu swojego bagażu i w rezultacie zamarzył na śmierć.

Kiedy Seth zaczął delikatnie uciskać nogę Stana, Elizabeth odwróciła się do agenta, chcąc znowu zająć jego uwagę niezobowiązującą pogawędką. Jednak od razu stało się dla niej jasne, że wszystkie jej wysiłki spełzną na niczym.

Stan Kowalski nie dawał znaku życia...

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Czy on umarł? - wyszeptała Elizabeth. Seth sprawdził puls na szyi mężczyzny.

- Nie. Po prostu zemdlał i tyle... - Seth wskazał ręką na paczkę, którą wrzucił do pudełka ze środkami opatrunkowymi. Zauważył, że jego palce znów są lepkie od krwi. - Podaj mi te gaziki, a potem oderwij trochę taśmy klejącej, dobrze?

Zrobiła, co jej kazał, i patrzyła ze zdumieniem, jak Seth zręcznie stosuje opaskę uciskową, żeby powstrzymać krwawienie, a następnie owija ranę i zabezpiecza ją taśmą.

- To powinno wystarczyć, dopóki nie pojawi się fachowa pomoc - stwierdził.

Elizabeth skupiła się na tych ostatnich słowach.

- Kiedy? - szepnęła.

Seth znieruchomiał na moment, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Wyłącz latarkę, trzeba oszczędzać baterie - powiedział. - Niech Kowalski poleży jeszcze kilka minut w spokoju, zanim go przeniesiemy.

Zgasła latarkę, usiadła i zadrzała, wpatrując się w ciemność i wtopioną w nią niemal niewidoczną sylwetkę Setha.

Która była godzina? Dziesiąta? Jedenasta? Burza i wczesny zimowy zachód słońca sprawiły, że noc stała się niesamowicie ciemna. Elizabeth wątpiła, czy od ich wylotu z Salt Lake City minęło więcej niż godzina lub dwie.

- Kiedy możemy spodziewać się pomocy? - zapytała ponownie.

Teraz, kiedy reszta pasażerów schroniła się we wraku samolotu, nagle poczuła się bardzo samotna na zasypanej śniegiem polanie i wystawiona na cel tego psychopaty. Mimo zapewnień Setha, że Frankie Webb nic im nie zrobi, miała gęsią skórę na karku, jak gdyby ktoś ją obserwował.

Seth westchnął.

- Zanim spadliśmy, straciliśmy kontakt radiowy - przyznał. - Założę się, że to, co spowodowało utratę sterowności, zniszczyło też urządzenia komunikacyjne.

- Nie ma szans na naprawę?

- Nie przy zniszczeniach spowodowanych upadkiem. Drzewo rozwaliło niemal cały panel sterowania. - Zamilkł na chwilę i dodał: - Gdybyś siedziała na fotelu drugiego pilota, zginęłabyś.

Elizabeth znów zadrzała i objęła rękami kolana. Na szczęście Seth nie przestawał mówić, nie pozwalając jej myśleć o ponurych sprawach.

- Korytarz powietrzny był pełen przed naszym odlotem, ale w Denver mieliśmy pojawić się dopiero za kilka godzin. - Zaczął przemywać ręce śniegiem. - Kiedy moi przełożeni zorientują się, że coś jest nie tak, zawiadomią policję. Do tego czasu musimy czekać.

Elizabeth cały czas czuła silne drżenie ciała, pewnie trzęsło ją nie tylko z zimna, ale i ze strachu.

- Jak nas znajdą? - zapytała.

- W części ogonowej mamy latarnię kierunkową. Ta część samolotu została najmniej uszkodzona, więc mam nadzieję, że sprzęt działa. Jeśli tak, to już wysyłamy sygnały...

- A jeśli nie działa?

- Nie myśl o kłopotach, zanim się nie upewnisz, czy naprawdę je masz. Jutro, kiedy tylko wstanie słońce, zerknę na latarnię i upewnię się, czy działa prawidłowo. W pobliżu steru są drzwiczki kontrolne. Jednak dopóki nie pojawi się światło, pewnie nawet nie znajdem mechanizmu, nie mówiąc już o jakichkolwiek naprawach.

Co oznaczało, że jeśli latarnia kierunkowa nie emituje sygnału, nie ma nadziei na ratunek aż do następnego ranka lub popołudnia.

- Co będziemy robili w tym czasie?

- Będziemy się starali rozgrzać, nie moknąć, będziemy uważali, by nie wpaść w szok lub w apatię i trzymali się z dala od Frankiego Webba.

- Dobrze - odpowiedziała o wiele słabszym głosem niż zamierzała, bo nagle odkryła, że o wiele bardziej niepokoi ją obecność zbiegłego więźnia, niżby się o to podejrzewała. Skąd ten irracjonalny lęk?

Seth wyciągnął rękę i pogłaskał zdrętwiały policzek Elizabeth swoim pokrytym odciskami kciukiem.

- Nie przejmuj się. Webb byłby głupcem, gdyby próbował jakichś sztuczek. Odstawię cię bezpiecznie do Denver. Tak czy inaczej.

Na krótką chwilę zamknęła oczy i uwierzyła w jego obietnicę.

Seth się nią zajmie.

Seth nigdy jej nie zostawi.

Nagle zeszywniała, kiedy dotarła do niej rzeczywistość i świadomość sytuacji, w jakiej się znalazła, przelała się przez nią niczym lodowata fala. Niektórych obietnic nie sposób było dotrzymać. Czy jeszcze nie nauczyła się tej lekcji?

Już kiedyś Seth mówił do niej takie słowa pełne obietnic. Uspokajał ją, zapewniał, że nigdy już nie będzie sama, że będzie bezpieczna. Kiedy się pobrali, był świadom, przez co przeszła Elizabeth. We wczesnym dzieciństwie spędziła niespokojne lata z matką schizofreniczką. Potem tułała się po kilkunastu rodzinach zastępczych. Kiedy poszła na studia, przysięgła sobie, że w jej życiu już nigdy nie pojawił się niepewność jutra - i Seth to rozumiał.

Albo tylko tak jej się wydawało.

Kiedy poznała Seta, ich wspólny znajomy szepnął jej, że ten przystojny facet wykląda historię na Uniwersytecie w Nowym Jorku i jest znanym ekspertem od starych samolotów bojowych. Nie wiedziała więc, że zaledwie kilka dni przed ich pierwszym spotkaniem Seth złożył rezygnację ze swojego stanowiska, gdyż chciał zostać pilotem oblatywaczem, czyli lotnikiem - kaskaderem. Kilka dni po ich krótkim miodowym miesiącu Seth wrócił do domu, rzucił na kanapę pudło ze swoimi rzeczami i poinformował Elizabeth, że właśnie był po raz ostatni w dotychczasowej pracy.

Wracając teraz pamięcią do tego dnia, Elizabeth pomyślała, że chyba próbował z nią porozmawiać. Próbował wytłumaczyć jej, że miał wspaniałą okazję latać na starych samolotach, które uwielbiał i o których wiedział wszystko, lub prawie wszystko. Zawsze mocno podkreślał historyczny aspekt tej pracy.

Jednakże myśli Elizabeth koncentrowały się na jednym.

Lotnik - kaskader.

Chciał być pilotem oblatywaczem.

Ta myśl napawała ją przerażeniem. Jej zdaniem, jedyne, co było bardziej ryzykowne od zawodu pilota, to właśnie zawód lotnika - kaskadera. Co to za praca dla mężczyzny, który obiecywał kobiecie bezpieczeństwo i spokój?

W końcu nie dała mu nawet szansy na jakikolwiek kompromis. Jego plany na przyszłość przerażały ją i nie chciała żyć z tym strachem na co dzień. Jednak wydawało się jej niesprawiedliwe

zmuszać go do pracy, której nie lubił. Gdyby zabroniła mu latać, prędzej czy później zaczęłyby odczuwać do niej niechęć. Co miała robić? Musiała uciec od tego strachu o niego, o jego życie.

Tak więc zostawiła go. Poczekala, aż wybrał się w drogę na kolejny pokaz lotniczy, zapakowała swoje rzeczy i odeszła.

Kciuk Setha błędził po jej zamarzniętych ustach i Elizabeth powróciła do rzeczywistości. Wyprostowała się i cofnęła gwałtownie, chcąc odsunąć się od niego.

Seth wstał i podniósł leżącą na ziemi latarkę.

- Zostań z nim przez chwilę - polecił Elizabeth.

- Dokąd idziesz? - Te słowa wyrwały się z jej ust, jakby bała się, że Seth już nigdy nie wróci. Nienawidziła się za to, że okazała słabość. Znow ten strach...

- Muszę przykryć Caldwell'a jakimś kocem. Przynajmniej tyle mogę dla niego zrobić.

Elizabeth przygryzła wargę. Seth nie mógł przecież winić siebie za śmierć tego mężczyzny.

Jednak kiedy spojrzała na jego zaciśnięte szczęki, zrozumiała, że tak właśnie jest.

- Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy! - zawołała za jego szybko oddalającą się postacią.

Skrzypienie śniegu ustało, więc domyśliła się, że Seth przystanął.

- Czyżby?

Te słowa zostały wypowiedziane tonem tak ponurym i pełnym niedowierzania, że poczuła się w obowiązku mówić dalej.

- Wszyscy mogliśmy zginąć. Dzięki tobie wylądowaliśmy i żyjemy... I nic nam nie będzie.

Usiłowała tchnąć w to oświadczenie maksimum optymistycznej pewności, ale jakiś drwiący głosik w głowie przypomniiał jej, że słowa nie wystarczą, żeby zapewnić im przetrwanie.

- Obyś miała rację - powiedział Seth i podjął swoją wędrówkę przez śnieg.

Elizabeth żałowała, że nie wie, co mogłaby powiedzieć lub zrobić, żeby złagodzić jego cierpienie.

Seth szedł w kierunku ciała agenta FBI tak ostrożnie, jak tylko potrafił, ale ciemność zmusiła go do włączenia latarki, bez której nie zdołałby pokonać ostatnich kilku metrów.

Martwy. Jeden z jego pasażerów był martwy.

Poczucie winy wręcz nie pozwalało Sethowi oddychać. Gdyby wcześniej spostrzegł skałę, mógłby zmienić trasę, lepiej wylądować i może nie doszłoby do tak rozległych obrażeń u tego mężczyzny.

Cholera, dlaczego nie zareagował o ułamek sekundy wcześniej?

Poczuł ucisk w gardle i ze złością trzepnął w powietrzu dużym wełnianym kocem, który znalazł po drodze. Wiatr dawno by go porwał, gdyby koc nie zahaczył o kawałek metalu.

Seth wziął głęboki oddech, usilnie starając się zapanować nad targającymi nim emocjami. Zmusił się, żeby pokonać ostatnie metry.

Ukląkł obok trupa.

Zanurzył ręce w kieszeniach, wyjął stamtąd mały nóż sprężynowy i rozciął splątany pas mężczyzny. Następnie rozłożył koc na śniegu, położył na nim ciało i owinał je nim.

Już miał zakryć twarz Caldwell, kiedy nagle światło padło na krople krwi na skroni mężczyzny, ukazując ogrom zniszczeń.

I coś jeszcze...

Seth sięgnął po latarkę i dokładniej oświetlił rany Caldwell. Kowalski powiedział, że Caldwell był przytomny po uderzeniu, ale sądząc po obrażeniach, które widział Seth, wydawało się to raczej niemożliwe.

- Co, do cholery... - syknął, kiedy złoty snop światła padł na małą, osmaloną dziurkę nad prawym uchem agenta.

Zrobiło mu się zimno, kiedy uświadomił sobie, co widzi. Caldwell nie zmarł z powodu obrażeń odniesionych podczas katastrofy. Został zastrzelony. To przypominało egzekucję.

Nagle zimno stało się nie do zniesienia, a wiatr jeszcze bardziej przejmujący. Przypomniawszy sobie, że chciał odzyskać pistolet agenta, Seth sięgnął pod koc. Jego serce zaczęło mocniej bić, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że broń zniknęła.

Adrenalina buzowała w jego głowie ze zdwojoną siłą. Seth gwałtownie zgasił latarkę i zaczął głośno oddychać w ciemności. Kiedy przekonywał Nealy'ego, że Frankie Webb jest uzbrojony, nie przyszło mu do głowy, że w jego słowach może kryć się prawda. Stan powiedział, że Webb zaatakował go i ukradł mu kluczyki od kajdanek. Potem Frankie musiał podkraść się do Caldwell, zabrał mu broń i z zimną krwią go zastrzelił. Huk trzaskających płomieni ognia zapewne zagłuszył wystrzał.

Lizzie!

Musiał jak najszybciej zabrać ją z otwartej przestrzeni i zaprowadzić do samolotu.

Wszystkich pasażerów musiał zabrać z otwartej przestrzeni.

Owinał ciało Caldwell'a kocem, najmocniej jak potrafił, po czym, oświetlając sobie drogę latarką, ruszył w kierunku Elizabeth.

Nagle kwestia ich przetrwania stała się bardziej skomplikowana. Raz za razem Seth przypominał sobie reakcję mordercy, kiedy na lotnisku agenci FBI usiłowali go uspokoić. W uszach Setha rozbrzmiewały słowa Frankiego:

„Obaj za to zapłacicie. Będę ścigał was, wasze rodziny, waszych przyjaciół aż do dnia waszej śmierci”.

Czyżby Frankie skorzystał ze sposobności, jaką mu niespodziewanie stworzyła katastrofa samolotu, i już teraz zapragnął się mścić? Czy nadal będzie zabijał? Czy jego skrzywienie psychiczne sprawi, że będzie się rozkoszował torturowaniem pasażerów lotu 356?

Seth zaklął, gdy nagle zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo wszyscy będą musieli uważać.

Muszą walczyć nie tylko z zimmem i złą pogodą, ale także muszą schwytać i rozbroić Frankiego Webba.

Powoli zbliżał się do miejsca, w którym zostawił Elizabeth i rannego agenta FBI i próbował spokojnie przemyśleć to, co przed chwilą zobaczył i wypływające z tego faktu konsekwencje.

Zabicie agenta FBI i zabranie mu broni było śmiałym wyczynem ze strony Webba. Śledząc medialną gorączkę wokół jego procesu, Seth zorientował się z komentarzy prasowych, że seryjni mordercy zazwyczaj zabijają, żeby zredukować swoje chroniczne napięcie i stres. A co mogło być bardziej stresującego niż katastrofa samolotowa?

Podobno, kiedy taki seryjny morderca jak Webb poczuł już raz zew krwi, zazwyczaj wciąż powtarza swoje czyny, z coraz większą częstotliwością, aż do chwili pojmania go. Jeśli to prawda, wszyscy pasażerowie znaleźli się w bardzo niebezpiecznej sytuacji. Nagle stali się potencjalnymi celami tego psychopatycznego mordercy.

Seth pocieszał się w myślach tym, że na szczęście mają jednak sporą przewagę nad Frankiem Webbem. Po pierwsze, mogli się schronić w samolocie, a po drugie - mieli dostęp do zapasów żywności, mieli także broń i przewagę liczebną. Jednakże zabijając agenta FBI, Frankie ujawnił swoją chorobliwą potrzebę mordowania.

Po tym, co widział, Seth już nie wierzył, że Frankie ma na tyle zdrowego rozsądku, żeby zostawić ich w spokoju. Zimno z pewnością zmusi go w końcu do schronienia się we wraku samolotu. Była to jedyna w okolicy w miarę ciepła kryjówka. A wówczas...

Elizabeth uniosła głowę, kiedy się zbliżył, więc Seth natychmiast skierował snop światła w przeciwnym kierunku. Pozornie po to, żeby jej nie oślepić, ale tak naprawdę po prostu nie chciał, żeby dostrzegła ogromne napięcie, jakie z pewnością malowało się na jego twarzy.

- Chodź, wracamy do samolotu - powiedział.

- Myślałam, że chcesz poczekać, aż...

- Robi się coraz zimniej, ogień już wygasł. Musimy szybko wracać.

Podał Elizabeth latarkę i nakazał zabrać pudełko ze środkami opatrunkowymi.

- Jak chcesz przetransportować Stana do samolotu?

- Zaniosę go.

Ukucnął i ujął rannego pod rękę, chcąc zrzucić go sobie na plecy. Przy zmianie pozycji Stan drgnął, dochodząc do siebie tak gwałtownie, że niemal usiadł.

- Spokojnie - powiedział Seth uspokajająco, a ciało wielkiego mężczyzny wprawdzie silnie zadrżało, a po chwili odprężyło się, wiotcząc.

Seth pochylił się nisko, żeby dojrzeć wyraz twarzy agenta, i powiedział:

- Teraz cię jako tako opatrzyłem, ale musisz mi pomóc zaprowadzić cię w bezpieczne miejsce. Myślisz, że zdołasz wstać?

Na górnej wardze i czole Stana ukazały się kropelki potu, ale skinął głową i wyszeptał:

- Co z Frankie?

- Uciekł do lasu.

Stan mocno zaniepokojony złapał Setha za przegub i zaczął gorączkowo szeptać:

- Musisz go znaleźć... Musisz sprowadzić go z powrotem. .. Ten facet jest szalony, wierz mi. Zabijanie sprawia mu przyjemność... Rozumiesz? Przyjemność! Dla niego to zabawa w kotka i myszkę... - Wyciągnął zakrwawiony kciuk w kierunku Elizabeth i podniósł głos prawie do krzyku: - To ona może być jego kolejną ofiarą! Jest w jego typie, więc miej ją na oku! Reszta z nas nie odpowiada typowi jego

ofiar, ale i tak nie da się przewidzieć, co zrobi. Przysięgał... że ja i mój partner zapłacimy, jeśli on zdoła wydostać się na wolność. - W oczach Stana zalśniły łzy. - Nie pozwól na to. Nie pozwól.... żeby znowu... żeby kogoś zabił...

Ta gorączkowa przemowa pozbawiła Stana resztek sił. Zadrżał, a jego oczy zaszyły mgłą.

Chwilę później Seth i Elizabeth zdołali jakoś dźwignąć Stana do góry. Następnie Seth przerzucił go sobie przez ramię.

- To będzie bolało jak cholera, Stan, ale nie możesz zemdleć, rozumiesz?

Elizabeth przygryzła wargę, kiedy usłyszała pełen bólu okrzyk agenta. Mężczyzna bardzo starał się pomóc, ale mimo to Seth musiał wlec go do samolotu.

W połowie drogi zwrócili na siebie uwagę pozostałych pasażerów. Ricky złapał Michaela Nealy'ego za ramię i popchnął go przed siebie.

- Chodź. Pomożemy im.

Obaj mężczyźni wybiegli z wraku. Wspólnie zanieśli ledwie przytomnego Stana do wejścia, a następnie wciągnęli go do środka.

Elizabeth, która zamykała pochód, trzymając latarkę i apteczkę, przyszła ostatnia. Stała, drżąc, obok wraku, zbyt zmęczona, aby wspiąć się do środka. Seth był zajęty Kowalskim, więc oparła się o kopę śniegu. Jeszcze kilka godzin wcześniej czas zdawał się przelatywać jej przez palce. Teraz upływające minuty rozciągały się w nieskończoność, pełznąc niczym wąż... ale ku czemu? Czy na pewno ku ewentualnemu wybawieniu?

Zimno stawało się nie do zniesienia. Elizabeth bolało całe ciało, przez to nie mogła myśleć - a przecież guz na jej głowie był o wiele mniej poważny niż obrażenia odniesione przez Stana Kowalskiego albo Petera Walsh.

Peter.

Przyczepiła się do tego imienia, wraz z nim pojawiło się poczucie celu. Zanim Seth odesłał go do samolotu, Peter trzymał się za rękę. Chyba był ranny. Ktoś powinien sprawdzić, co się z nim dzieje.

- Proszę pani? Pilot kazał mi tu po panią przyjść i pomóc pani wejść do samolotu.

Podniosła wzrok i ujrzała, że wpatruje się w nią Ricky. Wyciągnął olbrzymią rękę w obramowanej futrem rękawicy. Z trudem

ukryła westchnienie zazdrości. Pomyślała, że wiele by dała za godzinę w takich rękawicach. Ba! Nawet za minutę.

Ujęła wyciągniętą dłoń i pozwoliła wciągnąć się do samolotu. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, jak bardzo wszyscy pasażerowie będą stłoczeni na tak małej powierzchni.

Ułożenie przelatujących myśli w logiczną całość wymagało od niej niezwykłego wysiłku.

- Czy jest tu pan Walsh? - zapytała w końcu.

- Tutaj.

Podążywszy za męskim głosem, Elizabeth szła po omacku, aż znalazła Petera Walsha skulonego na jednym z foteli z tyłu.

- Zerknę na pana rękę, jeśli pan pozwoli. Mężczyzna był biały jak ściana. Jego twarz pokrywał pot, a oczy lśniły jakimś niezdrowym blaskiem.

Jako dziecko Elizabeth spędzała większość lata na stanowych obozach dla sierot, gdzie między innymi uczono ich także udzielania pierwszej pomocy. Polegając na swojej skąpej wiedzy z tamtego okresu, kazała Walshowi położyć się w przejściu i oprzeć nogi o fotel - co było niemal niemożliwe ze względu na innych pasażerów, stłoczonych na niewielkiej przestrzeni.

Podniosła koc i ciasno owinęła nim ciało mężczyzny, a następnie pochyliła się, żeby obejrzeć jego rękę.

- Złamana?

Drgnęła, słysząc to pytanie, a jej serce zabiło mocniej, gdy poczuła na swoim ramieniu dużą dłoń Setna.

- Nie... Nie wiem. Ma chyba ograniczoną władzę w palcach, ale może je zginać. Nie widzę, żeby coś było złamane, ból zdaje się emanować z jego ramienia: Chyba staw został wyrwany z panewki.

Seth pochylił się, żeby obejrzeć to miejsce.

- Chyba masz rację. - Machnął ręką przed twarzą mężczyzny, aby zwrócić na siebie jego uwagę.

Walsh popatrzył na niego przekrwionymi oczyma, zamglonymi z bólu.

- Zamierzam nastawić panu ramię. Będzie bolało jak cholera, ale kiedy je nastawię, poczuje się pan lepiej.

Walsh przygryzł wargę i z całej siły zacisnął powieki, podczas gdy Seth ujął w obie dłonie jego przegub i postawił stopę na boku pasażera.

- Przytrzymaj go jak najmocniej, Lizzie.

Skinęła głową i niemal całym ciężarem położyła się na piersi mężczyzny.

- Gotowy? Walsh skinął głową.

- Liczymy do trzech. Raz... Dwa...

Nie licząc już do trzech, Seth szarpnął za ramię Walsh, pociągnął je, a następnie umieścił staw w panewce.

Walsh krzyknął i tak gwałtownie wygiął grzbiet, że Elizabeth niemal upadła na fotel. Udało jej się jednak utrzymać ucisk i mężczyzna znowu opadł na podłogę. Oddychał ciężko, ale było jasne, że najgorszy ból już minął.

Elizabeth zanurzyła ręce w torbie i wyciągnęła z niej słoiczek z aspiryną i opróżnioną do połowy butelkę wody Evian.

- Proszę to wziąć - powiedziała, wytrząsnąwszy trzy tabletki na dłoń.

- Dzięki. - Walsh uśmiechnął się do niej słabo.

- Nie ma za co. - Ucisnęła lekko jego zdrową rękę. Seth wyjął bandaż z apteczki i tak owinał go na ramieniu mężczyzny, że jego ręka wyglądała jakby była na temblaku.

- Nie sądzi pani, że wszyscy powinni dostać tę aspirynę?

Elizabeth zeszywniała, słysząc pytanie zadane niecierpliwym, a właściwie niegrzecznym tonem. Jak dotąd, niewiele miała do czynienia z Ernstem Gallegherem, ale od razu pomyślała, że raczej trudno jej będzie go lubić.

Już miała mu ostro odpowiedzieć, kiedy Seth dotknął jej ramienia i spokojnie powiedział:

- W zestawie pierwszej pomocy jest dużo środków przeciwbólowych. Podamy je później tym pasażerom, którzy będą naprawdę ich potrzebowali. A teraz schowaj słoik z aspiryną. Może jeszcze być bardzo potrzebna naszym rannym.

Gallegher zacisnął usta, ale dłużej się nie sprzeciwiał.

Pragnąc zająć czymś swój umysł, Elizabeth niechętnie przyjrzała się batonikom i małym buteleczkom, które podarował jej Ricky, kiedy wsiadała do samolotu.

- A co z tym? Nie będziemy potrzebowali alkoholu?

- Trzymaj się z dala od alkoholu, niezależnie od tego, jak się będziesz czuła. Alkohol bardzo przyspiesza wychładzanie organizmu. Co do reszty, zbierzcie wszystko, co macie.

- Seth zaczął mówić głośniejszym głosem, żeby wszyscy go usłyszeli.
- Musimy zgromadzić zapasy żywności, lekarstw, ubrań i wszystkiego, co mogłoby się przydać. Opróżnijcie kieszenie i torby...
- Moja torba jest niestety ciągle na zewnątrz - wykrztusił Nealy.
- Chcę zobaczyć tylko to, co macie tutaj, przy sobie. Nie martwcie się o bagaż, który jest na zewnątrz czy w luku bagażowym. Pogoda się pogarsza i musimy skupić nasze wysiłki na przetrwaniu tej nocy. Jutro, za dnia, zbierzemy resztę bagażu.

Złapał za rączkę torbę Elizabeth.

- Włóżcie wszystkie rzeczy, które mogą się przydać, do torby Lizzie.

Na moment głucha cisza zapanowała w tej niewielkiej przestrzeni. Elizabeth pomyślała, że pewnie ma teraz taki sam wyraz twarzy jak pozostali pasażerowie. Wszyscy byli oszołomieni, zdumieni i spanikowani.

Rozbili się. Naprawdę się rozbili.

Seth chyba wyczuł panikę, która pulsowała w jej ciele, bo objął ją w talii i przyciągnął do siebie. Wiedziała, że musi być silna. Musi być opanowana i spokojna. Potrzebowała jednak kontaktu z innym człowiekiem. Potrzebowała siły i ciepła Seta.

Nie dbając o to, co pomyślała sobie o niej pozostali pasażerowie, poddała się jego uściskowi i mocno objęła go w pasie.

- Żyjemy.

Usłyszała to słowo wyszeptane tuż do jej ucha. Pieszczota gorącego oddechu Seta sprawiła, że nagle poczuła spokój i ulgę. Był silny i rzeczywisty. Stał tuż obok niej. Pomyślała, że dopóki nie zostanie sama, nie zginie, da sobie radę.

Oderwała się od Seta i spojrzała na zmartwione twarze zwrócone w ich kierunku.

- I co teraz, Cudowny Chłopcze? - odezwał się gorzko Gallagher.

Dłonie Elizabeth bezwiednie zacisnęły się w pięści. Było jasne, że Gallagher obarcza Seta odpowiedzialnością za katastrofę.

Czuła, że wszystko w środku gotuje się w niej ze wściekłości. Jak śmiał? Jak ten głupi, arogancki facet śmiał obarczać winą człowieka, który ich ocalił? Gdyby nie umiejętności Seta, samolot runąłby z nieba i rozbił się na tej skale. A dzięki niemu stracił tylko jedno ze skrzydeł.

Seth musiał wyczuć wzbierający w niej gniew, gdyż mocniej ścisnął ją w talii.

- Lepiej niech pan spuści nieco z tonu, Gallegher - powiedział. Kiedy mężczyzna otworzył usta, żeby się kłócić, Seth skinął głową w kierunku Willi Hawkes, która drżała na całym ciele i przyglądała się im z szeroko otwartymi oczyma. - Denerwuje pan panią Hawkes.

Gallegher zacisnął zęby, najwyraźniej usiłując się opanować.

- Nie możemy tak siedzieć i czekać - mruknął. - A jeśli w pobliżu jest miasto albo jakaś farma? Nie dowiemy się, jeśli nie sprawdzimy.

Seth pokręcił głową.

- Nie. Nic tu nie ma. Zobaczylibyśmy jakieś światła, nawet gdyby były wiele kilometrów stąd.

- No, to niech pan wezwie kogoś przez radio - zażądał Gallegher.

Seth nie odpowiedział od razu. W końcu przejechał dłońmi po swoich ciemnych, zmierzwiionych włosach.

- Nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego nie? - natychmiast warknął Gallegher.

- Straciliśmy kontakt radiowy, zanim jeszcze spadliśmy. Podczas uderzenia drzewo zniszczyło panel sterowania, więc jakakolwiek naprawa jest niemożliwa.

- No, to wyjdźmy stąd - nalegał Gallegher.

- Dokąd? I po co? Nie wiedząc, gdzie jesteśmy ani dokąd zmierzamy, będziemy skazani na łaskę natury, a pogoda nam nie sprzyja. Jest silny, zimny wiatr i bardzo ciemno. - Seth potrząsnął głową. - Nie. Najlepiej będzie zostać we wraku, żeby ekipa poszukiwawcza nie miała kłopotu ze znalezieniem nas. Wrak samolotu jest teraz chyba największym obiektem w okolicy.

Elizabeth rozejrzała się wokół siebie. W słabym świetle rzucanym przez dogasający ogień na zewnątrz i w ostrym snopie światła latarki łatwo było zobaczyć, że podłoga samolotu jest zarzucona ubraniami i bagażem. Poduszki z foteli leżały w nieładzie, niektóre były zaplamione krwią.

- A co mamy tymczasem robić? - spytał Walsh głosem napiętym z bólu.

- Sprawić, aby czekanie na pomoc było na tyle wygodne, na ile się da w tych warunkach - odparł natychmiast Seth.

Sięgnął do pomarańczowego worka i włożył parę skórzanych roboczych rękawic, najwyraźniej myśląc o sprawach, które należy

zakończyć, zanim ktokolwiek z nich odpocznie. Bez słowa dał pasażerom do zrozumienia, że im szybciej wezmą się do pracy, tym lepiej.

- Teraz musimy się skupić na przygotowaniach, które pomogą nam przetrwać noc. - Machnął ręką w kierunku dziury. - Musimy posprzątać, zgromadzić najważniejsze rzeczy, a resztę wyrzucić, żeby zrobić więcej miejsca. Seth rzucił pomarańczowy worek Nealy'emu.

- Wewnątrz worka znajdziecie wodoodporny brezent. Pan i Gallegher posprzątajcie wnętrze samolotu, a następnie pomożecie mi zatkać dziurę kocami, bagażem i tym, co znajdziecie, żeby uchronić nas przed wiatrem.

- A co ja mogę zrobić? - spytał Walsh, aczkolwiek było jasne, że lada chwila może stracić przytomność.

- Pan pomoże pani Hawkes - powiedział już łagodniejszym tonem Seth. - Pani Hawkes, chciałbym, żeby pani i pan Walsh zebrali płaszcze, koce i poduszki. Następnie proszę dobrze okryć i wygodnie ułożyć agenta Kowalskiego. Jest poważnie ranny.

- A co ze mną? - zapytała Elizabeth. - Chyba powinnam znaleźć jakiś pojemnik i napęlić go śniegiem. Jeśli postawimy go na tym dogasającym ogniu...

Seth uciszył ją, lekko ściskając w talii.

- Jutro się tym zajmiemy. Kiedy tylko zakryjemy dziurę, będziemy musieli zbić się w kupkę, żeby było nam cieplej, i spać aż do rana. Musimy odpocząć, ile się da, bo jutro będziemy pracowali jeszcze ciężiej.

- Przy czym? - spytał Nealy słabiutkim głosem wystraszonego chłopca.

- Będziemy potrzebowali ogniska, żeby się rozgrzać, i jeszcze jednego, większego, żeby sygnalizować nasze położenie ekipie ratunkowej. Następnie zajmiemy się udoskonalaniem schronienia. Tymczasem nikomu nie wolno opuszczać samolotu. - Jego głos stał się twardy i nieustępliwy. - Mówię • poważnie, nikomu.

- Ale...

To znowu Gallegher próbował się sprzeciwić, ale Seth rzucił mu ostre, przenikliwe spojrzenie i nie znoszącym sprzeciwu tonem powiedział:

- W lesie znajduje się przestępca. To seryjny morderca. Jest zmarznięty, zły i niestety... - na moment zawiesił głos, po czym skończył zdanie: - uzbrojony.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zewsząd rozlegały się westchnienia i ciemna noc nagle stała się jeszcze ciemniejsza i pełna napięcia.

Seth rzucił okiem na Stana, mając nadzieję, że ten go poprze, ale agent znowu był nieprzytomny.

- Z nadejściem poranka zajmiemy się opracowaniem planu działania dotyczącego schwytania Frankiego Webba. Teraz ważniejsze jest, żebyśmy spędzili tę noc tak wygodnie, jak to możliwe.

Wstał, a Elizabeth patrzyła, jak zaczął zbierać koce, żeby powiesić je nad dziurą. Wszystkim innym Seth wydawał się opanowany, pewny siebie i dominujący. Tylko Elizabeth wyczuwała w nim ostrożność. Wielokrotnie przyłapywała go, jak rzuca spojrzenia w ciemność otaczającą samolot.

Serce dudniło jej w piersi.

Stan powiedział, że to ona najprawdopodobniej padnie ofiarą przestępcy. Odpowiadała jego „gustom”. Miała ciemne włosy i ciemne oczy, była drobnej budowy ciała, a Frankie podobno właśnie takie lubił.

Poczuła skurcz w żołądku.

Co miała robić?

Dopiero jakąś godzinę później Elizabeth rozprostowała bolące plecy i rozejrzała się dookoła.

Samolot został oczyszczony z rozmaitych odłamków, a wejście do niego zasłonięte. Pasażerowie ułożyli sobie posłania w taki sposób, żeby możliwie wygodnie spać.

Willa Hawkes chyba wyszła już z szoku, bo zupełnie sprawnie zaczęła pomagać reszcie „rozbitków”, jak nazwała ocalałych z katastrofy pasażerów. Teraz stała obok wyjścia, mocno zaciskając poły płaszcza wokół szyi.

Elizabeth podeszła do niej i objęła ją w talii, po czym lekko uścisnęła.

- Może wejdzie pani do środka? - zasugerowała łagodnie.

Willa odetchnęła głęboko.

- Właściwie to nie przepadam za małymi pomieszczeniami - wyznała.

- Hm.

Usta kobiety wykrzywiły się w gorzkim uśmiechu.

- Przed ślubem nie odważyłabym się wsiąść do samolotu. Mój mąż, Ken, uwielbiał podróżować i nie chciał nawet słyszeć o tym, że mogłabym mu nie towarzyszyć.

Willa zerknęła na Elizabeth, jak gdyby spodziewała się, że młoda kobieta będzie znudzona jej wspominkami, ale Elizabeth gestem ręki dała jej do zrozumienia, żeby mówiła dalej.

- Był nauczycielem. Któregoś dnia pojawił się w naszej szkole. Tak się poznaliśmy. Ja byłam starą panną, bibliotekarką w tej szkole. Już dawno porzuciłam nadzieję na miłość. On był wysokim, pełnym fantazji mężczyzną, pasjonował się historią. Każdego lata pakowaliśmy walizki i wyruszaliśmy do jakiegoś egzotycznego zakątka świata. - Rozprostowała ramiona, po czym je opuściła. - Pomyślałam, że ta wyprawa do Denver dobrze mi zrobi.

- Jak umarł pani mąż? - spytała łagodnie Elizabeth, nie chcąc dopuścić do tego, żeby Willa wróciła myślami do katastrofy.

- Na raka. Mieliliśmy dobre życie, a nie wszystkim się to trafia. Bardzo tęsknię za mężem.

Elizabeth skinęła głową i raz jeszcze uściśnęła kobietę, aby pokazać jej, że rozumie.

- A ten pani młody człowiek... - zaczęła Willa.

- To nie jest mój młody człowiek - natychmiast przerwała jej Elizabeth. - To mój były mąż.

- Aha. - Willa zmrużyła oczy. - Może jednak będzie pani chciała ponownie przemyśleć swoją decyzję? Przecież między wami aż iskrzy...

Elizabeth otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Willa najwyraźniej nagle poczuła się zmęczona.

- Wejść do środka - wyszeptała. - Chyba muszę usiąść. Czując przyływ opiekuńczości, Elizabeth pomogła jej wspiąć się do zacisznego legowiska, które sobie przygotowali. Nie odstępowała Willi, dopóki kobieta nie usiadła na jednym z foteli i wówczas przykryła ją jakimś ubraniem. Następnie, kiedy już ułożono Walsha i Kowalskiego w pozycji możliwie najbardziej przypominającej leżącą, reszta pasażerów zaczęła przygotowywać się do snu.

Seth wybrał miejsce obok wyjścia zasłoniętego płachtą brezentu i kocem. I choć tam temperatura była znacznie niższa, Elizabeth automatycznie przyłączyła się do niego.

Położyła się na ziemi, a Seth objął ją w talii i przyciągnął do siebie. Westchnęła, kiedy poczuła ciepło jego ciała.

Zerknęła na zegarek i stwierdziła, że nie jest zbyt późno, chociaż czuła się tak, jak gdyby dawno temu minęła północ.

Może dlatego, że była bardzo zmęczona. Tak niewiarygodnie, wręcz boleśnie zmęczona.

Seth oparł brodę o jej włosy - i przysięgłaby, że jego usta musnęły czubek jej głowy.

- Jak się czujesz? - mruknął.

- W porządku.

Sama musiała przyznać, że nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

Przez kilka długich minut nikt się nie odzywał. Jednakże po chwili cisza stała się niezręczna, dziwnie męcząca.

Seth zareagował pierwszy. Uniósł głowę, a moment później także Elizabeth zaczęła przyglądać się pozostałym pasażerom.

Czy ja też tak wyglądam? - zastanawiała się. Sponiewierana, zmęczona, oszołomiona i zagubiona?

Na wpół świadomie dotknęła ręką włosów. Długie kosmyki już dawno wymknęły się ze szpilek i opadały na jej ramiona. Czuła, że ma szorstką, zmarzniętą i brudną skórę. Ile by teraz dała za chwilę w gorącej kąpieli z białą pianką, obsługę hotelową i ciepłe łóżko. Podejrzewała, że wszyscy tu zgromadzeni oddaliby majątek, żeby tylko nie musieć tkwić w tych przeklętych górach.

- I co teraz?

To pytanie zadał Stan Kowalski. Co jakiś czas, choć na krótko powracał do przytomności. Prowizoryczny opatrunek najwyraźniej nie za bardzo mu pomógł. Krwawienie co prawda ustało, ale Kowalski był w kiepskim stanie. Mimo koców i ubrań, w które go owinięto, obejmował się rękami, jak gdyby marzył. Co pewien czas jego ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze.

Wszyscy spoglądali na Seta w oczekiwaniu na jego wskazówki, a Elizabeth miała ogromną ochotę wykrzyknąć im, że to niesprawiedliwie. Seth nie był winny zaistniałej sytuacji. Poza tym wszyscy powinni mu raczej podziękować, że sprowadził ich bezpiecznie na ziemię, zamiast spoglądać na niego tak, jak gdyby był wrogiem, który specjalnie wpakował ich w tarapaty.

- Niewiele da się zrobić do rana, nawet jeśli burza minie. Bateria w latarce jest już na wyczerpaniu, trzeba ją oszczędzać.

Chcąc to podkreślić, wyłączył jedyne źródło światła, pograżając zdezorientowanych ludzi w ciemności, w której rozległy się ciche jęki i okrzyki. Kilka sekund później nikły płomyk rozświetlił mrok.

Wszyscy natychmiast skierowali wzrok na Nealy'ego i zapalniczkę, którą trzymał w dłoni. Mężczyzna poruszył się niespokojnie i powiedział szybko:

- Musimy porozmawiać, a przecież nie możemy rozmawiać w ciemnościach.

Nikt się nie sprzeciwił. Elizabeth zdała sobie sprawę z tego, że ten nikły płomyk był ich pomostem do rzeczywistości. Bez niego zbyt łatwo mogliby uwierzyć, że kilka ostatnich godzin to był jedynie okropny koszmar senny.

- Ile minie czasu, zanim nadejdzie pomoc? - spytał ostrym tonem Gallagher.

Mimo że Elizabeth wcześniej zadała to samo pytanie, z napięciem oczekiwała odpowiedzi Seta.

- Na ogonie mamy latarnię kierunkową, ale przez te uszkodzenia i przy braku światła sprawdzę ją dopiero rano. Być może przez cały czas działa...

- A może jest rozwalona, jak radio - mruknął rozdrażnionym tonem Gallagher.

Seth zerknął na mężczyznę.

- Tak czy inaczej, wkrótce zorientują się, że nie dotarliśmy do miejsca przeznaczenia.

- Zniknęliśmy im przecież z radarów, prawda? - spytał z nadzieją w głosie Nealy.

Seth potrząsnął głową.

- Była burza, mogli uznać, że zmieniliśmy wysokość ze względu na pogodę. Nie ma co na to liczyć. Tak naprawdę zaczną się martwić, kiedy nie pojawimy się na czas na lotnisku. - Spojrzał na zegarek. - Do tej chwili zostało czterdzieści minut i jeszcze co najmniej pół godziny, zanim zorientują się, że to nie jest zwykłe opóźnienie. - Jego oczy zaślnęły w ciemnościach. - Chcę być z wami uczciwy. Nie będę nikogo oszukiwał. Nie przybędzie żadna ekipa poszukiwawcza, dopóki pogoda się nie poprawi.

Nikt się nie poruszył. Nikt się nie odezwał.

Elizabeth szukała jakiegoś sposobu, żeby przerwać tę okropną ciszę, więc złapała torbę i wysliznęła się z ramion Seta.

- Może powinniśmy sprawdzić nasze zapasy - powiedziała.

Seth rzucił jej spojrzenie pełne aprobaty. Przez krótką chwilę czuła ciepło w całym ciele. Takie ciepło, które przywołało wspomnienie poranków spędzonych w ramionach tego mężczyzny.

Przypominając sobie, że to powaga zaistniałej sytuacji osłabia jej decyzję, aby trzymać się z dala od Seta, zaczęła unikać jego spojrzenia.

Weź się w garść, Elizabeth, upomniała się w duchu. Ten człowiek nie zmienił się przez ostatnie lata. Nie możesz pozwolić, żeby znowu namieszał w twoim życiu.

Niespodziewanie przypomniała sobie, jak Webb mrugnął do niej, kiedy wyszedł z poczekalni na lotnisku, i zrobiło się jej jeszcze bardziej zimno.

- Najpierw sprawdzimy zapasy żywności.

Seth wywrócił do góry nogami duży, pomarańczowy worek marynarski i wytrząsnął jego zawartość na podłogę, pomiędzy swoje stopy. Wszyscy pochylili się, żeby dokładnie obejrzeć stosik różnych produktów i przedmiotów.

- Mamy trzy pudełka herbaty, butelkę witamin, sześć świec, słoik dżemu truskawkowego, trzy puszki skondensowanego mleka, otwieracz do puszek, aspirynę, dwanaście tabliczek czekolady, wodoodporne zapałki, scyzoryk, plastikowe sztucce, gwizdek... - Podniósł lśniący przedmiot do ust i w zatłoczonym samolocie rozległ się ostry gwizd.

- Działa - niepotrzebnie zauważył Nealy.

- Jest tu także lustro, sześć koców termoizolacyjnych, szpulka nici, pudełko haczyków na ryby, chusteczki, kilka puszek wieprzowiny i fasoli, kilka opakowań z suchą żywnością, trzy kuchenki na paliwo typu Sterno, sznurek i trzy flary.

Wręczył Elizabeth jeden z koców termoizolacyjnych, resztę zaś podał Michaelowi Nealy'emu.

- Po jednym dla Walsh'a i Kowalskiego, a resztę proszę jakoś podzielić.

Seth poczekał, aż wszyscy się przybliżą, po czym zaczął przeglądać zawartość torby Elizabeth.

Nealy kucnął obok i szybko przeliczał wyjmowane przez Seta rzeczy.

- Trzydzieści sześć miniatuerek alkoholu rozmaitego rodzaju. Osiemnaście torebek orzeszków, trzynaście torebek ciastek, sześć batoników, pięć paczek importowanego sera, dwie paczki krakersów i dwanaście paczek kandyzowanych owoców.

Walsh gwizdnął cicho.

- Z głodu nie umrzemy - zauważył.

- Na próbkach Ricky'ego nieźle nam się będzie żyło - uśmiechnęła się Elizabeth.

- Jak długo? - zapytała Willa.

Wszyscy, jak na komendę, spojrzeli na Seta, choć on przecież nie mógł znać odpowiedzi.

- Tyle, ile będzie trzeba - odparł rozsądnie. - Ja zajmę się rozdzielaniem zapasów. Dwa posiłki dziennie, od trzystu do pięciuset kalorii każdy.

Kilka osób jęknęło, po czym powoli, jedno po drugim, zaczęli wracać na swoje miejsca. Seth i Elizabeth znowu zostali sami.

- Ale ekipa poszukiwawcza się zjawi, prawda? - wyszeptała Elizabeth.

Uśmiechnął się do niej najpewniejszym ze swoich uśmiechów.

- Ej, nie gorączkuj się tak bardzo, dobrze? Nic się nam nie stanie. Zobaczysz.

Odgarnął jej włosy z czoła, ostrożnie dotykając guza.

- Co z twoją głową?

- Wszystko w porządku. - W tych okolicznościach nie zamierzała skarżyć się na pulsujący ból, który wciąż atakował jej skronie. To był drobiazg w porównaniu z...

- Nie masz zawrotów głowy?

- Nie.

- A mdłości?

- Nie.

- To dobrze. - Popatrzył na nią ciepło, ale jednocześnie bardzo uważnie, jak gdyby usiłował odczytać z jej twarzy, czy mówiła prawdę.

- Chcesz tabletkę aspiryny?

Spojrzała ukradkiem na innych pasażerów, poobijanych i posiniaczonych.

- Nie powinniśmy jej racjonować? - zapytała.

Seth wziął do ręki butelkę i potrząsnął nią jak tamburynem.

- Mam tysiąc tabletek w zapasie, ty masz około dwustu. Myślę, że możemy sobie na to pozwolić, aby każdy kto chce, zażył kilka tabletek.

Wytrząsnął dwie tabletki na jej rękę.

- Ktoś jeszcze? - zapytał pozostałych.

Kiedy wszyscy jak na komendę podnieśli ręce, rzucił butelkę Nealy'emu.

- Proszę je rozdać - polecił.

Następnie Seth ułożył się na stosie poduszek i ubrań, z których zrobił sobie wąskie łóżko.

- Chodź tu. Połóż się obok - szepnął do Elizabeth. Fakt, że kiedyś była żoną tego mężczyzny, wydawał się nie mieć teraz żadnego znaczenia, ale nadal była aż nadto świadoma ciała Seta.

Ostrożnie położyła się obok niego, a następnie pozwoliła mu się przykryć płaszczem, jakimś wełnianym swetrem i na końcu kocem termoizolacyjnym.

Seth był wysoki, więc na niewielkiej przestrzeni musiał się skulić i zgiąć nogi w kolanach. Przyciągnął do siebie Elizabeth i szukając najwygodniejszej pozycji, dotykał biodrami jej bioder.

Elizabeth poczuła, że robi się jej gorąco, spróbowała usiąść. Wiedziała, że nie zdoła zasnąć obok swojego byłego męża. Seth jednak objął ją w talii i pociągnął z powrotem na miejsce.

- Dokąd to? - zapytał, a w jego głosie czaiła się łagodna groźba.

- Będę spała w przejściu.

- Nie. Zostań tutaj.

- Ale...

Jego usta przywarły do jej policzka.

- Cicho.

- Seth, to nie jest dobry pomysł.

Jego wargi musnęły czule miejsce za jej uchem.

- Myślę, że to cudowny pomysł.

- Nie, poważnie. Nie sądzę, żebyśmy mogli pozwolić sobie na to, aby napięcie spowodowane sytuacją, w jakiej się znaleźliśmy, wpłynęło na nasz związek. Nie jesteśmy już małżeństwem. Nie ma co wracać do przeszłości...

- Cicho. - Dotknął ustami koniuszek jej ucha. - Nie puszczę cię.

Przygryzła wargę, zastanawiając się, czy chciał, by zabrzmiało to dwuznacznie, czy też niechcący tak wyszło. Czy Seth miał na myśli

coś więcej niż obecną chwilę? Czyżby chciał powiedzieć, że nie pozwoli na to, aby znowu od niego uciekła?

Uciekła?

Nie uciekła od tego mężczyzny. Opuściła go. Bo miała swoje powody.

Ale nigdy nie wyjaśniła mu do końca, jakie.

- Prześpij się trochę - mruknął i ponownie musnął wargami koniuszek jej ucha.

Poczuła, jak jego klatka piersiowa wznosi się i opada.

Dławiło ją w gardle i miała niewytłumaczalną ochotę zapłakać - nad nieżyjącym Brentem Caldwellem, nad innymi pasażerami, nad Peterem Walshem i Stanem Kowalskim. I nad sobą, a raczej - nad swoim nieudanym małżeństwem. Małżeństwem, które było skazane na przegraną, zanim się na dobre rozpoczęło.

Po kilku godzinach drzemania Elizabeth doszła do wniosku, że niewielka przestrzeń obok wyjścia zdecydowanie nie jest najcieplejszym miejscem w samolocie. Koce, zabezpieczone starannie taśmą klejącą, poodklejały się już w ciągu pierwszej godziny, a płachty brezentu nie chroniły od wiatru. Wkrótce ciepło ciała Setha stało się jej nie tylko potrzebne, ale wręcz niezbędne.

Starła się nie myśleć o zimnie. Usiłowała liczyć barany, oddychać powoli i stosować wizualizację - i wszystko na nic. Najwyraźniej była skazana na bezsenność.

Z każdą mijającą minutą zyskiwała pewność, że coś dręczy Setha. Ale co? Co mogło być gorszego od ich obecnej sytuacji? Od katastrofy, zimna i zbiegłego więźnia, czającego się w pobliskim lesie?

Jednak przekonanie, że nie myli się nigdy, gdy w grę wchodzi Seth, nie pozwalało jej odpędzić od siebie niepokoju. Intuicja podpowiadała jej, że on coś ukrywa przed pasażerami. Leżał za nią i czuła, że nadal był spięty. Po tych wszystkich nocach, które spędziła w jego ramionach, wiedziała, że nie mógł zasnąć, podobnie jak ona.

Elizabeth marzyła o tym, żeby z nim porozmawiać. Chciała usłyszeć głos Setha i wybadać przyczynę jego niepokoju. Jednakże w obecności tylu ludzi nie odważyła się odezwać. Najpewniej nie życzył sobie dzielić swoich obaw z resztą pasażerów i nie pozostawało jej nic innego, jak mu zaufać.

Zaufać.

Dziwne słowo, jeśli jest użyte w stosunku do byłego męża, ale Elizabeth ono nie raziło. Mimo tego, co między nimi zaszło, wierzyła, że Seth wie, co należy robić, żeby przetrwać.

Gdyby tylko ufała mu równie mocno, kiedy jeszcze byli małżeństwem...

Uciekając przed tą myślą, skoncentrowała się na zmęczeniu, które ogarnęło jej ciało. Po takim strasznym dniu powinna była zapaść w sen w przeciągu kilku sekund. Tymczasem, choć bardzo się starała, absolutnie nie mogła zasnąć. Mimo aspiryny bolały ją mięśnie i nadal czuła bolesne pulsowanie w skroniach.

Czy upłynęły przynajmniej dwadzieścia cztery godziny, odkąd zaczęła się ta straszna sytuacja? Nie. Nie minęła nawet doba. Elizabeth zacisnęła powieki i zaczęła oddychać powoli, płytko.

Nie chciała, aby Seth wyczuł, że wciąż nie spała. Nie chciała, aby musiał się o nią martwić...

Doskonale wiedziała, czego nie chce, ale czy wiedziała, czego chce?

Czego ona właściwie chciała?

Poczuła ucisk w gardle i nagle zalała ją fala emocji - strach, żal, panika i... rozkosz.

Rozkosz?

Tak. Mimo że usiłowała temu zaprzeczać, już dłużej nie mogła okłamywać siebie i ukrywać niezwykłej radości, jaką odczuła na widok Seta.

Przez cały czas usiłowała powrócić do rzeczywistości. Przypominała sobie, że ich związek już dawno się zakończył

- i to na jej życzenie. Mimo to czuła się bardzo ożywiona
- bardziej niż przez ostatnie lata.

Wyprostowała się, usiłując nie wdychać męskiego zapachu jego ciała, aromatu tej samej wody, którą podarowała mu przed laty.

Wciąż używał takiej samej wody po goleniu.

Elizabeth stłumiła niecierpliwe westchnienie. Uznała, że jej reakcja na sytuację jest zupełnie niedojrzała. Zachowywała się tak, jak gdyby ten mężczyzna był obiektem jakiegoś wieloletniego zauroczenia i powrócił po to, żeby znowu ją czarować. Nic nie mogło bardziej mijać się z prawdą. Żadne z nich nie walczyło o to, żeby mogli się znowu widywać.

Ale kiedyś go kochała. Kiedyś...

Natychmiast odsunęła od siebie tę myśl.

Nie. Nie mogła pozwolić sobie na to, aby Seth znowu wciągnął ją w swoje życie. Nie mogła żyć z taką niepewnością. Już by nie potrafiła być taką kobietą, jaką niegdyś była.

Zmarszczyła brwi, gdy zrozumiała przyczynę swojego oporu. Trzy lata wcześniej była świeżo upieczoną absolwentką zarządzania i reklamy i miała zacząć pierwszą pracę w wielkiej firmie. Ciężko pracowała na swoją pozycję - szkoliła się, odbywała staże.

Właśnie wtedy poznała Seta.

Spoglądając w przeszłość, doszła do wniosku, że jej pierwszym błędem była zamiana koleżanek ze wspólnie wynajmowanego mieszkania na męża. Nawet nie zdążyła rozwinąć skrzydeł. Była przekonana, że Seth zapewni jej wszystko, czego brakowało w jej życiu: da jej miłość, stabilizację i poczucie bezpieczeństwa.

Zadrzała na myśl o tym, jaka była naiwna. Z góry założyła, że życie Seta toczy się gładko, jak po wydeptanej ścieżce, i zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że jej mąż przechodzi własne kryzysy.

Nawet teraz, kiedy już jako osoba starsza i mądrzejsza spoglądała na to małżeństwo, nie mogła zaprzeczyć, że nadal czuje się zraniona zawodowymi decyzjami Seta. Niewiarygodnie zraniona. I choć łączyła ją z Setem namiętność, jakiej ani wcześniej, ani później nie zaznała, nie było między nimi emocjonalnej intymności, wspólnych myśli i celów. Elizabeth nie miała pojęcia, że Seth do tego stopnia nie cierpiał swojej pracy na nowojorskim uniwersytecie, że postanowił z niej zrezygnować - on zaś nie wiedział, jak ważne było dla niej odniesienie sukcesu w reklamie.

Poczuła się oszołomiona, kiedy poinformował ją o swojej - podjętej już wcześniej - decyzji. Czowała się jeszcze bardziej zdradzona, kiedy w końcu usiadł i zaczął z nią rozmawiać o zmianach w swoim życiu. Nawet nie wysłuchał jej obaw. Od razu przeszedł do planów, jakie poczynił dla nich obojga. Był absolutnie pewien, że Elizabeth podskoczy z radości, mając szansę zrezygnować z pracy i „wyruszyć na Zachód” razem z mężem. Kiedy ośmieliła się wyrazić swoje wątpliwości, odsunął na bok jej troski i upierał się, że z czasem na pewno „pokocha przygodę”.

Ale Elizabeth nigdy nie pragnęła przygód. Chciała mieć dom, pragnęła bezpieczeństwa i stabilizacji.

Nigdy nie powinni byli brać ślubu, powtórzyła sobie w duchu. Powinien połączyć ich przelotny związek. Wtedy to rozstanie nie byłoby takie bolesne.

- Co się stało?

Drgnęła, gdy usłyszała szept Setha w swoim uchu.

- Dlaczego pytasz?

- Bo tak nagle zeszywniałaś.

- Złapał mnie skurcz w nodze.

Wątpiła, czy uwierzył w to wyjaśnienie, ale nic nie zmusiłoby jej do wyjawienia mu prawdy. Za nic nie przyznałaby się, że większość nocy spędziła na myśleniu o nim.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy za oknami samolotu pojawiły się pierwsze szarości poranka, Elizabeth pomyślała, że to najmiłszy widok od dłuższego czasu. W pewnym momencie widocznie musiała jednak zasnąć, bo kiedy się obudziła, odkryła, że na pościeli leży sama. Zmusiła się, żeby policzyć do stu, po czym wstała i cichutko wypełzła na śnieg.

Seth stał z szeroko rozstawionymi nogami i rękami opartymi na biodrach i wpatrywał się w szczątki samolotu. Śnieg wirował wokół jego sylwetki.

Elizabeth ponownie uświadomiła sobie, że to cud, że żyją. W nikłym świetle poranka zniszczenia wydawały się jeszcze potężniejsze. Gdyby samolot wylądował trochę bardziej na lewo, zderzyłby się ze skałą.

Lodowate powietrze owiało nogi Elizabeth. Patrzyła, jak Seth zadrżał, zgarbił się i włożył ręce w kieszenie. Chyba wpatrywał się w miejsce, w którym leżało ciało Brenta Caldwell: Na szczęście przysypał je padający śnieg.

Coś musiało uświadomić Sethowi jej obecność, bo gwałtownie obrócił się na śniegu i lekko przykucnął. Odprężył się dopiero wtedy, kiedy zauważył, że to ona.

- Chyba nie zamierzasz karcić mnie za wyjście z samolotu, skoro sam z niego wyszedłeś, nie bacząc na zagrożenie ze strony Webba - stwierdziła.

Seth szybko omiótł wzrokiem okolice, jak gdyby spodziewał się, że następny ruch będzie jednak należał do Frankiego Webba.

Burza minęła, ale niska pokrywa chmur bardzo ograniczała widoczność. Elizabeth ledwie mogła dostrzec skraj polany. Włożyła ręce do kieszeni i starała się wyglądać na odważną, choć w głębi duszy czuła strach.

- Wątpię, żeby tu był - zauważyła.

Modliła się, żeby Seth nie dostrzegł, iż tylko udawała. I choć bardzo ceniła sobie przebywanie na świeżym powietrzu, z dala od chrapania innych pasażerów, nie uśmiechała się jej myśl, że Frankie Webb może ją obserwować.

- Wątpisz?

- Uhm. - Powoli podeszła do niego, zastanawiając się, czemu ten mężczyzna nadal ją pociąga, choć przecież przysięgała sobie, że już

nigdy więcej nie będzie pod jego urokiem. - Musiał sobie poszukać schronienia. Byłby głupi, gdyby zbyt szybko z niego rezygnował.

- A nie sądzisz, że to głupiec?

- Nie. Wiem, że to psychopata, ale z tego, co czytałam o nim w gazetach, wywnioskowałam, że z pewnością nie jest głupcem.

Co czyniło go jeszcze bardziej niebezpiecznym. Jego poprzednie morderstwa były tak samo starannie zaplanowane, jak i przeprowadzone.

- Mimo to wolałbym nie narażać twojego bezpieczeństwa na szwank.

Elizabeth wzruszyła ramionami.

- Musiałam stamtąd wyjść, wyprostować się i przeciągnąć - przyznała niechętnie. - Kiepsko znoszę takie tłumy ludzi.

Seth już się nie sprzeciwiał, więc uznała, że ją zrozumiał. A może pamiętał, że nigdy nie była przesadnie towarzyska. Nie pociągało jej nocne życie, nie lubiła się bawić w lokalach. Czasem wydawało się jej dosyć śmieszne, że odniosła taki sukces w branży reklamowej, skoro właściwie była odludkiem.

Wskazała dłonią plastikowe wiadro stojące u stóp Setha. Sądząc po wesołym świątecznym wzorku, chyba musiało kiedyś służyć jako pojemnik na gwiazdkowe prezenty dla pasażerów.

- Po co wyniosłeś to wiaderko z samolotu? Co w nim masz? Jakieś przysmaki?

Seth uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Dawno temu znajdował się w nim popcorn z gwiazdkowego przyjęcia. Przyniosłem go tu w nadziei, że uda mi się zebrać trochę paliwa z tego ocalałego skrzydła. Może uda nam się rozpaść ognisko sygnałowe, kiedy zajdzie taka potrzeba.

- Czego użyjesz jako lejka? - zapytała.

Poprawiła wełniany płaszcz, sięgający jej do kolan, zadowolona, że zabrała go ze sobą, zwłaszcza kiedy dostrzegła spojrzenie Setha. Choć raz cieszyła się, że krój płaszcza nie był w stanie całkiem zakryć jej kobiecych kształtów.

- Kiedy sprawdzałem skrzydło, zbiornik z paliwem przeciekał. Nie wiem, ile straciliśmy w nocy, ale udało mi się podstawić wiadro, teraz paliwo będzie skapywało do niego. Pewnie niewiele zostało, więc lepiej wszystkiego przypilnuję, aż zbiornik będzie zupełnie pusty.

Skinęła głową i zaczęła wolnym krokiem zbliżać się do Seta. Stała tuż obok niego i odwróciwszy się, popatrzyła na wrak. Zniszczony samolot zapadł się w śnieg, jego kadłub wyglądał jak delikatne ciało ptaka - okaleczone i poskręcane. Kiedy oderwała od niego wzrok, zobaczyła, że Seth mruży powieki i zaciska szczęki.

- Czy wiesz, dlaczego to się stało? - zapytała. - Dlaczego się rozbiliśmy?

- Naprawdę nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Ale Urząd Federalny z pewnością będzie chciał obejrzeć zniszczenia i dopiero wtedy się dowiemy, co było przyczyną katastrofy.

Jego głos był pełen napięcia i Elizabeth zaczęła się zastanawiać, czy Seth nadal obwinia się o spowodowanie wypadku, czy też zaczyna podejrzewać coś innego.

- Mogę tylko powiedzieć, że samolot stracił sterowność tuż przed przymusowym lądowaniem.

- Wiesz dlaczego? Pokręcił głową.

- Z tego, co wiem, radiolokator pogodowy na pokładzie wysiadł. Bez ostrzeżenia wpadliśmy w turbulencje. - Ponownie popatrzył na zniszczony samolot. - Mieliśmy szczęście. W innych okolicznościach wysiadłby nam silnik albo odpadłyby oba skrzydła. - Uśmiechnął się gorzko, kiedy wskazał ręką polanę. - A tak zdołaliśmy wylądować, zanim skały załatwiły maszynę.

- Czy stracisz przez to pracę?

Popatrzył na nią z dziwnym uśmiechem i nic nie odpowiedział.

- Czy przez utratę samolotu będziesz musiał zwinąć interes? - indagowała dalej.

Jego uśmiech był doprawdy coraz bardziej denerwujący. W końcu wskazał na samolot i powiedział:

- To tylko jeden z dwóch tuzinów moich samolotów. Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Ubezpieczenie pokryje koszty ewentualnej naprawy. Myśli wirowały jej w głowie, kiedy usiłowała pojąć to, czego się przed chwilą dowiedziała.

- Dobrze sobie radziłeś przez te ostatnie lata.

- Bardzo dobrze.

Zwilżyła wargi, gdy dotarło do niej, w jakim była błędzie, sądząc, że bez niej Seth sobie nie poradzi. Zawsze wyobrażała go sobie nieszczęśliwego i bez pieniędzy.

Usychającego z tęsknoty za nią...

- Cieszę się - powiedziała, ale w jej głosie nie było słycać radości.

- A co u ciebie, Lizzie? Jak sobie radzisz?

Lizzie. Wiedział, jak nie cierpiała tego zdrobnienia, ale mimo to go używał.

- Zostałam wicedyrektorką w firmie.

- To oznacza, że jesteś druga pod względem ważności? Poruszyła się niespokojnie, wiedząc, że nazwa jej funkcji jest nieco zwodnicza.

- Raczej piąta lub szósta - przyznała.

- Tak czy inaczej, to powód do chwały.

- Chyba tak. - W jej słowach nie było nieśmiałości. Z dumą myślała o wszystkim, co zdołała osiągnąć przez ostatnie trzy lata.

Odniosła sukces, o jakim się jej nawet nie śniło - i cały czas szła w górę.

Kiedy więc to wszystko przestało się liczyć? Czy w chwili, kiedy samolot rozbił się na górskim szczycie? Czy też brak satysfakcji pojawił się znacznie wcześniej?

- Czy coś się stało?

Oderwała się od swoich przemyśleń, żeby popatrzeć na mężczyznę, który w słabym świetle poranka stał przed nią. Jeszcze raz zwróciła uwagę na to, że jest bardzo wysoki i bardzo silny.

Zapadła cisza, pełna napięcia wynikającego z sytuacji - i z czegoś jeszcze. Oboje zdawali sobie sprawę, że powietrze jest przesycone erotyzmem. Nie było sensu temu zaprzeczać.

Tym razem to Seth zrobił krok w jej kierunku.

- Masz tu niezłego sińca. - Mówił cicho, odchrząknawszy wcześniej, żeby pozbyć się chrypki, zdradzającej jego emocjonalne napięcie.

Skrzywiła się, kiedy dotknął palcem miejsca na jej czole i obwiodł palcami jej oko. Syknęła, kiedy dotknął szczególnie wrażliwego miejsca.

- Boli cię tu, a może jeszcze gdzieś? Pokręciła głową.

- Czujesz zawroty? Mdłości?

- Nie. - Poczwała się zaniepokojona. - Dlaczego ciągle mnie o to pytasz?

- Możliwe, że masz lekkie wstrząśnienie mózgu. Budziłbym cię w nocy co godzinę, gdybym nie był pewien, że w ogóle nie śpisz. - Uśmiechnął się krzywo i trochę smutno. - Uratują nas, Lizzie.

Mimo obaw, nie potrafiła ujawnić swoich prawdziwych lęków. Wiedziała już, że może minąć wiele dni, zanim pojawi się pomoc. Miała świadomość niebezpieczeństw, jakie im zagrażały - zimno, przymusowe przebywanie na otwartej przestrzeni, głód, pragnienie, i dodatkowo - seryjny morderca na wolności. Nie mogła, a raczej nie chciała przyjąć do wiadomości, że jej i Sethowi grozi także emocjonalny wstrząs spowodowany spotkaniem w tak stresujących okolicznościach.

- Pewnie nie zajmowałeś się medycyną, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni - powiedziała w końcu, zarówno po to, żeby przerwać ciszę, jak i po to, aby dowiedzieć się, co robił przez tych kilka lat.

Seth opuścił wzrok.

- Medycyną? Nie. Przykro mi.

- Takie moje szczęście - przesadnie westchnęła i wzruszyła ramionami.

- Ale znam się trochę na pierwszej pomocy.

- Czyżby?

- Mogę tylko powiedzieć, że na pewno nie jesteś w szoku i nie wygląda na to, żebyś tonęła.

Roześmiała się cicho i odepchnęła go od siebie. Nie zakochuj się w tym mężczyźnie, pomyślała. Nie popełniaj po raz drugi tego samego błędu.

- Wczoraj nieźle poradziłeś sobie ze Stanem.

- Niewystarczająco dobrze. - Zmarszczył brwi. - Jest bardzo blady, ponadto ma kłopoty z oddychaniem, co mnie martwi. Obawiam się, że odniósł poważniejsze obrażenia, niż daje po sobie poznać, ale brak mi doświadczenia, żeby to stwierdzić na pewno.

- Może utrata krwi...

- Może.

Ponownie zapanowała pełna napięcia cisza, naładowana niewypowiedzianymi pytaniami i oskarżeniami. Elizabeth była coraz bardziej świadoma tego, że to ona opuściła Seta i że jednak powinna się jakoś wytłumaczyć.

- Lepiej wróćmy do innych - powiedziała nagle, chociaż nic nie napełniało jej większą niechęcią niż perspektywa spędzenia jeszcze

jakiegoś czasu w samolocie. Jednakże kiedy Seth się nie poruszył, nie mogła zmusić się do tego, aby pierwsza zrobić krok.

- Powinieneś opatrzyć czymś to rozcięcie - powiedziała w końcu.

Rana nad okiem Setha nadal krwawiła, a krew była świeża, jak gdyby rozcięcie w ogóle nie chciało się zagoić.

Pomyślała, że pewnie większość bandaży i gazików została zużyta, a resztę trzeba oszczędzać dla rannego agenta. Zerknęła więc na kosztowną bluzkę z jedwabiu, którą miała pod płaszczem i zaproponowała:

- Mogę oderwać kawałek bluzki, będziemy mogli zrobić ci opatrunek...

Kąciki ust Setha wykrzywiły się w uśmiechu.

- Nie ma potrzeby - stwierdził. - Chodź ze mną. Poprowadził ją na znajomy obszar, w pobliżu dzioba samolotu.

Znajdowali się zaledwie o kilka metrów od maszyny, kiedy Seth dostrzegł nagle czyjś cień poruszający się wśród drzew i złapał Elizabeth za ramię. Zaklął i popchnął kobietę na ziemię, dokładnie w chwili, kiedy padł strzał.

- Macie leżeć bez ruchu albo przysięgam, że zastrzelę oboje!

Elizabeth zakryła głowę rękami, rozpoznawszy głos Frankiego Webba. Była pewna, że przestępca nie zawaha się ich zabić. Jednak kilka sekund później usłyszała skrzypienie śniegu pod nogami i domyśliła się, że Webb biegnie w stronę drzew.

Kilka sekund później po lesie rozniósł się jego szyderczy śmiech.

- Głupcy, głupcy! Naprawdę myślicie, że tak łatwo wam odpuszczę?

Seth uniósł się na rękach i krzyknął:

- Frankie, lepiej wyjdź z lasu! Nie dasz sobie rady. Nie masz co jeść! Walczysz z prawem, nie z nami. Wróć i pogadamy.

- Jesteś idiotą, czy co? Jak ten głupi agent. Myślał, że tak się przejąłem katastrofą, że nie będę próbował uciec. No i pomylił się, ha, ha!

- O którym agencie mówisz, Frankie? O tym, którego zaatakowałeś? Czy o tym, którego zabiłeś?

Nie było odpowiedzi. Przez długie sekundy Seth nie pozwalał Elizabeth wstać, nakrywał jej ciało swoim. W końcu wziął głęboki oddech i przetoczył się na bok.

- Nic ci nie jest? - zapytał, nie spuszczając ani na moment wzroku z lasu.

Pokręciła głową.

- Był tu przez cały czas? - zapytała podenerwowana. - Obserwował nas?

Na tę myśl przeszył ją strach. Ona i Seth stali na otwartej przestrzeni przynajmniej przez kwadrans. I przez cały ten czas Frankie ich obserwował. Czekał.

Zaczęła drżeć, więc Seth przyciągnął ją do siebie.

- No dobrze, już dobrze - powiedział uspokajająco. - Nic nam nie zrobił, prawda? Po prostu chciał nas wystraszyć, żebyśmy pozwolili mu uciec.

Znowu popatrzył na drzewa i ujął Elizabeth za rękę.

- Chodź. Musimy się gdzieś skryć.

Zanim zdążyła zaprotestować, postawił ją na nogi i zaczął biec do dziobowej części samolotu.

Nie miała ochoty schronić się w miejscu, które przed chwilą zajmował Webb, ale Seth nie pozostawił jej żadnego wyboru. Kiedy już byli w środku, popchnął ją na fotel drugiego pilota, ostrożnie omijając rozszczepioną gałąź, która rozbiła szybę.

Elizabeth usiadła, drżąc na całym ciele. Czowała, jak krew szybko pulsuje w jej żyłach.

Mogli zginąć.

Zupełnie jak Brent Caldwell.

Elizabeth rozchyliła usta i oddychała szybko, kiedy dotarło do niej pełne znaczenie niedawnych słów Seta: „O którym agencie mówisz, Frankie? O tym, którego zaatakowałeś? Czy o tym, którego zabiłeś?”. Ale przecież Webb nie zabił tego człowieka... Caldwell zmarł z powodu poważnych obrażeń spowodowanych katastrofą.

Na pewno?

Podskoczyła, kiedy Seth otoczył dłońmi jej twarz.

- Webb nie robi nam krzywdy, Elizabeth - powiedział. Jeden z jego palców znowu dotknął spuchniętego miejsca, uchyliła się więc przed jego dotykiem. - Jak się czujesz?

- To boli! - krzyknęła i odepchnęła Seta. Od razu tego pożałowała. Z jej ust wydobył się szloch. - Myślisz, że jak się czuję? Przeżyłam katastrofę lotniczą, zapomniałeś? Od tego czasu popychano

mnie, potrącano i wpadano na mnie! A teraz strzelał do mnie seryjny morderca!

Zamknęła oczy i zakryła twarz rękami, obawiając się, że Seth dostrzeże, jaka jest bezbronna. Nie mogła pozwolić na to, żeby ujrzał jej strach. Nie mogła!

Nagle silne ręce spoczęły na jej ramionach i przytuliły ją do twardej jak skała piersi. Elizabeth zarzuciła ręce na szyję Seta. Jej palce dotykały kołnierza jego kurtki, ścisnęły go, jak gdyby to było dla niej wybawienie. Przytuliła się do niego z całych sił, chcąc się wtopić w jego silne ciało.

- Przepraszam, przepraszam - wyszeptała w jego szyję. - Nie powinnam tak na ciebie warczeć. Ale to wszystko takie frustrujące...

Odchylił głowę, żeby widzieć jej twarz.

- Elizabeth, ja...

Nagle przerwał. Jego wzrok skupił się na jej pełnych, lekko rozchylnych wargach.

Elizabeth zadrżała, kiedy odczytała emocje wypisane na jego twarzy.

- Seth?

Nie odpowiedział. Pochylił się ku niej.

I nagle rozległ się jęk. Elizabeth nie była pewna, czy wydobył się z jej ust, czy z jego. Wiedziała jedynie, że oddechy obojga mieszały się ze sobą.

Kiedy ich wargi się zetknęły, z gardła Elizabeth wydobyło się pośpieszne westchnienie rozkoszy. Przechyliła lekko głowę i skupiła się na smaku warg Seta. Jego pieszczota była najpierw delikatna, potem spragniona, niecierpliwa, coraz bardziej natarczywa.

Elizabeth dotykała palcami krótkich, jedwabistych włosów na jego karku, chcąc rozładować nieznośne napięcie.

Kiedy pociągnął ją za włosy, odchyliła nieco głowę i z trudem otworzyła powieki. Ich spojrzenia spotkały się. Elizabeth patrzyła na pożądanie malujące się na obliczu Seta i zastanawiała się, czy jej twarz ma taki sam wyraz.

- Seth?

- Ciii. - Coraz mocniej przyciskał ją do siebie. Jedną dłonią cały czas pieścił jej plecy.

- Ale...

- Ciii, nic nie mów.

Jego gorące spojrzenie niemal ją parzyło, gdy znowu zbliżył się do niej. Delikatnie musnął ustami jej policzek i kącik warg.

Kiedy uniósł głowę, znowu popatrzyli na siebie. Pożądanie pulsowało między nimi zgodnym rytmem. Tym razem to Elizabeth przyciągnęła Seta do siebie.

Na chwilę ich usta ponownie się spotkały, a przez jej ciało przebiegł dreszcz. Przysunęła się jeszcze bliżej i przycisnęła biodra do jego ud.

Nigdy nikt jej tak nie dotykał jak Seth. Wystarczyło jego jedno spojrzenie, aby obudzić w niej namiętność. Brakowało jej go. Boże drogi, jak bardzo jej go brakowało.

Z wahaniem wsunęła dłonie pod kurtkę Seta. Jednakże kiedy jej zimne palce dotknęły jego koszuli, zrobił gwałtownie krok do tyłu.

- Musimy przestać. Nie możemy tego zrobić - wyszeptał. - Nie tutaj. Nie tak.

Nie tutaj.

Nie tak.

No to kiedy?

Przygryzła wargę i zamknęła oczy.

To jednoznaczne odrzucenie bolało bardziej, niż mogłaby przypuszczać.

Ale właściwie nie powinna oczekiwać niczego innego po tym, jak go potraktowała.

Kiedy zaczęła pogrążyć się w ponurych rozmyślaniach, Seth uniósł jej brodę do góry. Delikatnie musnął wargami usta Elizabeth. Na ten gest, taki słodki, łzy napłynęły do jej oczu.

- Nie zrozum mnie źle, Lizzie - wyszeptał Seth. - Pragnę cię. Pragnę cię bardziej niż kogokolwiek i czegokolwiek na świecie, ale nie będę się z tobą kochał, kiedy Webb może patrzeć i czekać.

Te słowa otrzeźwiły ją niczym zimny prysznic.

Wciąż groziło im niebezpieczeństwo.

Straszliwe niebezpieczeństwo.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Elizabeth zamrugała i cofnęła się o krok. Zmusiła się do tego, aby nie myśleć o pożądaniu, jakie oboje odczuwali.

Nie myśl o tym teraz, nakazała sobie w duchu.

I nie myśl o Webbie.

Odchrząknęła i postąpiła jeszcze krok do tyłu. Opadła na fotel, po czym przybrała obojętny wyraz twarzy. Gorączkowo szukała czegoś - czegokolwiek - co pozwoliłoby jej odzyskać kontrolę nad sobą.

- Chciałam opatrzeć ci oko - powiedziała zniecka. Pogratulowała sobie, że w jej głosie nie było już żadnych śladów niedawnych emocji.

- Elizabeth, my...

Wyciągnęła dłoń, żeby już nic więcej nie mówił.

- Nie. Proszę, Seth - wyszeptała. - Nie mogę już. Naprawdę nie mogę. - Przygryzła wargę, kiedy te słowa dotarły do jej świadomości, ciche i pełne emocji. - Chciałam cię opatrzeć. Pozwól mi to zrobić.

Seth pomacał pod siedzeniem pilota i wyciągnął mały zestaw pierwszej pomocy.

Elizabeth odetchnęła głęboko, ponownie usiłując być opanowana i miła. Tylko miła i opanowana - ni mniej, ni więcej.

- Jesteś świetnie przygotowany - zauważyła.

- Byłem harcerzem.

Otworzył pudełko i zaczął przeglądać jego zawartość.

- Może ja to zrobię - zaproponowała.

Wyjęła paczkę sterylizowanych gazików i plastry. Wzięła także paczkę aseptycznych wacików, otworzyła ją i wyciągnęła wilgotny kwadracik.

- To pewnie będzie piekło - ostrzegła.

Tak delikatnie, jak potrafiła, dotknęła wacikiem rany. Seth syknął i wbił palce w swoje uda.

- Przepraszam - szepnęła.

- Nic się nie stało - wydyszał przez zaciśnięte zęby. Wyciągnęła rękę, żeby ująć jego dłoń, po czym zaczęła się zastanawiać, po co u licha usiłuje go dotknąć, skoro wie, że nawet najmniejsza forma kontaktu między nimi może być niebezpieczna. W półmroku dostrzegła, że na nią patrzył - czuła, że na nią patrzył.

- Dlaczego odeszłaś, Lizzie?

Skoncentrowała się na bandażowaniu bardziej niż to było konieczne.

- To chyba nie jest odpowiednie miejsce ani czas na dyskusje o naszej przeszłości.

- Myślę, że to doskonały moment i jedyne miejsce, jakim chwilowo dysponujemy.

- Niech najpierw to skończę - powiedziała, wskazując na bandaż.

Tak szybko, jak potrafiła, oczyściła ranę, a następnie wytarła ślady krwi. Mimo jej starań rana zaczęła znowu krwawić. Rzuciwszy zakrwawiony gazik na podłogę, Elizabeth jeszcze raz obandażowała ranę.

Kiedy skończyła, Seth złapał ją za przegub. Wyciągnął z pudełka kolejną paczkę gazików, otworzył ją, po czym starannie wytarł ślady krwi z czoła Elizabeth.

Ten gest był taki nieoczekiwany, tak łagodny i troskliwy, że poczuła, jak w jej oczach zbierają się łzy. Przygryzła wargę, żeby głośno nie zaszlochać, kiedy Seth uniósł jej dłoń i pocałował ją.

- Bardzo dzielnie się zachowywałaś podczas tego wszystkiego - mruknął. - Powinnaś być teraz trzęsącym się kłębkim nerwów, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę twój strach przed lataniem małymi samolotami.

Elizabeth zeszywniała. Czyżby zaledwie wczoraj po południu martwiła się, że podczas lotu zrobi się jej niedobrze? Wydawało się, że wtedy była inną kobietą, prowadziła inne życie.

- Dlaczego mnie zostawiłaś, Lizzie?

Czekała na jakiś gest zrozumienia, jakiś znak, że nie musi mówić tego głośno. Kiedy odpowiedziało jej jedynie milczenie, musiała zachować się uczciwie i wreszcie wyjaśnić mu, dlaczego odeszła.

- Nie potrafiłam być taką kobietą, jakiej potrzebowałeś. Nie mogłam siedzieć w domu i czekać, aż zginiesz.

- Zginę? O czym ty mówisz?

- Zawsze szukałeś jeszcze większej przygody, bardziej niebezpiecznej ewolucji do wykonania, mniejszego samolotu do latania. - Starannie dobierała słowa. - Nie miałaś wielkich szans.

- A więc uznałaś, że szukam śmierci? Poruszyła się niespokojnie.

- „Szukać śmierci” to chyba zbyt mocne określenie, ale myślałam, że podejmujesz niepotrzebne ryzyko. Usiłowałam oddalić

od siebie strach - dodała szybko. - Naprawdę. Ale już po chwili znowu bałam się, nie mogłam o niczym innym myśleć... Wszystko, o czym mogłam myśleć, to... Jej słowa przerwał czyjś gorączkowy okrzyk.

- Ej, dokąd pani idzie?! Proszę tu wracać!

Seth jęknął, kiedy coraz głośniejsze krzyki rozniosły się nad polaną.

Niech to cholera. Nie chciał jeszcze wychodzić. Chciał tu zostać z Elizabeth. Pragnął uzyskać odpowiedzi na pytania, które dręczyły go od trzech lat. Mimo to musiał powrócić do swoich obowiązków. Popatrzył na nią jeszcze przez chwilę, po czym zaklął i podszedł do dziury w kadłubie samolotu.

- Pani Hawkes? Pani Hawkes!

Seth rozpoznał głos Ricky'ego i zeszywniał. Od chwili wypadku Willa Hawkes dziwnie się zachowywała. Wpierw była w szoku, potem wydawała się bardzo zagubiona i zmęczona, ale sądził, że powoli dochodziła do siebie. Co mogło się znowu stać?

Seth zeskoczył z samolotu na ziemię i odwrócił się, żeby pomóc Elizabeth, po czym pobiegł po śniegu w kierunku Ricky'ego Brummela. W swojej arktycznej kurtce mężczyzna wyglądał jak nieco nadtopiony bałwan.

Na ich widok Ricky zamachał rękami, po czym wskazał ręką las.

- Odeszła. Poszła tędy... tą samą drogą, co wczoraj więzień. Seth zaklął.

- Tego nam jeszcze potrzeba, żeby ktoś błąkał się po lesie, gdzie grasuje uzbrojony psychopata.

Odsunął od siebie pytania atakujące jego umysł. Nagle zauważył, że Elizabeth znowu stoi na otwartej przestrzeni. Zmarszczył brwi i ostrym tonem powiedział:

- Wracaj do samolotu, Lizzie.

- Nie!

Ta szorstka odmowa była tak nieoczekiwana, że ze zdumieniem wpatrywał się w Elizabeth, w jej szeroko otwarte oczy, bladą twarz i zaciśniętą szczękę.

- Dlaczego nie?

- Idę z tobą.

- Elizabeth...

- Możesz sobie tracić czas na kłótnie, ale i tak pójdę z tobą. Wiem, że Willa jest przerażona i zagubiona. Przyznała się wczoraj w

nocy, że cierpi na klaustrofobię i noc spędzona w ciasnym samolocie mogła na nowo wywołać u niej silny szok. Jak dotąd, tylko ja i Ricky potrafiliśmy ją uspokoić. Muszę ją odnaleźć.

Seth westchnął z rezygnacją, uświadamiając sobie, że Elizabeth ma rację. Wyczuwał, że mimo jego protestów, ona najprawdopodobniej i tak za nim pójdzie.

- Dobrze - odparł w końcu. - Chodźmy. Ale trzymaj się mnie, cholera jasna.

Zaczął brnąć przez śnieg, usiłując zostawić za sobą dość szeroką ścieżkę dla Elizabeth. Nietrudno było odnaleźć Willę Hawkes. Weszła tylko za pierwsze sosny i przystanęła. Stała tam, oszołomiona, i mamrotała:

- Moje książki. Co oni zrobili z moimi książkami?

Seth chciał do niej podejść i siłą zaciągnąć kobietę z powrotem do samolotu, ale Elizabeth dotknęła jego ramienia i pokazała gestem ręki, żeby się nie odzywał.

- Willa? Willa, pamiętasz mnie? Razem leciałyśmy samolotem.

Willa zamrugła i popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Tak, na pewno mnie pamiętasz - ciągnęła Elizabeth. - Parę razy rozmawiałyśmy. Pomagałaś mi wczoraj posprzątać samolot.

Willa patrzyła na nią niewidzącym wzrokiem, ale Elizabeth udawała, że tego nie zauważa. Delikatnie objęła kobietę i zaczęła prowadzić ją w kierunku polany i samolotu.

Przez cały czas Seth nerwowo wpatrywał się w krzaki. Podczas całego tego zamieszania na szczęście nigdzie nie zauważył Webba, jednak przeczuwał, że zanim minie dzień, skazaniec jeszcze się pojawi. Frankie nie miał jedzenia, nie miał nawet ciepłego ubrania. Będzie krążył wokół ludzi niczym ćma wokół ognia.

. I to właśnie najbardziej martwiło teraz Seta. Jeden agent FBI nie żył, drugi był poważnie ranny, tak więc zadanie złapania seryjnego mordercy i trzymania go pod strażą aż do przybycia ekipy ratunkowej mogło okazać się niewykonalne.

Ale czy miał jakiś inny wybór? Musiał spróbować.

Nagle poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie.

- Pośpiesz się trochę, Elizabeth - mruknął pod nosem. Zerknęła na niego pytająco znad ramienia.

- Chyba mamy w lesie towarzystwo - wyjaśnił.

Coraz szybciej szli w kierunku samolotu, a zimny śnieg smagał ich policzki i sprawiał, że perspektywa dostania się do tego nie najlepszego schronienia wydawała się teraz wręcz zachęcająca.

Elizabeth wysunęła się do przodu, aby pomóc Willi wejść do środka, ale starsza kobieta wyszarpnęła się jej, najwyraźniej przerażona perspektywą powrotu do ciasnego samolotu.

- Moje książki - powiedziała głośno, usiłując znaleźć pretekst do pozostania na zewnątrz.

- Poszukamy twoich książek, kiedy zrobi się trochę cieplej. Teraz musisz schronić się przed wiatrem.

Willa zacisnęła szczękę, a następnie usiłowała wyminąć Seta.

- Muszę znaleźć swoje książki.

Seth objął ją w talii i mocno przytrzymał. Jak na swój stan, była zdumiewająco silna.

- Pani Hawkes...

- Nie, nie zostawię ich tak. Nie mogę. Są jak dzieci, nie wiedział pan?

- Pani Hawkes, nalegam, żeby...

- Cholera jasna, on ma drgawki! - krzyknął Ricky. Wszyscy odwrócili się, widząc, jak Ricky wdrapuje się do samolotu.

Seth machnął na Elizabeth, żeby poszła w ślady komiwojażera, po czym bezceremonialnie wziął Willę pod pachy i wrzucił ją do wnętrza samolotu, a następnie sam się tam wdrapał.

Gdy tylko jego oczy przywykły do ciemności, Seth zobaczył, co tak zaniepokoiło Ricky'ego. Stan Kowalski spadł z fotela na podłogę. Jego ręce i nogi raz za razem uderzały o ziemię, tęczę schowały się za powiekami.

- Co, do...

Na widok męczarni agenta, Willa uspokoiła się nagle, usiadła w fotelu i objęła się mocno rękami.

Kowalski zaczął charczeć i krztusić się, Seth machnął na Ricky'ego, żeby pomógł mu przenieść agenta na przejście pomiędzy fotelami. Tam ciało Stana zeszywniało, z jego piersi wydobył się głośny oddech. Następnie powietrze opuściło jego płuca z czymś w rodzaju westchnienia i Stan wbił wzrok w sufit.

- Kto umie zrobić masaż serca?

Tylko Elizabeth uniosła rękę. Stała nad agentem i położyła rękę na piersi mężczyzny. Seth natychmiast zajął miejsce przy głowie Kowalskiego, żeby robić sztuczne oddychanie.

- Gotowy? - spytała Elizabeth.

- Na trzy.

Seth odchylił głowę Stana do tyłu i otworzył jego usta. W tej samej chwili wypłynęła z nich krew.

- Potrzebuję więcej światła - jęknął Seth. Zapalona latarka oświetliła ciężko rannego.

Willa zaszlochała, kiedy złoty snop światła padł na krew, która sączyła się z nosa i uszu Stana.

Elizabeth automatycznie kontynuowała masaż serca, ale Seth wyciągnął rękę, żeby ją powstrzymać.

- Odszedł - wyszeptał ze ściśniętym gardłem.

- Ale...

- Nie krwawiłby tak, gdyby nie miał rozległych obrażeń wewnętrznych. Masaż serca mu nie pomoże.

Owinęli ciało Stana w koc.

Seth, Ricky i Michael Nealy przenieśli obu zmarłych agentów w wybrane pod drzewami miejsce i przykryli ich kawałkami metalu, żeby ochronić ciała.

Nealy ponownie zaczął panikować z powodu zaginięcia jego bagażu i usiłował odnaleźć swój płaszcz. Kiedy go w końcu znalazł, zażądał swoich przyborów toaletowych, torby podręcznej i walizki.

Seth, zirytowany obsesyjnym zachowaniem mężczyzny, wysłał wszystkich do samolotu.

Pasażerowie posłusznie zastosowali się do jego polecenia, ale on sam pozostał na zewnątrz. Wyglądał tak ponuro i niedostępnie, że Elizabeth natychmiast zrozumiała, iż obwinił się o śmierć agentów.

- Nie mogłeś nic zrobić, Seth - powiedziała, podchodząc do niego.

- Mogłem zapobiec katastrofie.

- Jak? To wina pogody.

- Powinienem był wstrzymać lot i wybrać inną trasę.

- Z tego, co mówiłeś innym pasażerom, wiem, że nie dało się tego uniknąć. Zrobiłeś, co mogłeś, żeby uciec od turbulencji, ale było już za późno...

Poczuła ulgę, że nie próbował się z nią spierać. Mimo to zdawała sobie sprawę, że jej słowa nie do końca go przekonały. Nadal miał poczucie winy.

Seth wbił wzrok w ołowiane niebo. Na chwilę wiatr ustał, a wokół zapanowała niesamowita cisza, bardziej przerażająca niż uspokajająca.

- Przed nocą spadnie jeszcze więcej śniegu.

- To dobra wiadomość czy zła? - Elizabeth włożyła przemarzniete ręce do kieszeni w nadziei, że zdoła je choć trochę rozgrzać.

Seth oddychał głęboko, a jego szare oczy wpatrywały się w zasy, pomiędzy którymi widniało duże wgłębienie, utworzone przez hamujący samolot.

- Dobra wiadomość to taka, że gdy spadnie śnieg, trochę się ociepli.

- A zła?

- Że zasypie wrak i drogę.

- I trudniej będzie nas znaleźć? Skinął głową.

- To co możemy zrobić?

Seth oparł ręce na biodrach i powoli zaczął chodzić w kółko. Wreszcie przystanął i rzekł:

- Zrobimy jak najlepszy użytek z tego, co mamy. - Wykonał zamaszysty gest ręką. - Samolot, jak dotąd, służy za całkiem dobre schronienie. Teraz muszę dostać się do ogona, żeby sprawdzić, czy latarnia kierunkowa wysyła sygnały. Stery są połamane, a latarnia jest umieszczona tuż obok nich, więc nie wiadomo...

- No, to zabieraj się do roboty - powiedziała Elizabeth.

Zamierzała wrócić do samolotu razem z innymi pasażerami, ale nim zdążyła podejść do Ricky'ego, który szedł ostatni, Seth dogonił ją i chwycił za rękaw. Poczekał, aż Ricky znajdzie się poza zasięgiem głosu, i powiedział:

- Jeśli Willa znowu wbije sobie do głowy, żeby wyjść z samolotu i gdzieś odejść, nie chcę, żebyś za nią szła. Obiecuj mi to, dobrze?

- Nie zamierzałam spacerować po górach. - Elizabeth uniosła brwi ze zdziwieniem.

- To dobrze. Poza tym, chcę cię prosić, żebyś korzystała z ubikacji w samolocie, tak jak my wszyscy wczoraj wieczorem.

Mimo że kiedyś była żoną tego mężczyzny i łączyły ich intymne wspomnienia, poczuła, że się czerwieni.

- Ale Webb od rana nie dał znaku życia - zaprotestowała. - Równie dobrze może być wiele kilometrów stąd. Co zyskałby, robiąc nam krzywdę?

- Frankie Webb to wściekły, sfrustrowany mężczyzna. Zabija dla przyjemności. Zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby nie dać się ponownie złapać. Założę się z każdym o cokolwiek, że spróbuje dostać się na pokład, może nawet zamierza zrobić z nas zakładników. Teraz z pewnością jest zmarznięty, głodny i zmęczony. Jego jedyną szansą na przetrwanie jest dołączenie do nas, a jedyną nadzieją na ucieczkę... przejęcie nad nami kontroli.

Po plecach Elizabeth przebiegł dreszcz. Wiedziała, że nie miał nic wspólnego z niską temperaturą. Po prostu znowu dopadł ją lęk.

- My mamy wszystko to, czego on potrzebuje. Mamy latarnię kierunkową, schronienie w samolocie przed mrozem i śniegiem oraz zapasy żywności. Z tego, co słyszałem podczas poprzednich procesów, Frankie Webb nie ma żadnych skrupułów, jeśli chodzi o życie innych ludzi. Jeśli uzna, że pozbycie się niewygodnych pasażerów zwiększy jego szansę na ucieczkę, zabije nas wszystkich.

Seth rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt na nich nie patrzy, po czym wyciągnął z kurtki małego pistolet. Włożył broń do kieszeni płaszcza Elizabeth.

- To derringer. Należał do Stana. Znalazłem go w kaburze przytwierdzonej do jego nogi. Chcę, żebyś zawsze nosiła tę broń przy sobie.

- Nie, Seth, ja nie mogę...

- Musisz! Jesteś jedyną osobą, którą znam na tyle dobrze, żeby powierzyć jej broń.

Elizabeth zrobiło się cieplej na sercu, ale tylko dopóty, dopóki znowu nie zaczął mówić:

- Zrozum! Willa Hawkes jest w szoku, Nealy jest zbyt pobudliwy, Walsh coraz gorzej wygląda... A Gallagher... on po prostu mnie denerwuje...

A więc zaufała jej, bo nie miał wyboru.

Wyjęła pistolet z kieszeni płaszcza, spojrzała na broń, potrząsnęła głową i usiłowała wepchnąć derringera do dłoni Seta.

- Nie, naprawdę...

- Nie ma o czym mówić, Lizzie. Broń jest naładowana i zabezpieczona. Musisz ją zatrzymać.

Elizabeth z wahaniem przekładała derringera z dłoni do dłoni. Widać było, że ciągle się zastanawia i nie jest do końca przekonana, czy rzeczywiście musi mieć broń.

- Z dnia na dzień Webb będzie się stawał coraz groźniejszy - uparcie przekonywał ją Seth. - Z nas wszystkich ty jesteś narażona na największe niebezpieczeństwo.

Poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

Była młodą kobietą. Miała ciemne włosy, ciemne oczy i wyższe wykształcenie. Tak jak wszystkie dotychczasowe ofiary Frankiego Webba.

Uniosła derringera, przymknęła oko i wycelowała.

- Myślisz, że będziesz go w stanie zastrzelić, jeśli to się okaże konieczne?

Skinęła głową.

- Jeśli znajdzie się wystarczająco blisko - odparła.

Seth uśmiechnął się z aprobatą, a następnie machnął ręką w kierunku samolotu.

- Wracaj tam - powiedział.

Zrobiła dwa kroki, po czym odwróciła się, bo zdała sobie sprawę, że Seth nie zamierza za nią iść.

- A ty? Potrząsnął głową.

- Spróbuję się trochę rozejrzeć. Elizabeth uniosła brwi.

- No, to pójdę z tobą - stwierdziła.

- Nie tym razem. - Zacisnął wargi. - Będę szukał śladów Frankiego Webba.

Chociaż spacer do lasu, w którym mógł się ukrywać seryjny morderca, był ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, musiała go zapytać:

- Czy nie sądzisz, że to bardzo nierozsądne iść tam w pojedynkę?

- Niedługo wrócę.

- Ale...

- Idź do samolotu, Elizabeth.

Zesztywniała, słysząc ten rozkazujący ton. To były te same pouczające, nie znoszące sprzeciwu polecenia, które tak działały jej na nerwy podczas trwania ich małżeństwa. W końcu nie była dzieckiem ani jakąś idiotką, żeby Seth mówił jej, co i kiedy powinna robić.

Kiedy jednak w jego oczach pojawił się ostrzegawczy błysk, postanowiła się nie klócić. Uda, że usłuchała go... ale nie ustąpi.

Gdy tylko upewniła się, że Seth zniknął z jej pola widzenia, wróciła po swoich śladach i pośpieszyła za nim.

- Nie chodź tam sama - mruzczała po nosem, przedrzeźniając ton głosu Setha. - Rób, co ci każe, a nie to, co sam robię.

Dlaczego nie pamiętała, że Seth już dawno temu chciał umieścić ją w szklanym kloszu i ustawić na półce? Traktował ją jak jakąś kruchą porcelanową lalkę, która nie ma mózgu. Nigdy nie przyjął do wiadomości, że jej praca wymaga samodzielnego myślenia, a przede wszystkim inteligencji. Jako profesor historii uznał, że jego żona zna się wyłącznie na reklamach kocięj karmy.

Elizabeth nie przestawała o tym myśleć przez niemal sto metrów marszu, zanim zatrzymała się i ukryła za jednym z głązów.

Zobaczyła, że Seth przystanął na skraju małej polany. Ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w cienie drzew, szukając czegoś, czegokolwiek, co upewniłoby go, że Frankie Webb znajduje się w pobliżu.

- Frankie?! - zawołał głośno. - Frankie, umrzesz tutaj bez jedzenia. Wracaj do samolotu, nie będziemy zadawać żadnych pytań.

Odpowiedziała mu tylko cisza.

- Frankie, pozostawanie w lesie to głupota. Zamarzniesz na śmierć, chyba że zwierzęta wcześniej się do ciebie dobiorą.

Brak odpowiedzi.

Elizabeth przykucnęła jeszcze niżej, zastanawiając się, dlaczego Seth stanął właśnie tutaj? Może usłyszał jej kroki na śniegu i pomyślał, że to skrada się Webb?

Nagle zza drzew wyłoniła się jakaś postać.

Bez ostrzeżenia Frankie Webb błyskawicznie uniósł pistolet, wycelował i głośno zaklął, bowiem suchy metaliczny trzask oznajmił mu, że nie ma już amunicji.

Zanim Seth zdążył zareagować, Frankie rzucił pistolet na śnieg, po czym długim susem skoczył przed siebie, przewracając Setna i łapiąc za jego broń.

Elizabeth zakłęła i wyskoczyła ze swojej kryjówki.

- Cofnij się! Cofnij! Stać, bo będę strzelać! - wrzeszczała, celując z derringera do kłębiących się na śniegu mężczyzn.

Nawet jeśli ją usłyszeli, nie zareagowali. Frankie trzymał obiema dłońmi przegub Setna i uderzał ręką przeciwnika o ziemię, w nadziei, że Seth wypuści broń.

Musiała coś zrobić i to szybko. Bo jeśli Frankie znowu wejdzie w posiadanie broni...

Podniosła swój pistolet, kierując lufę ponad głowami mężczyzn, odbezpieczyła go kciukiem i dwukrotnie strzeliła.

Odrzut sprawił, że druga kula świsnęła tuż nad uchem Frankiego. Uniósł wzrok, zaklął, po czym wstał i rzucił się do ucieczki.

Seth skoczył na równe nogi i nawet nie patrząc w kierunku Elizabeth, pobiegł za Frankiem.

Elizabeth podniosła porzucony przez Frankiego pistolet i pobiegła po śladach Seta - częściowo po to, żeby w razie czego pomóc, ale przede wszystkim dlatego, że nie chciała zostać sama w lesie.

Widziała pełen nienawiści błysk w oczach Webba i wiedziała, że Seth słusznie założył, że morderca zrobi wszystko, aby nie dać się ponownie schwytać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dyszając ciężko, Elizabeth usiłowała dogonić znikające postacie. Jakies trzydzieści metrów dalej straciła z oczu Frankiego. Zauważyła, że Seth zatrzymał się obok zamarzniętego strumienia. Zgięty w pół, opierał się dłońmi o kolana i wciągał lodowate powietrze do płuc.

Niemal jęcząc z wysiłku, powlokła się w tamtym kierunku i stanęła obok niego.

- Nie wiem... kiedy... wyszłam z formy... - wydyszała.

- To wysokość - padła krótka odpowiedź.

Elizabeth zauważyła belkę drewna, która była jedynie częściowo przykryta śniegiem. Teraz, gdy poziom adrenaliny powoli spadał, Elizabeth była nieprzyjemnie świadoma drżenia swoich rąk i nóg. Kręciło jej się w głowie i zbierało na mdłości. Usiadła na belce.

- Dokąd... uciekł? - spytała z trudem.

- Nie wiem. - Seth wyprostował się powoli. - Straciłem go z oczu... parę metrów stąd. Jak tylko dostanie się na lód... nie zdołam go wyśledzić.

I, zupełnie jak gdyby dopiero teraz zorientował się, że nie jest sam, wycelował w nią palec.

- Chyba ci mówiłem, żebyś wracała do samolotu. Mimo że jej ręce i nogi nadal były niemilosiernie rozdygotane, zmusiła się, żeby wstać.

- Postanowiłam zignorować twoje rozkazy. - Wciągnęła w płuca powietrze. Jej oddech stopniowo się uspokajał. - I dobrze zrobiłam. Gdybym za tobą nie poszła, Frankie Webb miałby na pewno twoją broń, a ty kulę w głowie.

- To bez znaczenia. - Seth złapał ją za łokcie i przyciągnął do siebie, po czym pochylił się nad nią tak, że jego twarz znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy. - Kazałem ci coś zrobić i oczekuję, że będziesz mnie słuchała, a nie ignorowała...

- A niby dlaczego? Bo sama nie potrafię podejmować decyzji?

- Myślę, że mam dużo lepsze kwalifikacje do analizy sytuacji...

- Bo jesteś dużym, wspaniałym profesorem po Harvardzie, a ja jedynie byle jakim kierownikiem reklamy?

- O co ci chodzi, do diabła?

- Nigdy nie przyjąłeś do wiadomości, że ja także coś potrafię, prawda, Seth? Nie interesuję się historią, a latanie twoimi samolotami doprowadzało mnie do wymiotów. A więc uznałeś, że nie jestem

zdolna do myślenia. Nigdy nie zdołałeś przyznać przed samym sobą ani przede mną, że moje analityczne umiejętności przewyższają twoje, nawet bez praktycznego szkolenia. Zawsze uważałeś, że ledwie potrafię podpisać czek i co najwyżej przygotować listę zakupów! - wszystko to niemal wykrzyczała.

Uniosła dłonie, jakby chciała go bić na oślep, ale kiedy jej słowa przebrzmiały, stopniowo zaczęła zauważać wyraz twarzy Setha. Był w szoku.

- Nigdy tak nie myślałem, Elizabeth - powiedział po kilku długich, pełnych napięcia chwilach.

- Doprawdy? - odparła z goryczą, nadal pełna złości i frustracji.

- Naprawdę. Uważałem cię za jedną z najbardziej twórczych i dynamicznych osób, jakie znałem. To, co potrafiłaś zrobić przy pomocy ołówka i szkicownika...

Zamrugnęła, patrząc na niego. Stopniowo uświadamiała sobie, że rzeczywiście był oszołomiony i zaskoczony jej oskarżeniami. Mimo to nie mogła się powstrzymać przed kolejną uwagą:

- Może i podziwiałeś moje artystyczne zapędy, ale nie uważałeś mnie za inteligentnego człowieka.

Pokręcił głową w zdumieniu.

- Uważałem, że jesteś bardzo błyskotliwa - stwierdził. Parsknęła, a on objął ją mocniej.

- Niech to diabli, Elizabeth. Stawałem w drzwiach twojej pracowni i godzinami cię obserwowałem.

Na to oświadczenie przed oczyma Elizabeth pojawił się obraz Setha stojącego z łokciem opartym o klamkę i obserwującego każdy jej ruch.

- Chyba chciałeś powiedzieć, że sprawdzałeś, co robię - skrzywiła się.

- Nie. Fascynował mnie sposób, w jaki pracował twój umysł... skakałaś od pomysłu do pomysłu, upiększałaś każdy, który wpadł ci do głowy. Twój umysł pracował jakby na wielu płaszczyznach, podczas gdy mój po prostu przechodził od punktu A do punktu B. - W jego głosie słychać było smutek. - Nigdy nie pomyślałem, że jesteś głupia albo że trzeba cię mieć na oku.

- No, to dlaczego odesłałeś mnie z powrotem do samolotu, żebyś mógł sam spacerować po lesie?

Poczuła, że Seth z czułością i coraz mocniej przytula ją do siebie.

- Nie zniósłbym, gdyby cokolwiek ci się stało.

- Potrafię o siebie zadbać - odparła buntowniczo. Przyglądał się jej zmrużonymi oczyma.

- Być może. - Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu. - Ale w ogóle nie potrafisz strzelać.

Policzki Elizabeth w mgnieniu oka oblał szkarłatny rumieniec.

- Nigdy dotąd nie strzelałam.

- Doprawdy? - stwierdził drwiąco. - To dlaczego od razu mi tego nie powiedziałaś?

Nie czekając na odpowiedź, ujął ją za przegub i odwrócił, tak że opierała się teraz plecami o jego pierś. Następnie uniósł jej rękę.

- Trzymaj pistolet obiema dłońmi i patrz na lufę. Naciśnij spust, ale nie szarp go. Kiedy już wystrzelisz, przygotuj się na odrzut.

Skrzywiła się, przypominając sobie, jak kiepsko wypadł drugi strzał.

- Celuj do tamtej wygiętej sosny - szepnął, nadal trzymając jej przeguby. - W pniu jest sęk. Strzel w sam środek sęka.

Elizabeth wątpiła, czy w ogóle trafi w pobliże celu, ale zrobiła, jak jej kazał - spojrzała na lufę i nacisnęła spust, jednocześnie zamykając oczy.

Skrzywiła się, słysząc hałas, po czym otworzyła oczy i ujrzała dziurę niemal w samym środku sęka.

- Zrobiłam to - oznajmiła ze zdumieniem.

- Oczywiście, że tak. Pamiętaj, żeby się nie spieszyć, wycelować, nacisnąć spust i... nie zamykać oczu.

Strzeliła jeszcze raz, i dopiero wtedy Seth uświadomił sobie i jej, że jednak powinni oszczędzać amunicję.

Tak czy owak, kiedy wracali do samolotu, atmosfera była tylko trochę mniej napięta niż parę minut wcześniej. Seth najwyraźniej nadal czuł się zirytowany samowolą Elizabeth.

Znajdowali się zaledwie kilka metrów od polany, kiedy wreszcie odezwał się:

- Nigdy nie chciałem cię zranić, Lizzie.

Elizabeth popatrzyła na niego ze zdumieniem. Myślała, że wciąż złościł się na nią za nieposłuszeństwo. Nawet nie przyszło jej do głowy, że myśli o tym, co wydarzyło się między nimi trzy lata temu.

Zakłopotana tym co usłyszała, popatrzyła w drugą stronę. Gdyby spojrzała na niego jeszcze raz, przestałaby nad sobą panować.

- Byłem okropnym mężem, muszę to przyznać. Powinienem być więcej z tobą rozmawiać. Powinienem być cię poinformować o swoich zawodowych planach, zanim wzięliśmy ślub. Nigdy nie powinienem być zakładać, że nowe wyzwania będą dla ciebie równie emocjonujące jak dla mnie. A kiedy już wypowiedziałaś swoje obawy na głos, powinienem być wykazać więcej cierpliwości i zrozumienia. - Dotknął jej policzka. - Jednak większość moich błędów była spowodowana brakiem doświadczenia, a nie złą wolą. Nigdy, przenigdy nie miałem zamiaru zrobić z ciebie wdowy. Nawet nie przyszło mi do głowy, że tak bardzo troszczysz się o moje bezpieczeństwo.

Elizabeth przygryzła wargę. Słowa, które nieopatrznie wypowiedziała wcześniej, teraz powróciły, żeby ją prześladować.

- Naprawdę myślałaś, że chciałem umrzeć? Zatrzymał się i uniósł palcem jej brodę, tak że musiała spojrzeć mu w oczy.

Łzy napływające do oczu paliły pod powiekami.

- Tak bardzo ryzykowałeś - odparła stłumionym głosem. - Wydawało mi się, że udział w tych wszystkich pokazach lotniczych musi się zakończyć tragedią.

- Wyjaśniałem ci, że każdy ruch jest bardzo starannie zaplanowany i nic mi nie grozi.

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Nigdy nie rozmawialiśmy o szczegółach dotyczących pokazów. Jak już to zauważyłeś, rzadko kiedy rozmawialiśmy. Wspólne chwile zazwyczaj spędzaliśmy w łóżku.

Seth zrobił dziwną minę - jakby był jednocześnie zdumiony i zawstydzony. Widocznie uświadomił sobie, że mówiła prawdę.

Elizabeth wepchnęła ręce w kieszenie i popatrzyła na niebo, a potem na polanę. Uznała, że chyba nie mieli już sobie nic do powiedzenia, ruszyła więc w kierunku samolotu. Po chwili Seth dogonił ją i złapał za łokieć. Kiedy na niego popatrzyła, uświadomiła sobie, że zbyt pochopnie wyciągnęła wnioski. Niestety, mieli sobie jeszcze bardzo wiele do wyjaśnienia.

Kiedy jednak Seth się odezwał, powiedział tylko:

- Muszę się dostać do latarni. Pomożesz mi? Elizabeth nagle zapragnęła chociaż na chwilę uwolnić się od jego obecności, ale duma nie pozwalała jej się do tego przyznać. Przybrała więc obojętny wyraz twarzy i powiedziała:

- Jasne. Co mam zrobić?

- W części ogonowej znajdują się drzwiczki kontrolne, ale ktoś musi mi trzymać narzędzia i odgarniać śnieg. Przede wszystkim potrzebuję kogoś, kto będzie mnie osłaniał na wypadek, gdyby Webb próbował jakichś sztuczek.

- Ale on nie jest już uzbrojony.

Elizabeth wyjęła z kieszeni broń Frankiego i wręczyła ją Sethowi.

- Co nie oznacza, że mu wierzę - powiedział Seth, wkładając pistolet do kieszeni. - Jeśli czujesz się na siłach, chętnie skorzystam z twojej pomocy. Bardziej wierzę twojej intuicji niż czyjejkolwiek.

Była naprawdę bardzo zaskoczona jego słowami: „wierzę twojej intuicji”.

- Chciałbym wykorzystać sytuację i poprawić nasze położenie - dodał.

- Mówisz tak, jak gdybyś przygotowywał się na dłuższe oblężenie.

W jego oczach pojawił się ponury wyraz.

- Bo tak jest.

Zlokalizowanie latarni kierunkowej zajęło im większość popołudnia. Przede wszystkim musieli usunąć pryzmę śniegu z okolicy ogona samolotu. Bez narzędzi praca była ciężka i męcząca. Reszta pasażerów, poza Walshem, pomagała im, ale musieli posługiwać się metalowymi fragmentami kadłuba, plastikowymi kubkami do picia i własnymi rękami, żeby dokopać się do drzwiczek urządzeń kontrolnych.

Najbardziej niecierpliwie pracował Nealy - najwyraźniej chciał jak najszybciej powrócić do szukania swojego bagażu. Elizabeth zaczynała czuć się już zmęczona tym mężczyzną. Martwił się o swoje ubrania, o swój bagaż, o swoje buty na zmianę. Nie zastanawiał się nad sytuacją innych pasażerów, o wiele gorszą od jego sytuacji. A co będzie z Willą, która miała tylko jedną parę czółenek na płaskim obcasie? Albo z Walshem, który miał jedynie cienki płaszcz? Czy choćby z Gallegherem, który chyba nie miał żadnego bagażu?

Elizabeth znieruchomiała i wbiła wzrok w Galleghera. Było coś dziwnego w tym mężczyźnie... Był nieprzyjemny, pewny siebie i pełen goryczy. Chociaż nie była w stanie go polubić, zauważyła jednak, że miał coś takiego w oczach... jakby ostrożność, bezbronność... Dojmujący ból?

Ze wszystkich pasażerów on jeden wydawał się najbardziej przejęty Frankiem, wciąż zameczał Setha pytaniami na temat skazańca. Gdyby Frankie nie był przestępcą, Elizabeth mogłaby pomyśleć, że Gallegher go zna. Mówił o nim tak, jak gdyby Frankie nie był mu obcy. Ale w jego głosie nie słychać było sympatii.

Ze wszystkich pasażerów Ricky okazał się najmiłszy.

I choć martwił się zagubieniem walizki z próbkami, nie rozpacział nad swoim nieszczęściem i przyjął rolę nieformalnego przywódcy grupy. Kiedy pracowali z werwą, opowiadał dowcipy. Choć były głupie i stare jak świat, wszyscy się uśmiechali. Nawet Gallegher od czasu do czasu lekko wykrzywił usta.

- Elizabeth, potrzebuję twojej pomocy. Seth zdołał wydobyć mały zestaw narzędzi z kokpitu i w końcu wyrwał zgniecione drzwiczki i odsłonił urządzenie pod nimi.

Elizabeth syknęła, gdy poczuła dojmujący ból w zmarzniętych nogach i przesunęła się, żeby potrzymać lusterko awaryjne, tak aby jego blask lepiej oświetlał odsłonięte urządzenia.

- Nealy doprowadza mnie do szaleństwa - mruknęła do Setha.

- Gallegher także. - Seth zerknął z ukosa na wysokiego, wychudzonego mężczyznę. - Ma obsesję na punkcie Frankiego. Można by pomyśleć, że to glina.

Glina! Taka możliwość nie przyszła jej do głowy. Ale to by tłumaczyło nadmierne zainteresowanie Galleghera naturą Webba jako urodzonego kryminalisty.

Seth wrócił do swojego zajęcia i Elizabeth zauważyła, że ciemny lok opadł mu na czoło, co nadało jego twarzy chłopięcy wyraz. Przyglądając się byłemu mężowi przy pracy, odkryła, że od niedawna patrzy na niego w inny sposób niż kiedyś.

Zmienił się przez ostatnie lata. Kiedy się nad tym zastanawiała, doszła do wniosku, że stał się spokojniejszy, bardziej rozważny... Szczęśliwy?

Nowe życie - bez żony - najwyraźniej mu służyło. A jej? Czy jej też bardziej służyło nowe życie - bez męża?

Zmarszczyła brwi, zastanawiając się, dlaczego coś takiego w ogóle przyszło jej do głowy. Jestem szczęśliwa, powiedziała sobie w duchu. Mam wspaniałą pracę, piękne mieszkanie i wysoko postawionych przyjaciół...

Kiedy tak przekonywała samą siebie, że kocha swoje życie, stwierdziła, iż nie do końca jest tak jak sobie wmawia. Przez ostatnie lata pracowała w zawrotnym tempie, aż nawał obowiązków stał się przygniatający. Co chwila musiała powtarzać sobie, że robienie kariery sprawia jej przyjemność. Czy w końcu nie pięła się po drabinie sukcesu?

Z jej ust wydostało się westchnienie.

Nie. Raczej nie.

Musiała się rozbić na samotnym górskim szczycie, żeby uświadomić sobie, jak strasznie jest zmęczona. Była zmęczona żądaniami Paula Burbanka, jego nieetycznym zachowaniem, pędzeniem na złamanie karku, nieprzekraczalnymi terminami. Biegła w kierunku samozniszczenia, nawet nie zauważając, co się z nią dzieje. Jeśli wciąż będzie kroczyła tą ścieżką, w końcu...

Co w końcu?

Stanie się taka jak Paul?

Czy zabije w sobie resztki entuzjazmu dla pracy, jakie w niej pozostały?

Poczuła dreszcz wywołany przez uczucie nagłego przerażenia. Jak mogła dojść do tego punktu i nie zdawać sobie sprawy z własnych emocji? Jak mogła pozwolić sobie na to, żeby zająć się karierą, która tak naprawdę nie sprawiała jej satysfakcji? Czy była aż tak dumna, aż tak zainteresowana tym, co myślą o niej inni, że zapomniała o własnym szczęściu?

Dlaczego nie miała odwagi; żeby zostawić to wszystko? Dlaczego nie wyznaczyła sobie granicy i nie powiedziała: „Dosyć”?

Tak jak Seth.

Ręce jej zadrżały, kiedy zdała sobie sprawę z tego, o czym myśli. Przez lata oskarżała Seta o rozpad ich małżeństwa, gdyż to on porzucił bezpieczną i spokojną pracę, żeby zająć się swoimi „samolocikami”. Uważała go za nieodpowiedzialnego i irracjonalnie myślącego.

A jednak w tej właśnie chwili zdała sobie sprawę, że zabrakło jej odwagi, aby pójść w jego ślady.

Zalała ją fala wstydu. Była przecież w stosunku do niego taka niesprawiedliwa, taka...

Samolubna.

Tak, była samolubna. Myślała jedynie o własnych pragnieniach i potrzebach. Zaryzykowała i wyszła za mężczyznę, którego ledwie знаła, ale nie chciała mu zaufać. Miała pewność, że to właśnie on podważa podstawy ich wspólnego życia. Tak bardzo skupiła się na tym, żeby jej życie było bezpieczne, iż zabrakło w nim miejsca na szczęście.

- Przepraszam, Seth.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że powiedziała to na głos, dopóki Seth nie spojrzał na nią, ze zdumieniem unosząc brwi.

- Za co?

Ponieważ już wypowiedziała te słowa, nie odważyła się zrobić uniku. Nie po tym, jak źle potraktowała go w przeszłości.

- Przepraszam, że nie zaufałam ci i nie zaakceptowałam twojej decyzji w sprawie zmiany pracy.

Uniósł brwi jeszcze wyżej.

Choć wiedziała, że jej komentarz jest trochę nie na miejscu, nie mogła się powstrzymać.

- Dopiero niedawno zdałam sobie sprawę, jaka byłam niesprawiedliwa. Powinnam była wiedzieć, że z pewnością nie podjąłbyś takiej decyzji lekkomyślnie. Powinnam była dać ci szansę na wytłumaczenie, a przynajmniej pozwolić ci spróbować.

Wpatrywał się w nią uważnie. Jego emocje były całkowicie nieczytelne, a ona bardzo pragnęła, żeby zdradził jej cokolwiek z tego, co teraz czuje.

- Co się z tobą stało, Liz?

Jeszcze kilka dni temu najeżyłaby się, myśląc, że odebrał jej słowa jako oskarżenie. Po tym jednak, co się wydarzyło, po tym, przez co oboje przeszli, wiedziała, że jest po prostu ciekawy.

- Chyba zwyczajnie dojrzałam.

- Nigdy nie byłaś niedojrzała. - Potrząsnął głową. - Jeśli miałbym się o coś martwić, to jedynie o to, że przedwcześnie dojrzałaś, doświadczona przykrymi przeżyciami w rodzinach zastępczych.

Elizabeth zamrugnęła ze zdumieniem. Z tego, co pamiętała, nigdy nie opowiadała mu zbyt wiele o swoich przeżyciach w rodzinach zastępczych. A już z pewnością nie wdawała się w szczegóły.

- Po twoim odejściu zdałam sobie sprawę, że niepewność, którą musiałaś odczuwać jako wcześnie osierocona dziewczynka, jedynie powiększyła się w czasie trwania naszego małżeństwa, napięcie

pomiędzy nami rosło, a ja udawałem, że nie wiem, dlaczego. Powinienem był dłużej się o ciebie starać. Powinienem był włożyć więcej wysiłku w nasze małżeństwo.

Usiłowała zaprzeczyć jego słowom, ale nie pozwolił sobie przerwać.

- Mogłem wykazać więcej zrozumienia i z pewnością mogłem poruszyć temat zmiany pracy z większym taktem. Czułem się taki... taki...

- Osaczony - dodała cichym szeptem.

Teraz, jak nigdy dotąd, dobrze rozumiała tego mężczyznę.

Seth westchnął i już nie mówiąc ani słowa, odwrócił się do niej plecami i znowu zajął się odsłanianiem delikatnej elektronicznej maszynerii.

- Czy działa? - zapytała po kilku minutach, nie mogąc doczekać się od niego jakiegokolwiek informacji.

Seth przecząco pokręcił głową.

Przygryzła wargę. Była rozczarowana, bo naprawdę miała nadzieję, że latarnia przez cały czas nadawała sygnały i pomoc była już w drodze.

Nie mogła jednak załamywać się z tego powodu. Jeszcze nie teraz. Musiała myśleć pozytywnie, ignorować zimno i rozczarowanie.

Trzymaj się. Trzymaj się jeszcze przez jakiś czas, powtarzała sobie w myślach.

Przez następne kilka godzin tkwiła u boku Setna, podawała mu narzędzia, biegła po różne rzeczy do samolotu, aż w końcu Seth przykręcił jedną ze śrub i...

Zamrugnęło światło.

- Działa? - zapytała szeptem Liz.

Płomienny uśmiech Setha był najpiękniejszym widokiem tego dnia.

- Działa.

- Ile czasu minie, zanim ktoś to zauważy?

- To się może stać w każdej chwili.

- A ile minie czasu, zanim pojawi się pomoc?

Na jego twarzy po raz drugi tego dnia pojawił się szczery uśmiech.

- Jeśli ta pogoda się utrzyma, może zdołamy się stąd wydostać przed zapadnięciem nocy.

Przed zapadnięciem nocy?

To zabrzmiało po prostu pięknie. Jak dom. Jak kąpiel w pianie. Jak sen w wygodnym łóżku.

Seth obserwował grę emocji na twarzy Elizabeth. Była wyraźnie zmęczona, wstrząśnięta i głodna - i inna, zupełnie inna. Przez ten krótki czas, kiedy byli małżeństwem, nie przypominał sobie, by widział ją z potarganymi włosami, w pogniecionym ubraniu i z paznokciami w nie najlepszym stanie. A jednocześnie myślał, że nigdy dotąd nie wyglądała tak dobrze, tak atrakcyjnie. Nareszcie była przystępna. Mięka. Prawdziwa.

Po zjedzeniu skromnego posiłku - paczki orzeszków i kawałka czekolady na osobę - pasażerowie zebrali się wokół niewielkiego ognia rozpalonego przez Galleghera i Ricky'ego, kilka metrów od samolotu.

- Co dalej, Seth? - spytał Walsh.

Z każdą godziną stan Walsh'a powinien się poprawiać. Niestety, mężczyzna nadal był blady, oddychał z trudem i kaszlał, co powodowało, że rzadko się odzywał, a jeśli już, to wypowiadał tylko kilka słów.

Seth spojrzał na zachodzące słońce i zmrużył oczy. Dzień kończył się bardzo szybko, a oni wciąż mieli mnóstwo pracy przed sobą.

Pasażerowie wpatrywali się w niego pytająco, czekając na polecenia, więc powiedział:

- Nie mamy czasu, żeby zebrać wystarczającą ilość paliwa na porządne ognisko, ale musimy przynieść jeszcze trochę drewna, żeby podtrzymać ogień. Potrzebne nam gałęzie, kłody, wszystko, co dacie radę znaleźć. Zbierajcie suche rośliny. Najlepsze jest suche drewno, gdyż zielone gałęzie słabo się palą i bardzo dymią. Mamy jeszcze dwie godziny do zapadnięcia ciemności, więc musicie się szybko ruszać. Chcę, żebyście pracowali w zespole. Nikt nie idzie samotnie i wszyscy obserwują pozostałych, zrozumiano? Webb nie ma już broni, co nie oznacza, że nie jest niebezpieczny.

- Jaki ma sens marnowanie energii na zbieranie drewna, skoro działa latarnia kierunkowa i ratunek może się pojawić w każdej chwili? - warknął Gallagher.

Seth zaczynał mieć dosyć ciągłych sprzeciwów tego człowieka, ale nie chciał go otwarcie krytykować.

- Inaczej zamarzniemy na śmierć, Gallagher - odpowiedział spokojnie.

Przez ponad godzinę chodzili od samolotu do kęp sosen otaczających polanę, zbierali gałęzie, po czym zrzucali je na ziemię i ruszali po następny ładunek. Praca była wyczerpująca, męcząca i monotonna. Większość drzew była stara i zniszczona, więc Elizabeth, Seth i Ricky musieli brnąć przez wysokie zaspę i wybierać młodsze i mniej schorowane drzewa, a także te, których gałęzie odpadły pod ciężarem śniegu. Zanosili swoje znaleziska na główną ścieżkę, a Willa, Walsh, Nealy i Gallagher zaciągali je w pobliże samolotu.

Elizabeth westchnęła i wyprostowała plecy. Ręce i ramiona bolały ją od sięgania ponad głowę i wieszania się na gałęziach.

W pewnym momencie Seth dał znak, żeby kończyć.

- Robi się zimno i ciemno - powiedział. - Wracajmy do naszego schronienia.

Willa, Walsh i Gallagher złapali koc pełen gałęzi i zaciągnęli go do samolotu. Kilka wyschniętych gałęzi spadło i stoczyło się po łagodnym wzgórzu.

- Pozbieram je - powiedział Nealy. - A wy już idźcie do samolotu.

Seth postanowił zaczekać na niego. Kiedy jednak Nealy zniknął mu z pola widzenia, nie poszedł za nim. Wziął Elizabeth za rękę i poprosił, żeby przez chwilę postąpiła z nim w milczeniu.

- Wyglądasz na zmęczoną - powiedział, zdejmując rękawice i głaszcząc ją po policzku.

- Jestem wykończona.

- Może dzisiaj zdołasz szybko zasnąć.

- Może - powtórzyła z powątpiewaniem w głosie.

Seth powoli ruszył przez las, trzymając ją za rękę, i jak zawsze, uważnie przyglądając się cieniom wokół siebie.

- Możemy spać na zmianę - zaproponował.

- To pewnie jedyny sposób, żebyśmy mogła się zdrzemnąć - westchnęła.

Przedzierali się właśnie przez jakieś niskie krzaki, kiedy nagle kobiecy krzyk zakłócił panującą wokół ciszę.

Ponieważ wszyscy pasażerowie zebrali się już obok części ogonowej, Seth i Elizabeth pobiegli w tamtym kierunku. Nie zdążyli

jeszcze do nich dotrzeć, kiedy Willa Hawkes oderwała się od reszty i biegła do nich, krzyząc:

- Ktoś rozbił latarnię!

Elizabeth poczuła, jak Seth sztywnieje.

- Co?! Kto?! - krzyknął.

Pasażerowie rozstąpili się, odsłaniając kompletnie zniszczoną latarnię. Elektroniczne części zaśmiecały ziemię dookoła ogona, a olbrzymi kamień leżał zaledwie kilka centymetrów dalej.

- Jak to się stało? - spytał Seth pełnym napięcia głosem, omiatając wzrokiem zebranych.

Gallegher dumnie uniósł brodę, jak gdyby Seth osobiście go obraził.

- Żadne z nas nie ma z tym nic wspólnego. Wszyscy zbieraliśmy gałęzie, jak pan kazał.

- To musiał być Frankie - powiedziała Elizabeth, ściskając rękę Seta. - Pewnie wrócił tu po śladach i zniszczył latarnię, kiedy nikt nie patrzył.

Seth zaklął i odszedł kilka metrów dalej, ponuro przyglądając się kawałkom rozbitej latarni leżącym w śniegu.

- Powinienem był postawić tu straż. Ktoś powinien był pilnować latarni.

Nikt nie powiedział na głos, że przecież wszyscy byli potrzebni do zbierania drewna. Nikt go nie pocieszył. Seth spojrzał na fioletowe niebo i znowu zaklął.

- Ale przecież nas znajdują, prawda? - spytała Willa drżącym głosem. - Proszę, powiedz, że nas znajdują - dodała jak mała dziewczynka, co sprawiło, że Elizabeth wzięła ją w ramiona, jak gdyby Willa była dzieckiem, które potrzebuje pociechy.

- Ciii. Oczywiście, że nas znajdują - szepnęła. - Tylko że to pewnie potrwa trochę dłużej.

Kiedy jednak Seth odwrócił się i spojrzał jej w oczy, Elizabeth wiedziała, że ich położenie jest o wiele groźniejsze, niż ktokolwiek z nich mógłby to sobie wyobrazić. Nie tylko musieli walczyć ze złą pogodą, ale także z psychopatycznym mordercą, który najwyraźniej chciał ich wszystkich pozabijać.

Nagle chrapliwy ryk rozniósł się po polanie, gdzieś od strony gór.

- Cholera, a to co znowu? - jęknął Seth.

Elizabeth przyjrzała się twarzom zgromadzonych wokół osób.

- Nealy - wyszeptała. - Gdzie jest Michael Nealy?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Seth pobiegł w kierunku skał. Wydawało się, że to stamtąd dobiegł ich ten straszny krzyk.

Elizabeth pośpieszyła za nim. Jej stopy ślizgały się na śniegu, a po kilkuset metrach poczuła, że traci oddech. Kiedy zaczęła się obawiać, że jej płuca lada chwila eksplodują, Seth zatrzymał się nagle.

Tuż przed nim rozpościerały się skały, ze wszystkich stron otaczając głęboką przepaść. Deszcz, który spadł i zamarzał przez noc, a także warstwa śniegu sprawiały, że było tu ślisko i niebezpiecznie. Gdyby Seth nie odwrócił się i nie objął Elizabeth w pasie, zapewne nie zdołałaby złapać równowagi.

- Nie patrz.

Odsunął ją od skraju przepaści, ale już wcześniej zdążyła zerknąć na to, co leżało niżej. Nawet z tej odległości rozpoznała spłowiały płaszcz i stare sportowe buty.

Płaszcz... Michael tak się martwił, że nie może znaleźć swojego płaszcza. Widocznie odkrył go podczas szukania zgubionych gałęzi. Musiał być zachwycony... Niestety, jego zachwyty okazał się śmiertelnie niebezpieczny...

Tam leżał Michael Nealy.

- Czy on... nie żyje?

- Trzymaj się z dala od krawędzi.

Seth odprowadził ją kilka kroków dalej - i ten jeden jedyny raz cieszyła się, że coś jej nakazał. I że otoczył ją opieką. Zawsze miała lęk wysokości. To, co widziała, sprawiło, że poczuła zawrót głowy. W tym jednym ułamku sekundy, kiedy popatrzyła na ciało Nealy'ego, uświadomiła sobie, że ten mężczyzna nie żyje.

Seth usiłował zejść do przepaści, ale kiedy okazało się, że świeży śnieg przykrywa warstwę lodu, zrezygnował i przykucnął na skraju, aby dokładniej przyjrzeć się nieruchomo leżącemu mężczyźnie. Z tej odległości widział, że Nealy ma rozległe obrażenia czaszki. Krew całkiem zalała jego twarz, trudno nawet było rozpoznać jego rysy.

- Zginął - powiedział z powagą. - Nawet gdybym mógł do niego zejść, nic bym mu już nie pomógł. Nie da mu się już pomóc.

Seth wstał, podszedł do Elizabeth i objął ją w pasie. Przytuliła się do niego i oparła głowę o jego pierś.

- Ilu jeszcze? - szepnęła. W gardle ścisnął ją żal. - Ilu jeszcze z nas odda życie tej przeklętej górze?

Kiedy Seth nie odpowiedział jej od razu, uniosła głowę, by spojrzeć na niego. Zobaczyła, że miał dziwny, zamyślony wyraz twarzy.

- O czym teraz myślisz? - wyszeptała, wyczuwając, że Seth wie coś, czego nie chce jej powiedzieć.

Spoglądał w stronę skały, na śnieg. Łatwo było zauważyć ślady Nealy'ego. Nosił bieżnikowane adidas.

Obok tych śladów widniały też ślady większych i tańszych trampek.

Natychmiast zaczęła rozglądać się wokół siebie.

- Frankie to zrobił?

Gdy Seth nie odpowiedział, Liz zadrżała. Strzępy różnych informacji, o których tak bardzo chciała zapomnieć, teraz powróciły i jasno układały się jej w głowie.

Nealy spadł i zginął.

Stan dostał drgawek.

A Caldwell...

Seth był taki milczący, z takim trudem udawał opanowanie, kiedy owijał ciało Caldwell w koc. Słowa, które wykrzyknął do Frankiego, powróciły teraz do niej, by mogła sobie uświadomić, co naprawdę się stało. Seth przecież powiedział, że Caldwell został zamordowany...

- Co się stało z tym pierwszym agentem FBI? - zapytała cicho.

Seth drgnął, a ona już wiedziała, że jej podejrzenia były słuszne.

Seth potrząsnął głową, po czym westchnął.

- Został zastrzelony - przyznał.

Elizabeth poczuła skurcz w żołądku i pomyślała, że lada chwila zwymiotuje. Przez cały czas pozwalała sobie na wiarę, że to góra i siły natury są ich największymi przeciwnikami. Frankie Webb był jednak o wiele groźniejszy. Był mordercą, gotowym zrobić wszystko, żeby żadne z nich nie przeżyło.

- A co z Kowalskim?

- Nie wiem, co stało się Kowalskiemu. Być może zmarł z powodu krwotoku wewnętrznego, ale przysięgłbym, że nie był ciężko ranny, kiedy opatrywałem go dzień wcześniej. Był zbyt przytomny, jak na takie obrażenia. Ale nie jestem lekarzem, nie potrafię udowodnić, że jego śmierć nie była naturalna, że została przyspieszona przez kogoś...

- Co teraz zrobimy? Jak możemy go powstrzymać?

- Możemy tylko liczyć na ekipę ratunkową. Poza tym przez cały czas będziemy trzymać się razem i mieć się na baczności. Po zabójstwie Nealy'ego pewnie Webb się ukryje, ale tego nie możemy być pewni.

Tak jak nie możemy być pewni pojawienia się ekipy ratunkowej, chciała dodać Elizabeth. Jednak nie odważyła się wypowiedzieć tych słów na głos.

Spędziła większość wieczoru z Willą Hawkes i Peterem Walshem, usiłując podtrzymać ich na duchu. Willa zaczynała poddawać się, nie panowała już nad swoimi dziecinnymi zachowaniami. Elizabeth zaczęła zastanawiać się, czy kobieta nie doznała jakichś poważnych urazów głowy podczas katastrofy.

- Elizabeth, musimy znaleźć moje książki - szeptała, szarpiąc ją za rękaw.

Elizabeth odłożyła mokrą szmatkę, której używała do wycierania potu z czoła Petera. Po raz setny poklepała Willę po ręce, uspokoiła ją i zaprowadziła z powrotem na fotel.

- Są tutaj, Willo - powiedziała, wyjmując starannie opakowane manuskrypty z torby Willi.

To Ernst Gallegher przez większą część popołudnia przeszukiwał wrak, aż wreszcie znalazł książki Willi. Robiąc to, udowodnił, że nie jest takim egoistą, jak się na pierwszy rzut oka wydawało. Chyba jednak miał w sobie sporo współczucia dla innych, tylko że było ono głęboko ukryte pod warstwą jego obcesowości.

Willa wzięła książki i z miłością pogłaskała plastikowe torby, w które owinął je Ricky, by nie zamokły w śniegu. Uniosła brew i łagodnie pokręciła głową. Jej spojrzenie znowu było trzeźwe.

- Jestem taka kłopotliwa - wyszeptała, a jej broda zaczęła drżeć. - Nie wiem, co się ze mną dzieje... Jakoś nie mogę myśleć.

- Nie przejmuj się. - Elizabeth uścisnęła jej rękę. - To przez ten wypadek. Pewnie odniosłaś poważniejsze obrażenia, niż sądziliśmy. Jak tylko nas uratują, pojedziesz do szpitala i tam cię zbadają.

- Po prostu jest mi zimno... I czuję się taka zmęczona.

- Staraj się odpocząć i nie myśleć o niczym - szepnęła Elizabeth.

- Moje książki...

- Zajmę się nimi.

Kiedy się wyprostowywała, Willa złapała ją za nadgarstek.

- Dziękuję ci, Elizabeth.

Kilka chwil później Willa już spała. Elizabeth wysunęła rękę z jej uścisku i zajęła się Peterem.

- Jest bardzo blada - wyszeptał.

- Wiem. Powinien obejrzeć ją lekarz, ale skąd go teraz wziąć?

Peter zakaszał. Kiedy walczył o oddech, Elizabeth pomyślała, że Willa nie jest jedyną osobą, która potrzebuje lekarza.

- Niezbyt dobrze wyglądam, co? Przybrała pogodny wyraz twarzy.

- Wyglądasz zupełnie nieźle - powiedziała.

- Kłamczucha. Czuję się okropnie i jestem pewien, że równie okropnie wyglądam.

Szukając jakiegoś tematu, który mógłby go oderwać od obaw o własne zdrowie, Elizabeth zapytała:

- Skontaktowałeś się ze swoją żoną? Peter zmarszczył brwi.

- Kiedy poznaliśmy się na terminalu, usiłowałeś dodzwonić się do żony. Mówiłeś, że trafiałeś tylko na pocztę głosową.

- Masz dobrą pamięć.

- Na tym polega moja praca.

- A czym się zajmujesz? -

- Reklamą.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się do niej szczerze. - Zrobiłaś coś, o czym powinienem wiedzieć?

- Nie wiem, czy to widziałaś. Prowadziłam w telewizji kampanię ubranek marki „Miau Miau, Kotku” i džinsów „Deco” - przyznała.

Walsh uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Mam w domu nastolatków, którzy szaleją na punkcie tych markowych ubrań. Za dobrze je reklamowałaś. Nie nadążam z zarabianiem pieniędzy, żeby pokryć wszystkie wydatki. .. - Urwał nagle i dopiero po chwili ledwie słyszalnym szeptem dodał: - Ja tego nie zrobiłem.

Elizabeth zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czy nie dosłyszała czegoś, o czym wcześniej mówił.

- Czego nie zrobiłeś, Peter? - zapytała.

Westchnął i skrzywił się, bo znowu poczuł ostry ból w klatce piersiowej.

- W moim banku zginęło trochę pieniędzy. W poniedziałek ma się pojawić rewident. Wiem na tyle dużo, żeby domyślać się, że wskażą palcem właśnie na mnie. Mam nastoletnie dzieci, rachunki do

zapłacenia, moja żona uwielbia zakupy. Ciągłe brak mi pieniędzy. Ale ja tego nie zrobiłem.

Złapał Elizabeth za rękę i boleśnie ścisnął jej palce.

- Jeśli coś mi się stanie...

- Nic się nie...

- Proszę, pozwól mi skończyć. Jeśli coś mi się stanie, musisz im powiedzieć, że nie wziąłem tych pieniędzy. Wiem jednak, kto to zrobił. Kilka miesięcy temu zwolniłem jednego z pracowników, zajmującego się udzielaniem kredytów. To był mój dawny kumpel z liceum. Miał kłopoty, szukał pracy, więc zatrudniłem go. Od samego początku kiepsko mu szło, a ja niestety zbyt długo czekałem ze zwolnieniem go... Nie miałem sumienia... Pewnego dnia przyszedł do mnie, wręczył mi wypowiedzenie i powiedział, że zamierza zająć się zarządzaniem. Dopiero po jego odejściu zacząłem wykrywać nieprawidłowości...

Przerwał na chwilę i zaniósł się bolesnym kaszlem.

- Miałem nadzieję, że porozmawiam z rewidentem, a potem z tym moim kolegą. Byłoby lepiej, gdyby się przyznał. Jeśli jednak nie zdołam wrócić, zrzucą winę na nieboszczyka i przejdą nad tym do porządku dziennego. - Jego uścisk stał się bolesny. - Nie mogę tego zrobić mojej żonie i moim dzieciom. Koniecznie im powtórz, że ich kochałem. - Jego oczy wypełniły się łzami. - Właśnie to chciałem powiedzieć żonie. Stałem tam, na zatłoczonym terminalu i słuchałem, jak moja sekretarka gada o spotkaniach. - Prychnął z niesmakiem i powtórzył: - Spotkaniach! Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że przez ostatnie lata zbyt wiele czasu spędzałem w pracy. Nie przychodziłem na szkolne mecze syna i na szkolne pokazy taneczne córki. Już od bardzo dawna nie powiedziałem im, że ich kocham i jestem z nich bardzo dumny. Chcę, żeby to wiedzieli.

Zbyttno się ożywił, oczy gorączkowo mu błyszczały, z trudem oddychał, więc Elizabeth uspokajająco poklepała go po ramieniu i wyszeptała:

- Oni to wiedzą, Peter. Uspokój się.

On jednak był nadal bardzo podniecony i usiłował wstać z posłania.

- Chciałem zadzwonić już po katastrofie, ale ten cholerny telefon nie działa! - Grymas złości wykrzywił mu twarz. - Po co komu te

przeklęte urządzenia, skoro nie działają właśnie wtedy, kiedy są najbardziej potrzebne!

Zaniepokojona nasilającą się histerią Walsh, usiadła na podłodze obok niego i wzięła go w ramiona, pozwalając, żeby oparł głowę na jej ramieniu i szlochał jak dziecko.

Wciąż tak siedziała i klepała Petera po plecach, kiedy wrócił Seth. Popatrzyła na byłego męża, a w głowie usłyszała słowa Petera:

„Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że przez ostatnie lata zbyt wiele czasu spędzałem w pracy. Już od bardzo dawna nie powiedziałem im, że ich kocham i jestem z nich bardzo dumny. Chcę, żeby to wiedzieli”.

Poczuła uścisk w gardle i łzy pod powiekami. Sama odrzuciła swoją szansę na miłość. Podobnie jak Peter wypełniła swoje życie pracą, nie było w nim czasu na miłość. Ale sama praca nie wystarczała. Nigdy nie wystarczała.

Elizabeth leżała w ciemnościach, z szeroko otwartymi oczyma. Sen jak na złość nie przychodził. Wpatrywała się nic nie widzącym wzrokiem w cienie i cały czas gorączkowo myślała o zniszczonej latarni kierunkowej.

Dlaczego? Dlaczego Frankie Webb zniszczył latarnię? To nie miało sensu. Musiał rozumieć, że nie zdołają zbyt długo przetrwać na tej górze. Gdyby tylko to przemyślał...

Przygryzła wargę. Czy właśnie o to mu chodziło? Czy się załamał? Czy uznał, że woli raczej umrzeć, niż dać się złapać, i zamierzał zgotować im taki sam los?

Miarowe chrapanie Ernsta Galleghera stawało się coraz głośniejsze.

Nie mogę oddychać, pomyślała. Znowu ta klaustrofobia. Muszę się stąd wydostać.

W poszukiwaniu choćby odrobiny wolnej przestrzeni, Elizabeth ostrożnie odsunęła się od Seta. Wzięła jeden z cienkich koców, a następnie podczołgała się w kierunku dziury i wysliznęła na zewnątrz. Trzymając rękę na kadłubie, podeszła do kilku foteli, które Ricky ustawił obok samolotu, usiadła w jednym z nich i przykryła się kocem.

Zbierało się jej na płacz. Poczucie beznadziejności wprost ją przytłaczało, uniemożliwiało oddychanie. Jej myśli skakały jak szalone, usiłując znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Co mogli zrobić?

- Elizabeth?

Podskoczyła, a z jej ust wydobył się cichy okrzyk, kiedy czyjaś dłoń dotknęła jej ramienia.

- O co chodzi? - spytał zatroskany Seth.

- O co chodzi? - powtórzyła z niedowierzaniem. Jedną ręką wskazała wrak i ciemności. - O to chodzi.

Seth uniósł dłonie w uspokajającym geście.

- Odręź się i...

- Odręź się! - Skoczyła na równe nogi, a jej gorzki śmiech rozniósł się echem po górach. - Może ty potrafisz usiąść i spokojnie czekać na to, co ma się wydarzyć, ale ja nie. Podskakuję za każdym razem, kiedy słyszę jakiś hałas, bo mam nadzieję, że to samolot. Odręź się? Jak mam się odrężyć, kiedy jestem Bóg wie gdzie, razem z mordercą, i nie mam nadziei na to, że szybko nas odnajdą? - W jej głosie pojawiła się histeria i Elizabeth położyła dłoń na ustach, żeby nie zacząć szlochać.

- Elizabeth, przestań! - Seth złapał ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

Zrobiła gwałtowny ruch, próbując się uwolnić. Starła się zignorować rozkosz rozlewającą się po jej ciele, zmieszaną z przerażeniem. To była potężna dawka zmysłowych doznań i emocji.

Seth ujął jej twarz w swoje ręce i zmusił ją, aby na niego spojrzała.

- Przybędą po nas. Ale musimy być cierpliwi. To potrwa najmniej czterdzieści osiem godzin... - Zawahał się, zanim dodał: - Ale chyba nie dłużej jak tydzień.

- Cały tydzień? - wyszeptwała z niedowierzaniem. Siedem dni, a może nawet dłużej. Jak miała przetrwać choćby jeszcze jedną godzinę?

- Mówię ci prawdę, bo wiem, że jesteś wystarczająco silna, żeby ją przyjąć.

Sens wypowiedzianych przez Seta słów zmusił ją do uważnego słuchania go.

- Musisz mi pomóc uspokoić pozostałych pasażerów, poprosić ich, aby nastawili się na czekanie. Możesz to dla mnie zrobić?

- Nie, ja...

- Zrobisz to dla mnie? - zażądał.

Przygryzła wargę, żałując, że w tak poważnej sytuacji nie może wykrzyczeć, ile sił w płucach, swych obaw, czy zdoła spełnić jego prośbę.

Seth potrzebował jej pomocy.

Potrzebował jej.

Nagle agresja gdzieś się ulotniła. Elizabeth poczuła się niezwykle zmęczona. Skinęła głową.

- Grzeczna dziewczynka. - Seth objął ją i lekko przytulił. - Chciałbym, żebyś szczególnie zwracała uwagę na Willę. Musiała przeżyć bardzo silny wstrząs psychiczny, jest coraz bledsza i słabsza. Często traci orientację i tylko ty wiesz, jak z nią rozmawiać.

- Dobrze.

- Aha, Elizabeth... Naprawdę muszę cię pocałować. Natychmiast zalała ją fala słodyczy. To było cudowniejsze niż cokolwiek od czasu, kiedy po raz ostatni...

Kiedy po raz ostatni była w jego ramionach.

Uniosła się na czubkach palców. Teraz dopiero uświadomiła sobie, jak bardzo tęskniła za tym mężczyzną. Jak bardzo jej brakowało jego siły, jego podziwu, jego miłości.

Ręce Setna zacisnęły się na plecach Elizabeth, przyciągając ją bliżej.

- Tęskniłam za tobą - wymruczała.

- Nigdzie nie idę. Jestem tu i zostanę z tobą.

- Tak się cieszę.

A potem nie mogli już szeptać. Wzajemne pożądanie stawało się coraz silniejsze, Elizabeth coraz mocniej napierała na niego, mocniej i mocniej.

Seth odsunął się pierwszy.

- Nie możemy...

- Dlaczego?

- Bo tu nie ma gdzie się skryć.

Wiedziała, że Seth miał rację. Nawet część dziobowa – która mogła posłużyć im za schronienie - nie wydawała się już bezpieczna od momentu, kiedy trafił tam Frankie Webb. Przecież znał drogę i mógł tam wrócić w każdej chwili.

Seth znowu otoczył Elizabeth ramionami i przyciągnął ją do siebie. Ciężkie, szybkie bicie jego serca sprawiło, że się uśmiechnęła. To przez nią przyspieszył mu puls.

- Dlaczego się uśmiechasz? - spytał ochryplym głosem, zdezorientowany.

- Skąd wiesz, że się uśmiecham?

- Wiem.

Nie odpowiedziała na jego pytanie.

- Lepiej się już czujesz? - zapytał Seth po chwili milczenia.

- Uhm. - Nadal było jej zimno, nadal czuła się przerażona i zmartwiona. Seth jednak pomógł jej zdjąć część ciężaru z barków i było jej lżej, teraz mogła iść dalej.

- Dziękuję - wyszeptała.

- Za co?

- Za wszystko. - Szybko pocałowała go w policzek.

Ciemność skryła ich namiętne pocałunki, znów mieli tylko dla siebie tych kilka cennych chwil. Jednak w pewnym momencie Seth, choć niechętnie, oderwał się od Elizabeth.

- Lepiej wracajmy - powiedział.

Skinęła głową, pozwoliła mu zaprowadzić się do środka i ułożyła się obok niego na podłodze. Tym razem jednak oparła głowę na piersi Setna i objęła go w pasie, wiedząc, że będzie mogła zasnąć.

- Obudź się, Lizzie.

Elizabeth drgnęła. Wciąż była jedynie na wpół świadoma, gdzie się znajduje, ale znienawidzone zdrobnienie jej imienia szybko wyrwało ją ze snu.

- Odejdź - mruknęła.

Czego mógł od niej chcieć? Wszyscy byli skazani na siebie i musieli czekać na ratunek. Jeśli wolą spędzić ten czas na spaniu, to chyba była to wyłącznie jej sprawa?

Czuła ciepły oddech przy swoim uchu, a potem usłyszała cichy głos Seta:

- Elizabeth, wstawaj i chodź ze mną albo będziesz musiała spędzić tu resztę dnia. Godzinami będziesz wysłuchiwała opowiadań Ricky'ego i narzekań Ernsta Galleghera, tak jak przez ostatnie dwa dni.

Natychmiast otworzyła oczy. Kiedy brała pod uwagę przespanie całego dnia, nie pomyślała o tym, że przecież nie będzie tu mogła zostać ani przez moment sama.

Próbowała usiąść, ale dudnienie w głowie sprawiło, że jęknęła i z powrotem upadła na prowizoryczne posłanie.

- Jesteś naprawdę okrutnym człowiekiem, Seth. Zmrużyła oczy przed jaskrawym światłem i uniósłszy głowę, przyjrzała się Sethowi.

- Jak możesz być taki cholernie żwawy?

- Wcale nie jestem żwawy. - Pochylił się nad nią jeszcze niżej i szepnął: - Po prostu marzę o ucieczce.

Wyprostował się i uśmiechnął do mej. Teraz nie miała już żadnych wątpliwości, że natychmiast wstanie i pójdzie za nim.

Gdy odszedł, Elizabeth przejechała ręką po włosach. Skrzywiła się, bo po przespanej nocy były jeszcze bardziej mierzwiłe niż wczoraj. Złapała za torbę, znalazła w niej szczotkę i przejechała nią po lokach, po czym wciągnęła buty. Wzięła do ręki dwa batoniki i wygramoliła się na zewnątrz.

Seth już na nią czekał. Stał oparty o skrzydło samolotu.

Elizabeth zeskoczyła na ziemię i syknęła, kiedy poczuła, jak każdy mięsień jej ciała protestuje przeciwko temu gwałtownemu ruchowi.

Seth zachichotał ze współczuciem.

- Będzie lepiej - zapewnił ją. - Musisz po prostu się rozprostować i zacząć chodzić.

- Obyś miał rację - mruknęła i rzuciła mu jeden z batoników, a dla siebie odwinęła drugi.

Zazwyczaj ta spora dawka cukru rano sprawiała, że robiło się jej niedobrze, ale zmusiła się, żeby przełknąć baton, ignorując ucisk w żołądku.

- Jak tam głowa? - spytała.

Dotknął palcem bandaża, który mu wcześniej założyła.

- Nieźle. A twój guz?

- Chyba lepiej. - Usiłowała powoli przeżuwać batonik, żeby rozpuścił się na języku, zanim go połknie. Po doświadczeniach poprzednich dni z racjonowaniem żywności, wiedziała, że aż do późnego popołudnia będzie to jej jedyny posiłek. Poczowała jednak ból żołądka, protestującego przeciwko takiemu śniadaniu.

Słońce pięknie oświetlało pokrytą śniegiem dolinę. Chmury, które wisiały na niebie od chwili katastrofy, gdzieś zniknęły.

- Chodź - powiedział Seth i wyciągnął rękę.

- Dokąd idziemy?

- Zebrać trochę drewna na ognisko.

Westchnęła. Powinna była się domyślić, że Seth ma swoje powody, skoro prosi ją o towarzystwo.

- A co z Webbem?

- Oboje jesteśmy uzbrojeni. - Seth zmrużył oczy. - Prawda?

Wyciągnęła derringera z kieszeni kurtki.

- Miej oczy szeroko otwarte - ostrzegł ją Seth.

- A co mam zrobić, jeśli go zobaczę?

- Strzelać.

Wciągnęła ze świstem powietrze, zachłysnęła się i rozkaszała.

- Jeśli będziesz musiała strzelać, mierz w nogi. Nie mamy innego wyboru, Liz.

To prawda. Nie mieli.

Seth zatrzymał się przy pierwszym rzędzie iglastych drzew. Wysokie sosny utworzyły tu gęstą ścianę zieleni. Elizabeth była poruszona spokojem otoczenia.

- Nie sądziłam, że na ziemi istnieją jeszcze takie miejsca - mruknęła, ponownie obrzucając spojrzeniem nieskalany śnieg, skały i sosny przed sobą. To wydawało się zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe.

- Ciekawe, czy był tu ktoś przed nami - zamyśliła się. Seth wzruszył ramionami.

- Równie dobrze możemy stać na pokrytych śniegiem puszkach po piwie - zauważył trzeźwo.

- Ale romantyk!

- Tylko realista!

- A ja myślałam, że w naszym starym związku to ty byłeś marzycielem.

Po tych słowach zapadła dłuższa cisza, którą przerwał Seth cichym pytaniem:

- Czyżbyśmy znowu zaczęli od początku? - Wpatrywał się w nią przenikliwie. - Związek od nowa? Nowy związek?

Włożyła ręce do kieszeni i nagle wzdrygnęła się, bo natrafiła na zimny kształt derringera.

- Nie wiem - przyznała w końcu.

- To chyba musi mi wystarczyć. Przynajmniej o tym myślisz - powiedział ze smutnym uśmiechem.

I znowu zaczął iść, zostawiając ją z ponurymi myślami i dudniącym sercem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Nie tak, panno Boothe!

Elizabeth spojrzała na Galleghera znad kłujących sosnowych gałęzi, które trzymała w ramionach. W ciągu ostatniej godziny Gallegher sam się obwołał nadzorcą ich wyprawy, a ona miała już dosyć jego poleceń.

- Co ty tam wiesz - mruknęła pod nosem.

Od kilku godzin wszyscy razem z Sethem zbierali w lesie konary sosen. Przy padającym śniegu i braku narzędzi praca szła powoli. Elizabeth było gorąco ze zmęczenia, choć jej ręce i nogi stawały się coraz bardziej lodowate.

Na początku tylko ona i Seth zbierali drzewo. Jakiś czas później dołączył do nich Gallegher. Zostawił w samolocie Ricky'ego, który miał opiekować się Willą Hawkes i Peterem Walshem.

Oboje nadal mieli kaszel i niewysoką gorączkę. Elizabeth westchnęła z rozdrażnieniem. Jakby nie mieli wystarczająco wiele problemów, teraz jeszcze dopadło ich przeziębienie. Ją także bolała głowa i miała zeszywniałe stawy. Bez wątplenia i ona się rozchoruje.

Czy nie wystarczyło, że skręcało ją z głodu i że Gallegher działał jej na nerwy? Większość ranka spędziła na odpędzaniu od siebie myśli, że jest obserwowana przez czającego się w krzakach seryjnego mordercę. Przeziębienie było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała.

Nie potrzebowała również krytykującego jej pracę Ernsta Galleghera, który właśnie do niej podchodził.

- Wiem, że nie rozpala się ogniska sygnałowego, zrzucając drewno na kupę - powiedział.

Jego przemądrzały głos odbił się echem od ostrych krawędzi skał. Słońce częściowo skryło się za pierzaste chmury, które pojawiły się nad górą i rzucały stalowobłękitny cień na śnieg. Choć było tu chłodniej, cień dawał schronienie przed jaskrawym, oślepiającym słońcem odbijającym się od śniegu.

- Musi być pani ostrożniejsza - powiedział.

- Czyżby?

- I owszem.

- No, to niech pan to sam zrobi - odparła ze słodkim uśmiechem i zrzuciła mu gałęzie pod nogi.

Gallegher zacisnął usta.

- Bardzo dojrzałe zachowanie.

- No i dobrze.

Spojrzała na Setna i zauważyła, że się pochylił, aby ukryć uśmiech.

Nagle zobaczyła biegnącego w ich stronę Ricky'ego.

- Hej! - wołał. - Hej! Nie widzieliście tu pani Hawkes? Zniknęła!

Elizabeth poczuła, że krew przestaje krążyć w jej żyłach. I nie miało to nic wspólnego z mrozem.

- Jak to... zniknęła? - zapytał Seth tonem, który nie wróżył nic dobrego.

- Willa znowu sobie poszła. Zniknęła. Myślałem, że może jest z wami.

Seth zaklął i rozejrzał się wokół siebie.

- Kiedy poszła?

- Nie wiem. Podawałem Walshowi coś do picia. Spuściłem ją z oczu tylko na minutę. Kiedy odwróciłem się, już jej nie było.

Klnąc, Seth nagle zaczął biec w stronę wysokich drzew. Elizabeth nie chciała ani na moment spuszczać go z oczu, więc pobiegła za nim. Wkrótce zorientowała się, co przyciągnęło jego uwagę. Kilka metrów dalej jakaś kolorowa szmatka zwisała z gałęzi sosny. Kiedy się zatrzymali, Seth zerwał szalik Willi z konara.

- Gdzie ona mogła się podziać? - spytała Elizabeth, podczas gdy Seth uważnie penetrował wzrokiem dolinę rozciągającą się przed nimi.

- Zostań tutaj - powiedział i zaczął szybko przedzierać się przez świeże zasy śniegu.

Elizabeth czekała w milczeniu, stojąc ze skrzyżowanymi ramionami. Po kilku minutach pobiegła za nim. Ledwie obejrzał się przez ramię, kiedy się pojawiła.

- Kazałem ci zostać z innymi.

- Nie mogę tak stać. Muszę coś zrobić.

Chyba zrozumiał, co czuje, bo już nie zmuszał jej, żeby zawróciła.

Wkrótce zorientowała się, co go zainteresowało.

Zwolniła i nagle pożałowała, że pobiegła za nim.

Spodziewała się, że znajdą Willę żywą. Zagubioną, chorą, ale żywą.

Niestety, leżąca na śniegu kobieta była nieruchoma, blada i bez życia.

Elizabeth powoli podeszła do Seta i patrzyła, jak uklęknął nad kobietą i dotknął jej szyi palcami.

- Czy ona...

- Nie żyje - wyszeptał ochrypłym głosem.

I choć Elizabeth ledwie знаła te kobietę, z trudem stłumiła w sobie chęć wybuchnięcia płaczem.

Cholera, cholera, cholera. Ilu jeszcze zginie, zanim nadejdzie pomoc?

Czuła, jak dławi ją poczucie winy.

- Powinnam była bardziej na nią uważać. Powinnam była wziąć ją ze sobą, żeby zbierała drewno. Powinnam była ją do siebie przywiązać. Mogłam...

Słowa uwięzły jej w gardle, gdy Seth odsunął się na bok i po raz pierwszy zobaczyła leżącą Willę. Poza spustoszeniami uczynionymi przez śmierć i mróz, widziała też ciemne sińce na szyi kobiety. Sińce, które wyglądały na ślady po placach...

- Seth, on ją...

Gestem ręki nakazał jej milczenie. Ruchem głowy wskazał, że nie są już sami. Ricky i Gallegher poszli za nimi i stali teraz na krawędzi góry, tuż przy kępie drzew.

- Wracajcie do samolotu! - zawołał do nich Seth. - Nic już nie możemy dla niej zrobić.

- Czy ona... nie żyje? - Broda Ricky'ego zatrzęsała się niebezpiecznie.

- Zamarzła - skinął głową Seth.

Elizabeth chciała coś powiedzieć, ale Seth ostrzegawczo ścisnął jej rękę.

- A teraz szybko wracajcie do ognia, zanim sami zamarzniecie.

Elizabeth poczekała, aż Ricky i Gallegher znikną i dopiero wówczas zapytała:

- Dlaczego im nie powiedziałeś?

Seth zmrużył oczy, jak gdyby chciał przewiercić wzrokiem otaczające ich ciernie.

- Nie chcę wywoływać paniki.

- Paniki? Przecież oni wiedzą, że seryjny morderca grasuje na wolności.

- Tak. Ale nie sędę, żeby doszli do tych samych wniosków co my. Nadal uważają, że te kolejne śmierci mają swoje logiczne wytłumaczenie.

Popatrzył na nią spokojnym, poważnym wzrokiem. W tej samej chwili Elizabeth zrozumiała, że właśnie zamierzał potwierdzić głośno jej najgorsze obawy.

- Wiemy, że Brent Caldwell został zastrzelony. To wyglądało na wyrok. Oni jednak są przekonani, że zmarł z powodu obrażeń doznanych podczas lądowania. Nealy zginął w lesie...

- Wszyscy myślą, że się pośliznął i spadł w przepaść - przerwała Elizabeth.

- Tak, ale oboje wiemy, że ktoś mu pomógł spaść. Zadrzała.

- Stan Kowalski...

- Stan? - zapytała zaskoczona. - Przecież zmarł z powodu wewnętrznych obrażeń.

- Może tak, a może nie. Dlaczego jednak wcześniej nie było żadnych oznak, że ma wewnętrzny wylew? Dlaczego zmarł w dwadzieścia cztery godziny później z powodu czegoś, co raczej przypominało otrucie?

- Otrucie? - powtórzyła cicho. - Myślisz, że Webb ma także na sumieniu śmierć Stana?

- Słyszałaś ich rozmowę na lotnisku. Frankie Webb przysiągł, że wyrówna rachunki z oboma agentami. Z mojego punktu widzenia wygląda na to, że raczej dotrzymał słowa.

Seth spojrzał na nieruchomą postać leżącą w śniegu i w jego oczach pojawił się ogromny smutek.

- A teraz Willa. Była taką miłą, kruchą kobietą i zginęła bez powodu.

- Jak on to robi? Przecież nie ma schronienia, nie ma co jeść...

- Może w ten sposób, zabijając, usiłuje przepędzić nas z samolotu, żeby mógł go mieć wyłącznie dla siebie. Liczy na to, że się wystraszymy i uciekniemy jak najdalej stąd, a on wówczas zawładnie samolotem... Tylko na jak długo? - Seth przejechał palcami po włosach. - Nie wiem. Usiłowałem przeanalizować tę sytuację pod różnymi kątami i uważam, że to wszystko nie ma sensu, ale przecież ja zupełnie nie znam się na psychice seryjnych morderców.

- Seth, posłuchaj. Myślę, że Webb wymknął się nam spod kontroli - wyszeptała Elizabeth. Objęła się rękoma w pasie. - Musimy o wszystkim powiedzieć innym. Muszą mieć się na baczności.

Seth wziął głęboki oddech, po czym powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Dobrze. Ufam twojej intuicji. Ale poczekajmy do rana. Może latarnia pracowała na tyle długo, że zdołano nas zlokalizować.

- A kiedy już im powiemy, to co zrobimy? - zapytała.

- Będziemy się modlić, żeby ktoś nas znalazł.

Kiedy Elizabeth i Seth powrócili do samolotu i weszli do środka, mała przestrzeń aż iskrzyła od napięcia.

Peter Walsh leżał na swoim posłaniu z koców i mamrotał coś niezrozumiale. Gallegher i Ricky robili co w ich mocy, żeby nie pozwolić mu wstać, ale dopiero kiedy Elizabeth dotknęła jego czoła, Walsh uspokoił się i otworzył oczy.

- Maureen? - zapytał z wysiłkiem. Zdezorientowana Elizabeth spojrzała na Galleghera i Ricky'ego, w końcu szepnęła:

- Maureen to na pewno jego żona.

Ricky wyjął olbrzymią chustkę z kieszeni, zakrył nią usta i zaczął głośno kaszleć.

- Mówi o niej już od wielu godzin.

Elizabeth pochyliła się nad Walshem i pogłaskała go po głowie. Musiał mieć bardzo wysoką temperaturę, bo jego czoło płonęło i co chwilę wstrząsały nim dreszcze. Kiedy poczuł jej dłoń, spojrzał trochę przytomniej i potrząsnął głową.

- Przepraszam, panno Boothe.

- Czy Maureen to twoja żona? - zapytała z łagodnym uśmiechem i podała mu rozpuszczony śnieg do picia.

- Nie. To moja najstarsza córka. Pół roku temu pokłóciliśmy się... i ona... uciekła. - Zacisnął ręce na kocach i z trudem łapał oddech. - Pojechała do... dziadków... do... Denver. - Skrzywił się. - Leciałem, żeby ją przeprosić... Błagać, żeby wróciła do domu.

Elizabeth ścisnęło się serce.

- Nadal tam będzie, kiedy nas uratują - powiedziała i poprawiła mu koc pod brodą.

- Mam... nadzieję.

Reszta wieczoru nieprawdopodobnie wlokła się. Ricky i Gallagher, pochyleni nad rozłożoną walizką, grali w pokera kartami, które Ricky wyciągnął z jednego z pojemników.

- Powiedz, Gallagher, po czym można poznać, że w lodówce był słoń?

Gallegher się skrzywił, ale nic nie powiedział.

- Bo na maśle są ślady! - roześmiał się głośno Ricky i ciągnął: - Po czym poznać, że słoń...

Elizabeth opadła na jeden z foteli.

- Walsh czuje się coraz gorzej - szepnęła. Chciała, żeby tylko Seth ją usłyszał. - Ma bardzo wysoką gorączkę, kaszle, ma dreszcze... Wszyscy zaczynamy chorować - dodała, chociaż było to oczywiste. - Gallagher uskarża się na kłopoty żołądkowe, a ponieważ nie chce nic jeść, jestem skłonna mu uwierzyć. Ricky kaszle i...

Nie powiedziała tylko, że zaczęła podejrzewać, iż bóle, które ona odczuwa, nie są jedynie skutkiem potłuczeń odniesionych podczas upadku samolotu. Przez ostatnie kilka godzin połykała aspirynę niczym cukierki, ale bez skutku.

Seth potarł skronie, jak gdyby też odczuwał ból głowy.

- Można się było tego spodziewać. Jesteśmy zmarznięci, zmęczeni, głodni i przemoknięci. Musimy jednak ograniczać nasze ruchy i siedzieć w samolocie tak długo, jak tylko się da.

Elizabeth wiedziała, że Seth zaleca te wszystkie środki ostrożności z powodu Frankiego Webba. Zapomniał jednak o pewnym szczególe. Przez to, że Webb grasował na wolności, nie będą mogli zebrać tyle drewna, ile potrzebowali.

Oparła brodę na kolanach.

- Długo już nie wytrzymam - wyznała cicho i głęboko westchnęła.

Seth ujął ją za rękę.

Elizabeth westchnęła jeszcze głębiej, jeszcze dramatyczniej. Gdyby teraz zamknęła oczy, mogłaby zobaczyć zachód słońca i zmierzch nad miastem, wyobrazić sobie ciepło swojego mieszkania, smakołyki w lodówce, miękkie poduszki, telefon...

- O czym myślisz? - spytał cicho Seth.

- O świetle, ciepłe i jedzeniu. O wszystkich wygodach w domu.

Owszem, jej ciało było obolałe, ale to umysł i emocje znalazły się na granicy wytrzymałości.

Zastanawiała się, czy gdyby teraz zasnęła, zdołałaby na tyle zregenerować się we śnie, aby mieć energię niezbędną do tego, by powitać i przeżyć kolejny dzień?

Seth musiał wyczuć obawy Elizabeth, gdyż ujął ją pod brodę i szepnął:

- Nie martw się, Lizzie. Zaopiekuję się tobą.

Udało się jej uśmiechnąć, ale nie czuła się zbytnio pocieszona. Wiedziała, że Seth zrobi wszystko, co w jego mocy, aby im pomóc, ale przecież nie miał żadnego wpływu na Frankiego Webba.

Niestety, nikt nie miał kontroli nad tym psychopatą.

Seth, obserwując Elizabeth, wiedział, że jej uśmiech jest wymuszony. Świadomość tego, jak bardzo starała się go nie martwić, wzruszała go. Bardzo chciał rozwiać jej obawy, by znów śmiała się radośnie i szczerze. Chciał zmniejszyć ciężar na jej sercu, pomóc wrócić do bezpiecznego, ciepłego miejsca, o którym marzyła.

Jednakże nie do końca był w tych marzeniach szczerzy.

Paradoksalnie Seth obawiał się chwili powrotu do „normalnego świata”. I choć wiedział, że taki powrót do cywilizacji niekoniecznie musi oznaczać koniec ich tak niespodziewanie odnowionego związku, to jednak przeczuwał, że duża odległość i obowiązki zawodowe, zarówno jego, jak i Elizabeth, osłabią to, co zdołali wspólnie przeżyć i odczuć podczas tego koszmarnego doświadczenia.

A tego nie chciał.

Zaskoczyło go, jak szybko zaczęło mu na niej ponownie zależeć, i to w tak krótkim czasie... A może właściwie nigdy nie przestało? Kiedy go zostawiła, był zły, potem zgorzkniały, potem bezdusznie obojętny. Nigdy jednak nie znalazł żadnej kobiety, która mogłaby zająć jej miejsce.

Nigdy jej nawet nie szukał.

Elizabeth zamknęła oczy, a on wyciągnął rękę, żeby pogłaskać ją po włosach. Miał nadzieję, że dzięki temu łatwiej zaśnie. Kiedy to robił, odkrył, że chce - nie, potrzebuje - aby Elizabeth wróciła do niego.

Zaczął zastanawiać się, czy oboje mogli uniknąć popełnienia błędów?

Oboje zmienili się przez te ostatnie lata. Dojrzeli. Przypuszczał, że mieli już pewne doświadczenie, które nauczyło ich tego, czego naprawdę chcieli od życia - a Seth na pewno nie chciał być sam.

Czy Elizabeth doszła do podobnych wniosków? Był niemal pewien, że tak. Stała się o wiele silniejsza i niezależna. Kiedy patrzył w jej oczy, wiedział, że bliskie spotkanie ze śmiercią sprawiło, iż Lizzie uważniej niż kiedyś przyjrzała się swym planom na przyszłość. Co więcej, odkryła w sobie siłę, o którą nigdy by się wcześniej nie podejrzewała. Zresztą on też by ją o to nie podejrzewał.

Jego usta rozciągnęły się w drwiącym grymasie. Oboje musieli odwołać się do swoich emocjonalnych rezerw, o których istnieniu wcześniej nie wiedzieli. Niepokój, niegdyś zawsze trawiący Setna, zniknął. Gdy teraz wracał pamięcią do czasów spędzonych na poszukiwaniu przygód, robił to z poczuciem spełnienia, a nie nostalgii. Zupełnie, jak gdyby ta część jego życia definitywnie należała do przeszłości.

Po tych kilku dniach z Elizabeth doszedł do wniosku, że żadna inna kobieta nie potrafi sprawić, aby jego serce biło równie szybko, a oddech zamierał mu w piersi.

I choć zniknęło pożądanie przygód, pojawiło się inne pragnienie. Pragnął domu i rodziny. Być może Elizabeth nazwałaby tę jego nagłą potrzebę posiadania dzieci zwykłą męską zarozumiałością, ale on już nie potrafił z tego zrezygnować. W wieku trzydziestu sześciu lat nagle odkrył, że nie chce dłużej czekać na żonę i dzieci. Chciał mieć rodzinę już teraz.

I chciał założyć tę rodzinę z Elizabeth.

Co miał więc zrobić, żeby to marzenie stało się rzeczywistością? Czy powinien zrezygnować ze swojego dotychczasowego życia i wrócić do Nowego Jorku?

Seth poruszył się niespokojnie na posłaniu, gdy dotarła do niego odpowiedź.

Tak. Zrobi wszystko, nawet jeśli będzie to oznaczało poświęcenie swoich potrzeb.

Elizabeth, zanim zasnęła, przejmowała się tym, że z samego rana ona i Seth będą musieli powiedzieć prawdę o przyczynie śmierci ich towarzyszy. O tym, że zamordował ich Webb. Obawiała się tej chwili prawdy, nie wiedziała, jak pozostali przy życiu zareagują i robiła co w jej mocy, by o tym zapomnieć.

Jednak od samego rana ta przykra myśl co chwila do niej powracała. Już nie spała, ale leżała obok Setha z zamkniętymi oczami, kiedy nagle poczuła przeciąg. Otworzyła oczy i omiotła wzrokiem

wnętrze samolotu. W środku nie było Galleghera i Ricky'ego, więc szybko obudziła Seta.

- Seth? Seth! Wyszli na zewnątrz!

Seth otworzył oczy w ułamku sekundy. Klnąc, wygramolił się z samolotu.

Elizabeth natychmiast podążyła za nim.

Zobaczyli, że obaj mężczyźni znajdowali się już w połowie drogi do lasu.

- Gallegher, Ricky! Natychmiast wracajcie! Mężczyźni przystanęli i Gallegher odwrócił się do nich.

Na jego twarzy malował się wyraz wściekłości.

- Niech cię szlag, Brody! - wrzasnął. - Teraz z kolei ty będziesz nam regulował potrzeby fizjologiczne, co?! Spłuczka w toalecie się zepsuła, a ja nie zamierzam czekać, aż ktoś ją naprawi!

- Musimy porozmawiać. - Seth już uważnie przyglądał się drzewom.

- Za chwilę - powiedział z uśmiechem Ricky.

- Pewnych rzeczy nie da się kontrolować, Brody! - zawołał Gallegher.

- Słuchaj, Gallegher, to nie czas ani miejsce na kłótnie. Tu gdzieś jest Frankie Webb i...

- Nic mnie nie obchodzi ten więzień. Pewnie już zamarzył na śmierć.

- Gallegher! Stój! - wrzasnęła Elizabeth, kiedy obaj mężczyźni znowu zaczęli się oddalać. - Nealy nie spadł z tej skały, on został zepchnięty! A Willę Hawkes brutalnie uduszono!

Obaj mężczyźni gwałtownie przystanęli. Gallegher odwrócił się i ze złością mrużąc oczy, wrzasnął:

- Co chce pani powiedzieć?! Że ten psychopata na nas poluje?!

- Nie drzyj się tak! - krzyknął Seth i gniewnie zacisnął wargi.

Na twarz Galleghera wypełził rumieniec.

- Dlaczego mam się nie drzeć?! A kogo, do cholery, obchodzi, jak głośno mówię?! Jesteśmy zupełnie sami na tej przeklętej górze! Nie rozumiecie tego?! Nikt nas nie słyszy! Nikt!

- Co nie oznacza, że powinniśmy zachowywać się nierozsądnie - powiedziała uspokajająco Elizabeth.

- A dlaczego nie? Byłem spokojny i opanowany od chwili katastrofy i co mi to dało? Zupełnie nic! A morderca, który zabił moją córkę, biega sobie teraz na wolności i poluje na nas!

Wszyscy patrzyli na niego w oszołomieniu. Gallegher ciężko oddychał, a jego twarz była coraz bardziej czerwona.

- Co? Zdziwiliście się? Teraz już mnie rozumiecie, co? Nie wybrałem się tym samolocikiem na wakacje. O, nie! Poleciałem, żeby zabić tego drania! Chciałem zakończyć jego życie, tak jak on zakończył życie mojej Valerie! Założyłem kombinezon i udawałem mechanika, żeby przemycić broń na pokład... I udało mi się! - krzyknął triumfalnie. - Miałem dwie kule w magazynku. Jedną dla Webba, a drugą dla siebie... - Urwał i oskarżycielsko wskazał ręką na Seta. - Ale ten idiota wpadł na górę i morderca mojej córki uciekł na wolność... na wolność, do diabła!

Teraz Gallegher znów podniósł głos, cały czas oskarżycielsko mierząc w Seta palcem.

- To ty zabrałeś mój pistolet, prawda? Zabrałeś go i ukryłeś! Ty idioto! Kto ci pozwolił!?

Seth potrząsnął głową i wyciągnął przed siebie ręce w uspokajającym geście.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Nie wierzę ci! Z tego, co wiem, jesteś w zмовie z Frankiem Webbem, a ta katastrofa to jakiś diabelski plan, który miał mu ułatwić ucieczkę. Usuwacie nas... jednego za drugim... żeby nie pozostali żadni świadkowie tego, co się stało... - Mówienie przychodziło mu z coraz większym trudem. - O to chodzi, prawda? On pozoruje własną śmierć, żeby załatwić sobie nową tożsamość, tak? Dlatego na nas polujecie? Ha, ha, ha! - nagle roześmiał się triumfalnie. - Ale ja was zdemaskowałem, ha, ha, ha! Nie uda wam się, nie uda!

Jego śmiech sprawił, że na ciele Elizabeth pojawiła się gęsia skórka.

- Nie uda się, słyszysz? Nie umrę! Nie dam się zabić temu mordercy! Nie będzie miał tej satysfakcji! Przeżyję tę katastrofę i sam będę go ścigał... Zabiję go, a potem dopadnę ciebie! - Znów wyciągnął palec w kierunku Seta.

- Gallegher - wykrztusił Ricky i dotknął ramienia mężczyzny. - Uspokój się...

Gallegher wzdrygnął się i skoczył jak oparzony.

- Nie dotykaj mnie, głupcze! Nie widzisz, że to przez niego tu jesteśmy? - Wskazał oskarżycielsko ręką na Seta. - To on odpowiada za samolot, który nas tu przywiózł. Przez jego niekompetencję rozbiliśmy się. I zamiast zrozumieć, co on knuje, pozwoliliśmy mu przejąć dowodzenie.

Elizabeth zauważyła, że już od dłuższego czasu argumenty Galleghera zupełnie nie miały nic wspólnego z logiką. Jego tok rozumowania był całkiem irracjonalny. Teraz zaczął nagle chodzić w kółko i w podnieceniu machać rękami.

- Nie widzicie? Poszliśmy za nim jak owce. A przecież on się kompletnie na niczym nie zna! Nigdy nie powinniśmy go słuchać. Siedzieliśmy na tyłkach i czekaliśmy na ratunek, podczas gdy on świetnie wiedział, że nikt nas nie uratuje. Do tego czasu moglibyśmy opuścić te przeklęte góry.

- I dokąd iść? - zapytała rozsądnie Elizabeth.

- Tam, gdzie jest cywilizacja, jakaś chata, droga... wszędzie, byle nie na pewną śmierć, która nas tu spotka.

- Uspokój się, Gallegher - powiedział Seth niskim i mocnym głosem.

- Uspokój się? Chyba już czas, żebyśmy wszyscy mogli poczuć się nieco zdenerwowani. Nie widzicie? Siedzimy tu niczym kaczki do wystrzelania, a morderca eliminuje nas, jedno po drugim. Musimy zabrać swoje rzeczy z samolotu i zacząć wreszcie maszerować! - W oczach Galleghera pojawiło się szaleństwo, jego skóra lśniła od potu, a z ust ściekała stróżka śliny.

Elizabeth podchwyciła spojrzenie Seta i szybko zrozumiała, że Gallegher wpada w histerię. Coś trzeba było zrobić i to szybko, zanim zupełnie straci panowanie nad sobą.

- Usiądźmy i porozmawiajmy, panie... - Elizabeth nie zdołała skończyć zdania, bo Gallegher natychmiast skoncentrował się na niej i wyciągnął palec w jej kierunku.

- Dlaczego miałbym cię słuchać? Jesteś tylko kochanką tego faceta, jego...

- Dosyć! - krzyknął Seth. Jego głos rozniósł się w zimowej ciszy.

- Czas, żebyś wziął głęboki oddech i...

Nagle rozległ się huk wystrzału.

Elizabeth podskoczyła i automatycznie odwróciła się w stronę sosen. Pojawiła się tam jakaś postać, która szybko przemykała między drzewami.

Spojrzała na Seta, a potem na Ernsta Galleghera, który bez życia upadł na śnieg. Dostał kulę prosto między oczy. Czerwień przez moment zaplamiła śnieg, ale lodowe kryształki szybko pochłaniały krew sączącą się z czaszki mężczyzny.

- Skąd on ma pistolet? - wyszeptała Elizabeth, po czym powtórzyła głośniejszym głosem: - Skąd Webb wziął broń?

- Musiał znaleźć pistolet Galleghera - mruknął Seth.

- Przez cały czas nas obserwował - wyszeptał Ricky. - Bawił się nami, czekał, aż przestaniemy mieć się na baczności i... wtedy... on...

- Wracajcie do samolotu! - wrzasnął Seth i pobiegł w kierunku drzew, gdzie ciągle widać było postać uciekającego mężczyzny.

- Seth, nie! - Przerażona Elizabeth odwróciła się do Ricky'ego i krzyknęła: - Jeśli Seth dogoni Webba, zginie! Musisz go zatrzymać! Błagam!

Ricky pobiegł za Setem i zablokował mu drogę.

- Stój! - wrzasnął Ricky, kiedy Seth usiłował się oswobodzić. - On cię zabije, a bez twojej pomocy wszyscy zginie! - Chwycił Seta za ramiona i zaczął nim rozpaczliwie potrząsać.

Ostatnie słowa musiały chyba wreszcie dotrzeć do Seta, bo nagle znieruchomiał, a jego spojrzenie pobiegło ku Elizabeth i nagle, jakby cała energia uleciała z niego, Seth opadł na śnieg, pociągając za sobą Ricky'ego.

- Dobrze. Wszyscy wracamy do samolotu - powiedział z naciskiem. - Od tej chwili nikt nie będzie opuszczał schronienia podczas dnia. Po zapadnięciu ciemności, jeśli będziemy trzymali się z dala od światła rzucanego przez ognisko, być może zdołamy rozprostować nogi, ale nikt już nie wychodzi sam. Nikt.

Wstał i wyciągnął rękę, żeby pomóc Ricky'emu otrząść się ze śniegu... I w tym momencie ponownie rozległ się huk wystrzału.

Ricky krzyknął i upadł na śnieg, przyciskając dłoń do piersi.

Seth rzucił się do przodu, aby przewrócić Elizabeth na ziemię. Od strony drzew rozległ się pełen wściekłości krzyk.

Elizabeth, napotkawszy przerażone spojrzenie Seta, szepnęła, ciężko dysząc:

- Dwie kule... już wystrzelił... Gallagher mówił, że miał tylko dwa naboje...

Seth rozejrzył się ostrożnie, po czym wstał i pomógł Elizabeth podnieść się ze śniegu.

- Chodź. Musimy jakoś doprowadzić Ricky'ego do samolotu i spróbować powstrzymać krwawienie.

Minęła północ. Seth włożył ręce do kieszeni i zgarbił się w swojej kurtce, próbując ochronić się przed wiatrem szalejącym wśród skał. Już od dłuższego czasu wpatrywał się w granatowe niebo, szukając na nim jakiegokolwiek światła nadlatującego samolotu.

Z pewnością podjęto już akcję ratunkową. Bez wątplenia ktoś ich szukał - i w końcu znajdzie. Pozostawało tylko pytanie, kiedy.

I czy ten ktoś zdąży na czas.

W tej chwili Walsh był już nieprzytomny. I nie wiadomo było, co mu jest. Skąd ta gorączka?

A Ricky...

Ricky starał się jak mógł, robił dobrą minę do złej gry, ale stracił dużo krwi i ledwie radził sobie z oddychaniem.

Brezent osłaniający wejście do samolotu poruszył się i Elizabeth zeskoczyła w śnieg.

- Myślałem, że śpisz - powiedział Seth. Pokręciła przecząco głową.

- Mogę drzemać tylko przez kilka minut, potem się budzę. - Rozejrzała się nerwowo wokół siebie. - Myślisz, że możemy bezpiecznie stać przy tym ogniu?

- Przez kilka chwil... Jak wiesz, Webb musiał znaleźć broń, którą ukrył Gallagher. Gallagher mówił, że miał tylko dwie kule. Dla Webba i dla siebie... I na całe szczęście, że tylko dwie... Gdyby miał ich więcej, wszyscy już byśmy dawno nie żyli.

Jej oczy były ciemne i lśniące.

- Ale brak amunicji go nie powstrzyma, prawda? - spytała

- Wątpię - mruknął Seth. Elizabeth postawiła kołnierz płaszcza.

- Czy Walsh i Ricky śpią? - zapytał Seth po kilku minutach milczenia.

- Może zasnęli na moment... ale obaj są bardzo niespokojni.

- A ty? Jak ty się miewasz?

- Ja? - zeszywniała.

- Zauważyłem, że brałaś bardzo dużo aspiryny.

- O? Widzę, że nic nie ujdzie twojej uwagi.
- Ból głowy? - Uśmiechnął się do niej.
- Ból głowy, bóle ciała... co tylko chcesz.
- Jakoś przetrzymamy kilka następnych dni. Przetrzymamy -
wypowiadając to słowo, wiedział, że oznacza ono czekanie.
- Chodź tutaj - mruknął, wyciągając ramiona i zamykając
Elizabeth w uścisku.

Chętnie przytuliła się do niego i oparła głowę na jego piersi.

- Seth?
- Mhm... - Trudno mu było się skoncentrować.
- Dziękuję - wyszeptała.
- Za co?
- Za to, że nas uratowałeś. Za to, że jesteś tu ze mną. - Tak
dobrze się czuła w jego ramionach, nareszcie na swoim miejscu.

Powiedziała: „Za to, że jesteś tu ze mną”. Ale nie było go w
czasie trwania ich małżeństwa. Jak bardzo się wówczas mylił. Jak
bardzo się mylił.

Pochylił się i pocałował ją w czubek głowy.

- Przejdziemy przez to, Elizabeth. Razem na pewno znajdziemy
jakiś wyjście.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Było ciemno, kiedy Elizabeth przebudziła się i wyśliznęła z uścisku Setna. Przeciągnęła się i wyszła na zimne wieczorne powietrze.

Wiedziała, że postępuje nierozsądnie i że Seth na pewno zganilby ją za opuszczanie bezpiecznej kryjówki. Potrzebowała jednak kilku minut samotności, a ogień, który płonął przez cały dzień, zdążył już wygasnąć. Żarzące się popioły nie mogły przecież zdradzić jej obecności.

Trzymając ręce nad głową, oddychała głęboko zimnym powietrzem, wypełniając nim płuca. Odważyła się posunąć jeszcze dalej w swoim nieposłuszeństwie i zrobiła kilka kroków w kierunku odległych drzew. Ćwiczenia oddechowe pomogły jej rozluźnić mięśnie i oczyścić umysł.

Poćwicz jeszcze przez minutę. Tylko przez minutę.

Pochyliła się, żeby podnieść garść śniegu, ulepić z niego kulkę i rzucić ją w kierunku drzew. Kula wylądowała kilka metrów przed ścianą lasu. Elizabeth ulepiła kolejną śnieżkę, po czym znieruchomiała, gdy odniosła wrażenie, że sosny westchnęły ze współczuciem.

Ciesząc się tą krótką chwilą wolności, rzuciła śnieżką raz jeszcze. Tym razem pocisk doleciał do wierzchołków drzew i strząsnął śnieg z ciężkich gałęzi. Las mruknął z podziwem, a ona ukłoniła się, dziękując za aplauz.

- Dziękuję, dziękuję, dzie... - Zamilkła, znieruchomiała i wbiła wzrok w niebo.

Warkot? Chyba nie miała omamów słuchowych? Chyba nie wyobraziła sobie tego jedynie? Słyszała. Warkot był prawdziwy.

- Seth! - Jej stopy ślizgały się po śniegu, kiedy biegła w kierunku samolotu.

- Seth! Ricky! Chodźcie szybko!

Seth gwałtownie uniósł głowę. Poczul, że po jego ciele przebiegł dreszcz.

- Seth!

Przerażający krzyk rozległ się znowu.

Seth zerwał się na równe nogi, dwoma susami przebiegł przez wnętrze samolotu i wypadł na zewnątrz. Niemal natychmiast dostrzegł biegnącą w jego kierunku Elizabeth, z potarganymi włosami.

Ruszył do niej, a serce waliło mu jak młotem, z trudem oddychał. Do diabła! Co ona robiła samotnie na zewnątrz? Czy ta kobieta była nienormalna?

Zatrzymał się gwałtownie i złapał ją za ramiona, kiedy na niego wpadła. Szybki rzut oka upewnił go, że nie ma żadnych śladów krwi, poruszała się swobodnie, więc kości też były w porządku. Kiedy jednak usiłował wziąć ją w ramiona, Elizabeth zaczęła się wyrywać.

- Seth, posłuchaj!

- Co?

- Posłuchaj!

Seth nie słyszał niczego z wyjątkiem dudnienia własnego serca.

- Słyszysz?

Przekrzywił głowę, usiłując ustalić, co tak poruszyło Elizabeth.

- Samolot - wydyszała, w chwili kiedy usłyszał słaby, odległy warkot. - To samolot!

Seth wciągnął powietrze przez zęby i szybko zmówił w duchu modlitwę, kiedy tak stał i przyglądał się niebiosom, usiłując wypatrzeć źródło dźwięku.

- Przynieś pudełko zapalek i flary! - Wykrzyknął, biegnąc jednocześnie co sił w nogach w kierunku skrzydła, gdzie stało wiadro z paliwem. - O tej porze powinni zauważyć ogień z odległości wielu kilometrów!

Elizabeth także już biegła. Wpadła do samolotu i skierowała się wprost do pomarańczowego worka. Przez kilka sekund walczyła z zamkiem błyskawicznym, który nie chciał się rozsunąć. W końcu ustąpił na tyle, że mogła włożyć rękę do środka. Palce drżały jej z podniecenia, kiedy szukała zapalek. Raz za razem pudełko wymykało się jej z palców, spadając na dno worka. Najwyraźniej bawiło się z nią w jakąś przerażającą grę na zwłokę...

- Proszę - wyszeptała rozpaczliwie. - Proszę, nie rób mi tego!

Jej palce w końcu natrafiły na pudełko zapalek. Sekundę później już biegła po śniegu.

- Mam je! - wrzasnęła do Seta, który polewał paliwem stos gałęzi i konarów.

- Grzeczna dziewczynka! - Wyjął pudełko z palców Elizabeth i wręczył jej wiadro. Była w nim jeszcze połowa paliwa.

- Zanieś to do samolotu. Jeśli teraz się nie uda, będziemy potrzebowali go później.

Skinęła głową, przyciskając rękę do boku.

- Uda się - powiedziała bez tchu. - Musi się udać.

Na krótką chwilę ich spojrzenia się spotkały. Po tak wielu dniach spędzonych w oczekiwaniu na ratunek, ledwie ośmielali się wierzyć, że wkrótce nastąpi koniec ich męczarni.

- Trzymaj kciuki - mruknął Seth.

Wycofała się, ściskając uchwyt od wiadra w obu rękach, aż metalowa rączka zaczęła wbijać się boleśnie w dłonie. Serce dudniło jej w piersi, kiedy patrzyła, jak Seth pochyła się nad stosem drewna.

Potał zapałką o bok pudełka. Buchnął płomień, a po plecach Elizabeth przebiegł dreszcz. Niestety, podmuch wiatru zgasił płomień, zanim Seth zdążył dotknąć zapałką drewna.

Raz jeszcze zapałka zgrzytnęła o bok pudełka. I znowu zgasił ją wiatr. Raz za razem Seth usiłował rozpalić ognisko i rzucał kolejne zapałki w śnieg, po tym, jak wiatr je gasił, zanim drewno zdążyło się zająć.

Elizabeth popatrzyła z tęsknotą na horyzont, szukając migotliwego światełka. Co chwilę jej wzrok wracał do stosu drewna. Była coraz bardziej sfrustrowana. Musiała zaciskać zęby, żeby nie zacząć głośno krzyczeć.

Ognisko musiało zapłonąć! Musiało! To mogła być ich jedyna szansa na wydostanie się z tej przeklętej góry.

- Cholera, gdzie są flary! - krzyknął Seth, kiedy kolejna zapałka nie dała się rozpalić.

Serce podeszło jej do gardła.

- Zostawiłam je w samolocie. - Odwróciła się i potknęła na śniegu.

- Nieważne. Nie ma czasu! - krzyknął za nią, zanim zdążyła zrobić kilka kroków.

W końcu kolejna zapałka okazała się mocniejsza od innych i zalśniła dumnie w wieczornym półmroku. Seth rzucił ją na stos sosnowych gałęzi. Iskry wybuchły głośno i ognisko rozblęzło, zajmując się od paliwa.

Oboje odwrócili się w kierunku dźwięku, który słyszeli wcześniej, i modlili się, aby przybrał na sile.

- Proszę - wyszeptała głośno Elizabeth, próbując dostrzec poruszającą się kropkę na horyzoncie.

- Jest! - Seth skoczył ku niej i przyciągnął ją do siebie. Wskazał na kolorowe błyski, które znaczyły trasę odległego samolotu.

- Zobaczają ogień, Lizzie. Będą musieli spojrzeć w tym kierunku.

Samolot był zaledwie małą kropką w oddali, ledwie widoczną na tle migających plamek czerwieni i zieleni. Elizabeth zadrżała lekko. Zobaczyła, że maszyna skręca w ich kierunku.

Czuła przyspieszony rytm serca Setha, a i tak wydawało się, że bije o połowę wolniej niż jej serce. Zaciśnęła dłonie na jego ramionach i mocno przytuliła się do niego.

Za nimi ogień trząsał i jęczał, wypuszczając snopy iskier, które strzelały w granatowoczarne niebo.

Z pewnością pilot ujrzał ogień! Z pewnością zostaną uratowani.

Elizabeth skoncentrowała się na tej myśli - ratunek, ratunek, ratunek.

Zmrużyła oczy i usiłowała dostrzec zmiany w trasie maszyny. Z jakiegoś powodu pilot najwyraźniej zmienił kurs. Czemu więc światła się nie zbliżały?

Elizabeth myślami starała się sprawić, aby ludzie w samolocie ich zauważyli. Modliła się, żeby ktoś usłyszał jej milczący krzyk, wyczuł panikę i oczekiwanie. Samolot wydawał się jednak nieruchomo zawieszony na atramentowym niebie. Zagryzła wargę, gdy ujrzała, jak samolot z cichnącym pomrukiem silnika oddala się od nich.

- Nie - wyszeptała, po czym dodała głośno: - Nie! Wracaj! Wracaj!

Czuła, jak Seth zeszywniał, a jego uścisk zelżał.

- To na nic, Elizabeth. - Jego głos był cichy, ale wyraźnie wyczuła w nim rezygnację.

- Co masz na myśli? - zapytała bezradnie i popatrzyła na niego.

- Światła się oddalają. - W jego oczach czaił się smutek.

- Nawet jeśli to był samolot ekipy poszukiwawczej, nie wrócą tu aż do rana.

- Nie! - Wszystko rozmazywało się jej przed oczyma.

- Nie, nie mogą nam tego zrobić!

- Odlecieli - wyszeptał.

Migoczące światełka niosące nadzieję zniknęły za szczytem odległej góry.

- Ale... - Elizabeth zupełnie zdrętwiała. Niedowierzenie nie pozwalało jej wykrztusić z siebie ani słowa. - Nie. To niemożliwe... Muszą wrócić. Muszą...

Świąteczka nie pokazały się ponownie.

Elizabeth skuliła się. Jej wargi były całkiem suche. Nagle pomyślała o wszystkich zmarnowanych wysiłkach - o paliwie, o stosie konarów, o zapalkach. O rzeczach, których nie powinni stracić.

Czuła bolesny ucisk w gardle. Jak załoga tego samolotu mogła im to zrobić? Czy nie zauważyli jasnego światła? Czy nie słyszeli jej milczących próśb o pomoc? Czy się nie domyślili?

Powoli, ostrożnie Elizabeth uwolniła się z uścisku Setna. Przygryzła wargę, żeby nie rozplakać się na głos, przyklękła i nakryła wiadro pokrywką. Ciężkim krokiem ruszyła w kierunku skrzydła samolotu. Wstawiła wiadro pod zgnieciony metal, ukrywając je troskliwie pod czapą śniegu. Wróciła do ogniska, choć jego ciepło nie przyniosło jej wiele pociechy.

- Będą inne samoloty, Elizabeth.

- A jeśli nie będzie, Seth? A jeśli umrzemy na tej olbrzymiej górze i nikt nas nie znajdzie aż do czasu, kiedy gorące letnie słońce odślepi nasze ciała?

- Lizzie, przestań!

- Nie, to ty przestań, Seth! - Kiedy ruszył w jej kierunku, zatrzymała go niecierpliwym gestem ręki. - Nie wystarczy nam zapasów do wiosny. Nie wystarczy nawet na dwa tygodnie. A jeśli ekipa poszukiwawcza nigdy nie przybędzie? Co wtedy zrobimy?

- Pewnie zrobimy wszystko, co będzie w naszej mocy, Lizzie.

Roześmiała się gorzko.

- Co w naszej mocy? Co ja mogłabym zrobić, skoro nawet w normalnych warunkach nie umiałam żyć? Jednak nie potrafię się tak po prostu uklonić i wycofać z gracją, bez walki.

Seth oparł ręce na biodrach.

- No, to czego chcesz, Lizzie? Co mam powiedzieć?

- Nie wiem, co masz powiedzieć - prychnęła. - Ale wiem, że na pewno jeszcze teraz nie umrę, bo znowu szarpią mną te wszystkie uczucia...

- Jakie uczucia? - Podeszedł bliżej do ognia, a płomienie oświetlały go tak, że jego spojrzenie wydawało się niezwykle intensywne.

- Nie widzisz? Wpadam w tę samą pułapkę, ogarniają mnie te same uczucia. Zaczynam... Zaczynam znowu być od ciebie zależna.

- Czy to takie straszne?

- Tak - chliphnęła. - Kiedy się rozstaliśmy, odnalazłam siebie. Stałam się niezależna i silna. Nauczyłam się polegać na własnym rozumie i ambicjach, i to mnie uszczęśliwiało. A teraz jestem niebezpiecznie bliska tego, żeby zrezygnować ze wszystkiego dla ciebie.

Seth potrząsnął głową i podszedł do krawędzi ogniska.

- Nie zrezygnować. Podzielić się tym.

- A co za różnica?

Mocno i jednocześnie czule przytulił ją do siebie. Nie zdążyła odskoczyć, a teraz nie chciała tak od razu wyrywać się z jego objęć.

- Różnica leży w intencji, Lizzie. Masz rację. Kiedy się pobraliśmy, szukałaś u mnie wszystkiego, czego twoim zdaniem brakowało ci w życiu, a ja cię zawiodłem. Teraz to wiem. Powinienem bardziej otwierać się przed tobą, powinienem dać sobie więcej czasu, żeby naprawdę cię poznać. - Ujął jej twarz w swoje ręce. - Teraz jednak jesteśmy innymi ludźmi.

- Chyba jednak nie.

- Owszem. Tak. Nauczyłaś się, co oznacza polegać na sobie. Wiedziałaś, czego chcesz od życia i kiedy ja nie spełniłem twoich oczekiwań, zaryzykowałaś wszystko, żeby wybrać taką przyszłość, o jakiej marzyłaś. Może to brzmi idiotycznie, ale jestem dumny z tego, co zrobiłaś. Wiele lat to sobie uświadamiałem, że mocno błądziłem. Zasłużyłem na wszystko, co powiedziałaś. Zasłużyłem na to, żeby cię stracić. Pochylił się, zmuszając ją, aby popatrzyła mu w oczy.

- Jednak podczas tych ostatnich trzech lat dowiedziałem się kilku rzeczy o sobie. Dowiedziałem się, jakie ponure potrafi być życie, kiedy człowiek jest sam. Ja już nie chcę być sam. Jestem także na tyle bystry, aby zdawać sobie sprawę z tego, że twojego miejsca nie może zająć nikt inny. Nie chcę innej żony.

Elizabeth wzięła głęboki oddech.

- Co ty mówisz?

- To, że chcę, abyś o nas pomyślała. Poważnie. I zastanowiła się, czy jest dla mnie miejsce w twoim życiu.

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem, jak mielibyśmy...

- Nie myśl teraz o stronie praktycznej ani o trudnościach. - Położył palec na jej ustach. - Nie teraz. Jeszcze nie. Po prostu pomyśl o nas. Czy dotarliśmy do punktu, z którego moglibyśmy startować jeszcze raz... po prostu... czy chcesz spróbować od początku?

Odwrócił ją w swoich ramionach, tuląc się do jej pleców, poczuł ogarniający go spokój. W milczeniu patrzyli na strzelające płomienie.

- Nie mów o tym aż do rana - wyszeptał. - Tylko pomyśl. Tylko o tym pomyśl.

Usiadł na jednym ze zniszczonych foteli, pociągając ją za sobą. Przez dłuższą chwilę Elizabeth siedziała mu na kolanach, wtulona w jego ramiona, a jej ciało chłonęło ciepło ognia. Nagle uświadomiła sobie, że mimo okoliczności, mimo rozczarowania i bólu głowy, w ramionach tego mężczyzny czuje się bezpieczna. Bezpieczna i potrzebna.

Pełna.

Zdała sobie sprawę, że już teraz jest w stanie udzielić mu odpowiedzi, której tak pragnął. Choć mogła wahać się i złościć, nie powinna uciekać od prawdy.

A prawda była taka, że ponownie zakochała się w byłym mężu.

- Jutro zaczniemy od początku - powiedział Seth. Przez chwilę sądziła, że czytał w jej myślach, ale zorientowała się, że chodzi mu o ogień.

Bolało ją serce, kiedy patrzyła na gałęzie, które będą tak płonęły do rana. Przez cały dzień kilka osób zbierało drewno. Skoro przeżyło tylko czworo pasażerów - i tylko dwoje było w pełni sprawnych - ile czasu zajmie zbieranie drewna na następne ognisko? A potem na następne, i następne, i następne - zastanawiała się, czując ogromne zmęczenie.

Odepchnąwszy na bok te ponure myśli, odetchnęła głęboko. Była po prostu zmęczona, bardzo zmęczona. Jeśli okaże się to konieczne, zbierze drewno choćby i na sto ognisk.

- Może powinniśmy przyprowadzić tu Walsha i Ricky'ego? - wyszeptała. - Ciepło dobrze im robi... Narobiliśmy tyle hałasu, że z pewnością zastanawiają się, co się stało.

- Jasne - powiedział i pocałował ją w policzek. Wstali z fotela.

Seth wziął Elizabeth za rękę, poprowadził w kierunku samolotu i pomógł jej wejść do środka, po czym sam się wspiał.

- Ricky ? Peter? Jak się czujecie? - zawołała. - Dacie radę wyjść na zewnątrz? Mamy ognisko i...

Słowa uwięzły jej w gardle, kiedy zerknęła na Ricky'ego. Leżał w przejściu. Z nosa sączyła mu się krew, a jego ręce wyciągały się w kierunku wyjścia.

Seth pośpiesznie ukląkł przy mężczyźnie i przycisnął palec do jego gardła, chcąc wyczuć puls.

- Nie żyje - oznajmił zdławionym głosem.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Seth upierał się, żeby poczekali do rana i dopiero wtedy zaczęli zbierać drewno na kolejne ognisko. Tym razem mogli pracować tylko we dwoje, a gałęzie przynosili z coraz dalszych okolic, tak więc zadanie okazało się bardzo trudne i zajmowało coraz więcej czasu. Jediną pociechą znajdowali w tym, że za każdym razem, gdy wracali do samolotu, mogli zatrzymać się i odpocząć obok ogniska płonącego przy kadłubie.

Idąc już piąty raz wydeptaną przez siebie ścieżką, Seth widział, jak ramiona idącej przed nim Elizabeth drżały z wysiłku. Po tym, co przeszła, dźwiganie naręczy drewna było ponad jej siły. Wiedział, że jedynie myśl o zbawiennym ogniu utrzymuje ją w jakiej takiej kondycji.

Elizabeth jęknęła i zrzuciła gałęzie obok zniszczonej części ogonowej samolotu. Z bolesnym wyrazem twarzy wyprostowała ręce.

Seth również zrzucił swój ładunek. Następnie podniósł się i jęknął cicho. Położył ręce na biodrach i wygiął się do tyłu, zamykając oczy.

- Ile jeszcze razy? - zapytała Elizabeth. Z trudem oddychała.

Bardzo pragnął jej powiedzieć, że to już koniec, że mają wystarczająco dużo drewna, ale przed nimi był jeszcze cały dzień pracy, jeśli chcieli uzupełnić zapasy, które pochłonęło ognisko.

- Kilka - odparł i westchnął.

Elizabeth opadła na jeden z foteli i wyciągnęła dłonie w kierunku płomieni. Seth zauważył, że jej ręce pokryte są zadrapaniami i pęcherzami.

Cholera. Dlaczego nie pomyślał o jej rękach? Dlaczego się nie poskarżyła?

Wskoczył do samolotu i podszedł do ciała, które nakryli kocem. Powinni wynieść Ricky'ego tam, gdzie leżały ciała wszystkich zmarłych pasażerów, ale Seth wolał z tym poczekać aż do chwili, gdy zgromadzą wystarczająco dużo drewna. Musieli przecież oszczędzać siły.

Klnąc z powodu tego, co zaraz miał zrobić - co musiał zrobić - Seth ściągnął z rąk zmarłego obramowane futrem rękawice.

- Przepraszam, Ricky - wyszeptał, jak gdyby mężczyzna mógł mieć o to do niego pretensje. Rozejrzał się wokół i gdy zobaczył walizkę Ricky'ego, chwycił ją i wyszedł na zewnątrz.

Elizabeth wystawiła twarz do bladego słońca. Stało wysoko na niebie, rzucając na polanę jasne światło.

I choć miała świadomość, że czas jest dla nich niezwykle ważny, że muszą zebrać jak najwięcej drewna do zachodu słońca, trudno jej było przekonać samą siebie, że trzeba znów udać się do lasu. Właściwie, który to już raz? Wziąwszy pod uwagę, że pracowali od wschodu słońca, marzyła o tym, aby przespać cały dzień w pobliżu dogasającego ogniska.

- Masz. Załóż je.

Popatrzyła na rękawice, które wyciągnął ku niej Seth. Wydawało się, że minęła cała wieczność od dnia, w którym tak zazdrośnie przyglądała się im na rękach Ricky'ego. Teraz, kiedy Seth dawał jej te rękawice, wątpiła, czy będzie miała odwagę je założyć.

- Musisz chronić ręce - upierał się. - Są ci potrzebne do pracy. Nikt nie może mieć nic przeciwko temu, że je wzięłaś... w takich okolicznościach...

I choć miała zmarznięte palce i poranione dłonie, nadal nie mogła się zmusić do założenia tych rękawic.

Seth musiał wyczuć przyczynę jej niechęci, gdyż nie nalegał. Wyjął z kieszeni kurtki własne skórzane rękawiczki i podał je Elizabeth, a sam usiłował wciągnąć rękawice Ricky'ego na swoje duże dłonie.

Choć zniszczone skórzane rękawiczki Seta nie były tak ciepłe jak te Ricky'ego, Elizabeth przyjęła je z wdzięcznością.

- A teraz walizka.

Elizabeth poczuła skurcz w żołądku. Przez ostatnie dni przychodziło jej do głowy, że walizka Ricky'ego może być wypełniona jedzeniem i drinkami. Teraz jednak, gdy Seth znalazł walizkę i przyszedł czas, by ją otworzyć, Elizabeth się wahała. Nie wolno im tak grzebać w rzeczach Ricky'ego. Powinni okazywać zmarłym więcej szacunku. No tak, ale zmarli nie potrzebowali jedzenia...

Oparła brodę na rękach i patrzyła, jak Seth śrubokrętem podważa zamki. W końcu ustąpiły.

- Proszę bardzo - mruknął Seth i szybkim ruchem otworzył wieko walizki.

Walizka była wypełniona ciastkami, dziesiątkami kruchych ciastek.

- Co to jest, do cholery? - szepnął zdumiony Seth.

Na plastikowej torebce z ciastkami leżała brązowa koperta. Elizabeth otworzyła ją i wydobyła z niej kartkę papieru.

- To przepis. - Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia. - To przepis na czekoladowe ciastka pani Walker.

Popatrzyli na siebie i wybuchnęli śmiechem. „Lepki Ricky” zdołał w jakiś sposób ukraść najpilniej strzeżony sekret przemysłu spożywczego.

Śmiech jednak szybko zamarł im na ustach. Elizabeth przełknęła ślinę, aby pozbyć się dziwnego ucisku w gardle. Wcale nie było jej wesoło. Czuła ogromny smutek. Seth chyba musiał odczuwać to samo, bo szybko zamknął walizkę, a następnie zdjął rękawiczki i położył je na niej.

- Biedny Ricky - westchnęła Elizabeth. Biedna Willa.

Biedny Stan i biedny Caldwell. Biedny Nealy i biedny Gallegher. Ilu jeszcze pojawi się na tej liście, zanim będzie już po wszystkim? Peter Walsh? Ona i Seth? Czy Frankie Webb?

Jeszcze dwukrotnie wybrali się do lasu, zanim Seth zarządził kolejną przerwę i usiedli obok dogasającego już ogniska.

Seth z troską przyglądał się Elizabeth, wiedząc, że zarówno fizycznie, jak i psychicznie jest bliska załamania.

- Chodź tutaj - powiedział i wyciągnął rękę.

Chętnie przysunęła się bliżej niego i nawet pozwoliła objąć się i przytulić.

Seth westchnął, pogłaskał Elizabeth po głowie i przyjrzał się uważnie jest ściągniętej twarzy. Nawet teraz, ze skórą spieczoną słońcem i szczypiącym wiatrem, z oczami obwiedzionymi rozmazanym tuszem, co upodabniało ją do szopa pracza, nawet teraz była piękna. Jak mógł zapomnieć o jej urodzie? Jak mógł zapomnieć o jej fascynujących ciemnych oczach?

Jak mógł wypuścić ją z rąk, mimo że prosiła go, aby dał jej spokój?

- Lizzie, musimy porozmawiać - powiedział szybko, pełnym napięcia głosem.

Nadszedł czas, aby powiedział jej, jak bardzo ją kocha. Nie mógł już tego odkładać na później. Uczył się na swoich błędach - a jednym z największych błędów była jego niechęć do mówienia o swoich uczuciach.

- Och, Seth, bardzo cię przepraszam - westchnęła. - Jestem chyba zbyt zmęczona i zniechęcona, żeby teraz rozmawiać. I obawiam się, że niewiele jest w stanie do mnie dotrzeć.

Seth uśmiechnął się, chcąc dać jej do zrozumienia, że nie ma za złe niechęci do rozmowy. Ciepło ciała Elizabeth wypełniało go taką rozkoszą, taką radością, że mimo zmęczenia i niesprzyjających okoliczności czuł, czym jest miłość.

- Rzeczywiście wyglądasz na zmęczoną - mruknął i pogłaskał ją po policzku. Zmarszczył brwi, kiedy odkrył, że jej skóra jest rozpalona i sucha w dotyku.

- Zbyt ciężko pracujesz - powiedział. - Upewnij się, że masz co pić. Nie chcę, żebyś się odwodniła.

- Dobrze. - Jej głos przypominał raczej szept. Przejechał delikatnie palcami po włosach Elizabeth, a gdy oparł policzek na jej głowie, powiedział:

- Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem, nawet teraz, niemal krańcowo wyczerpana.

Popatrzyła na niego udręczonym wzrokiem, jak gdyby obawiała się, że wypowiedział te słowa pod wpływem emocji wywołanych katastrofą - podczas gdy on wiedział, że jest odwrotnie. W rzeczywistości to właśnie uczestnictwo w katastrofie zmusiło go, aby zastanowił się, kim będzie bez niej.

- Jesteś dla mnie bardzo ważna - wyszeptał, nie zwracając uwagi na nagły ucisk w piersi. To z powodu nadmiernych emocji, pomyślał.

Elizabeth uniosła dłoń i chwyciła jego rękę.

- I ty dla mnie... - Urwała, bo migotliwe światło nagle jasno oświetliło popękana skórę na jego rękach. - Och, Seth - westchnęła boleśnie i ujęła jego drugą dłoń. - Twoje ręce...

Oderwała spojrzenie od jego rąk i przyjrzała się uważnie jego twarzy. Pochyliła głowę i z czułością, lekko zaczęła całować wewnętrzną stronę jego dłoni, a jej usta łagodziły ból łagodną pieszczotą.

- Tak mi przykro - wyszeptała zdławionym głosem. Seth położył palec na brodzie Elizabeth i zmusił ją, aby na niego spojrzała.

- Łzy? To z mojego powodu?

Odwróciła się od niego, jak gdyby wstydziła się tych nagłych emocji, przez które poddała się takiej nieprzydatnej kobiecej słabości jak łzy.

- Z twojego. Z naszego - poprawiła się. Raz jeszcze zmusił ją, by na niego spojrziała.

- Dlaczego płaczesz z naszego powodu?

Oderwała wzrok od jego twarzy i ze złością wytarła wilgotne łzy na policzku. Jednak moment później pojawiły się nowe.

Seth przełknął ślinę, usiłując pozbyć się ucisku w gardle. Przez ten cały czas Elizabeth ani na chwilę się nie poddała. Miała żelazny kręgosłup. A jednak widok jego poranionych rąk sprawił, że zaczęła płakać.

- Kocham cię, Lizzie - wyszeptał, wiedząc, że nie zdoła dłużej ukrywać swych uczuć.

Elizabeth uniosła głowę, żeby na niego popatrzeć, a w jej oczach nadal lśniły łzy.

- Nie rób tego - wyszeptała.

- Mam cię nie kochać? Potrząsnęła głową.

- Nie mów mi, że mnie kochasz. Nie tutaj. Nie tak. Tyle się wydarzyło... Tyle się jeszcze może wydarzyć...

- Moje uczucia się nie zmieniają. - Popatrzył jej głęboko w oczy. - Moje uczucia nigdy się nie zmieniły. Kocham cię dzisiaj dokładnie tak samo lub nawet bardziej niż w dniu, w którym wzięliśmy ślub.

Kiedy chciała się odezwać i znowu wyrazić swoje wątpliwości, położył palec na jej wargach.

- Ale mogę poczekać. Mogę poczekać, aż nas uratują i aż zaakceptujesz fakt, że uczucie między nami nigdy nie wygasło. Nasz związek został... zaledwie przerwany na kilka lat, ale...

Odsunęła się od niego. Było jasne, że nie chciała, by odgadł, co czuje. Seth wiedział jednak, że kochała go. Zawsze go kochała. Nie ufała jednak własnym uczuciom.

Chciał ją przytulić, kochać się z nią. Ale nie zamierzał poddać się tej neodpartej potrzebie. Jeszcze nie. Już kiedyś zanadto się śpieszył - i jego niecierpliwość zaowocowała małżeństwem, które trwało krócej niż zaloty innych par.

Zacisnął ręce w pięści i poczuł nagły przeszywający ból. Spojrzał na swoje dłonie, ale szybko odwrócił głowę i zaczął wpatrywać się w Lizzie, w tak dobrze znane sobie rysy, oświetlone srebrnymi promieniami słońca. Naprawdę była piękna. Światło delikatnie podkreślało regularne rysy jej twarzy, obrysowywało miękkie, kobiece kształty pieszczotliwym dotykiem, który Seth nagle zapragnął

naśladować. Nawet jej zmierzwione włosy lśniły, odbijając czerwonawą poświatę ognia.

Jego wzrok powrócił do poszarpanej skóry na dłoniach. Wyciągnął ręce w kierunku ognia i stłumił jęk, kiedy ciepło zaczęło przywracać czucie zdrętwiałym rękom, a palce owładnęło mrowienie. Jego dłonie wyciągnięte nad ogniskiem drżały. Nie potrafił jednak nad tym zapanować.

Do diabła, jestem zmęczony, pomyślał i z trudem oparł się pokusie, aby położyć się na śniegu i zamknąć oczy. Całe ciało drżało ze zmęczenia. Czuł ciężar w płucach, jak gdyby się przeziębził, i dudniło mu w głowie. Znowu zaczął martwić się, jak Elizabeth zdołała przetrwać trud nadchodzących godzin, jeśli on nie ma już siły.

Westchnął ciężko, wypełniając płuca świeżym zapachem sosen, mając nadzieję, że to go ożywi. Zamiast tego poczuł się jedynie rozleniwiony.

Elizabeth poruszyła się i wzięła w dłonie śnieg leżący obok ogniska. Widział, jak się skrzywiła, kiedy przełknęła małą topniejącą grudkę i zastanawiał się, czy gardło boli ją równie mocno jak jego.

Seth podciągnął nogi do klatki piersiowej i objął kolana rękami. Wiedział, że oboje zaczynali już bardzo mocno odczuwać skutki przeziębienia i zimna. On jednak najbardziej obawiał się zmęczenia psychicznego. Złudna szansa na uratowanie, śmierć Ricky'ego i problemy ze zbieraniem drewna wyczerpały go bardziej, niż się spodziewał. Był zmęczony tym wszystkim - zmęczony czekoladowymi ciastkami na śniadanie, zmęczony śniegiem, zmęczony zimnem, wilgocią i spaniem w pozycji siedzącej. Bolało go całe ciało, czuł napięcie w klatce piersiowej. A jego głowa... gdyby tylko zdołał się jakoś pozbyć tego nieustającego dudnienia...

- Lepiej chodźmy po kolejny stos - powiedziała z westchnieniem Elizabeth, a on uświadomił sobie, że miała rację. Jeśli posiedzą tu dłużej, nie znajdą w sobie dość siły, by wstać.

- Tylko sprawdzę, co z Walshem - powiedziała.

Kiedy zniknęła wewnątrz kadłuba, Seth wyjął z kieszeni trzy aspiryny i popił je rozpuszczonym śniegiem. Dwie godziny wcześniej zażył taką samą liczbę tabletek i nie przyniosło mu to ulgi. Miał nadzieję, że droga dawka zlikwiduje dudnienie w głowie.

- Gotowy? - zapytała Elizabeth, zeskakując na śnieg.

- Jak tam Walsh?

Wzruszyła ramionami, ale nie udało się jej ukryć, że jest zmartwiona.

- To samo. Gorączka, majaki. Czuje się coraz gorzej, a ja nie wiem, co mogłabym dla niego zrobić.

Seth wziął ją za rękę i uściśnął pokrzepiająco.

- Módl się o ratunek. To jedyne, co może mu teraz pomóc.

- Martwię się, bo nie chciałabym zostawiać go tu samego - powiedziała, zerkając na ciemną Unię drzew.

- Wiem. Webb ukradł nam sporo zapasów, więc chyba przez jakiś czas będzie się trzymał z daleka. Albo znalazł sobie jakąś dobrą kryjówkę i nie ma zamiaru jej opuszczać. - Westchnął, skrzywił się i po chwili dodał: - W każdym razie wątpię, żeby zapolował na Walsha. To żadna przyjemność zabijać umierającego człowieka.

Zrobił kilka kroków i wziął ją w ramiona.

- Mimo to, uważaj na tyły. Webb dotąd likwidował pasażera za pasażerem. Ciebie jednak nie próbował zaatakować, nawet cię nie dotknął, choć byłaś od początku typowana na jego najbardziej prawdopodobną ofiarę.

Elizabeth już nieraz o tym myślała.

- Dlaczego? Dlaczego zostawił mnie w spokoju? Zapadła niczym nie zmacona cisza i Elizabeth wyczuła, jak Seth zeszywniał.

- Myślę, że zostawił sobie najlepszą ofiarę na deser.

Wyprawa do lasu była wyczerpująca, zbieranie gałęzi wręcz dobijające. Kilka razy, kiedy Seth stał odwrócony plecami, Elizabeth wyjmowała aspirynę z kieszeni i usiłowała ją połknąć bez popicia. Kiedy wzięła już cztery i sięgała po piątą, Seth przypomniał jej o konsekwencjach przedawkowania leków. Elizabeth zaczynała podejrzewać, że już nic nie złagodzi doskwierającego jej bólu głowy i uczucia suchości w gardle. I choć usiłowała nie myśleć o tym, nie ulegało wątpliwości, że przeziębila się, złapała grypę albo jeszcze coś gorszego.

Zbierając gałęzie, marzyła, żeby jeszcze raz posłuchać wyznań Seta.

Kochał ją. Nadal ją kochał. I choć usiłowała przestrzec siebie przed zawieraniem swoim uczuciom, wiedziała, że i ona go kocha. Zawsze go kochała. Nauczyła się jednak także, że miłość to nie wszystko. Kiedyś ona i on nie potrafili stawić czoła wyzwaniom

codziennego życia. Czy teraz będą potrafili? I w ogóle - co się z nimi stanie, kiedy zjedzą z tej góry? Jeśli zjedzą z tej góry...

- Na dzisiaj wystarczy - powiedział Seth, oddalony od niej o kilka metrów.

Elizabeth miała świadomość, że podjął tę decyzję ze względu na nią. Nadal nie mieli tylu gałęzi, ile zużyli poprzedniej nocy - a jeśli chcieli podtrzymać ogień, potrzebowali jeszcze więcej.

Jednak czuła się zbyt zmęczona, żeby protestować. Pomyślała, że jeśli prześpi się kilka godzin, to z pewnością zdoła zregenerować siły i potem z większą energią będzie zbierała drewno.

- Kiedy już znajdziemy się w samolocie, powinniśmy... - Przerwał, a nagle cisza sprawiła, że Elizabeth poczuła w żołądku bolesny skurcz strachu.

- O co chodzi? - zapytała z niepokojem, kiedy przeszedł obok niej. - Seth? Co się stało?

Wyglądało na to, że jej nie słyszy. Pobiegł na małą polankę, kilka metrów dalej. Przystanął i podniósł rękę, osłaniając oczy przed słońcem, przyglądając się jaskrawoniebieskiemu niebu.

- Co...?

- Przynieś lusterko! - krzyknął i zaczął biec w kierunku samolotu.

Oszołomiona, pobiegła za nim, gnana bardziej instynktem niż siłą woli.

- Seth?

- Przynieś lusterko, spotkamy się na środku polany!

Elizabeth nadal biegła, nie wiedząc, dlaczego Seth zachowuje się tak niepokojąco. I nagle usłyszała warkot silnika nadlatującego samolotu.

- Skąd... leci? - wykrztusiła z trudem, przyciskając rękę do boku.

Seth przystanął na moment i spojrzał uważnie na niebo.

- Nie jestem pewien. - Pośpieszył ją, machając ręką. - Szybciej!

- Ale ogień!

- Nie ma czasu. Biegnij po lusterko!

Potykała się na śniegu, zanim udało się jej przedrzeć przez zaspę. Ostatnie sto metrów przebyła tak szybko, że była zdumiona, skąd miała w rezerwie jeszcze tyle sił.

Wskoczyła do samolotu, podbiegła do pomarańczowej torby, złapała ją i błyskawicznie wydostała się na zewnątrz. Biegąc,

zanurzyła rękę w worku i usiłowała znaleźć lusterko. Jej palce niemal natychmiast zacisnęły się na szklanej tafli.

Biegła w kierunku miejsca, gdzie w słonecznej plamie słońca widziała stojącego Seta. Kiedy dobiegła, wręczyła mu lusterko, po czym przykucnęła, oparła ręce na kolanach i dyszała ciężko.

Seth natychmiast skierował lusterko ku słońcu, tak że jego jasne promienie odbijały się od gładkiej powierzchni.

Wciąż ciężko oddychając, Elizabeth wyprostowała się i usiłowała ustalić, skąd dochodzi dźwięk.

- Tam! - krzyknął Seth i wyciągnął rękę.

Zadarła głowę i w końcu zdołała dostrzec małą, ciemną kropkę. Jej nogi, jak gdyby kierowane własną wolą, zrobiły dwa kroki, kiedy Elizabeth starała się ustalić, w którym kierunku leci samolot.

- Myślisz, że to zobaczą? - spytała z napięciem.

- Nie wiem. Są dosyć daleko.

Przygryzła wargę, zmrużyła oczy i skoncentrowała się na odległej kropce, która z minuty na minutę robiła się coraz większa.

Przełknęła ślinę i z trudem powstrzymywała się od tego, żeby nie pobiec po śniegu na spotkanie samolotu. Obejrzała się przez ramię i spojrzała na Seta. Dostrzegła na jego twarzy różne emocje, jakby walczące o prymat - koncentracja, strach, nadzieja i zmęczenie. Cały czas błyskał lusterkiem, usiłując ustawić je pod jak najlepszym kątem, żeby zwrócić na siebie uwagę pilota.

Spojrząwszy kolejny raz na niebo, jęknęła, widząc, że samolot najwyraźniej lekko skręcił, kierując się ku odległemu pasmu gór.

- Cholera jasna! - zaklął Seth. - Tu jesteśmy! - wychrypiał. Z rozpaczą zaczął gwałtownie machać ręką.

Energia całkiem już opuściła ciało Elizabeth. Przygarbiła się i zamknęła oczy.

Znowu nie ma ratunku. Samolot był tak blisko i po raz kolejny zostawił ich na pastwę losu.

Po chwili otworzyła oczy i nadal patrzyła na niebo, a pod powiekami szczypały ją wzbierające łzy. Małeńki kształt zadrżał. Szybko wytarła oczy i rozprostowała ramiona.

Wtedy nagle w powietrzu rozległ się triumfalny okrzyk Seta.

- Widzieli nas, Lizzie! Widzieli nas!

Jedną ręką chwycił ją wpół i przyciągnął do siebie. Razem patrzyli, jak maleńki kształt staje się coraz większy i wyraźniejszy, a odległość między nimi a samolotem szybko się zmniejsza.

Usłyszeli ogłuszający hałas silnika, kiedy samolot zanurkował blisko ziemi, a następnie poderwał się w górę i wykręcił, manewrując tak, żeby ich lepiej widzieć. Niemal natychmiast odleciał w kierunku, z którego przybył, wcześniej mignawszy logo z nazwą firmy.

Seth porwał Elizabeth w ramiona i okręcił ją w koło.

- Udało się! Udało! Widzieli nas! Przyślą pomoc! Roześmiała się z wysiłkiem. Objęła go ramionami za szyję i Seth wirował wraz z nią, aż zaczęło się jej kręcić w głowie. Kiedy gwałtownie zatrzymał się, musiała oprzeć się o niego, żeby nie stracić równowagi.

- Myślisz, że jak długo to potrwa?

- Nie sposób powiedzieć... godzinę, może więcej. Wszystko zależy od tego, skąd będzie leciała ekipa ratunkowa.

- Ale przylecą?

- Tak. Przylecą. Wkrótce.

Uśmiechnęła się i odepchnęła od niego, żeby pobiec do samolotu.

- Tylko powiem Walshowi.

Szła na miękkich nogach, ale szczęście napełniło ją energią, która pozwoliła jej dość szybko wspiąć się do samolotu. Pobiegła na tyły maszyny i zawołała:

- Peter? Peter! Jest samolot! Samolot nas znalazł! Wkrótce nas uratują! Słyszysz mnie? Peter!

Kiedy jej wzrok padł na tylne fotele, zatrzymała się gwałtownie, a z jej ust wyrwał się niski, przypominający wycie okrzyk.

Krople krwi lśniły na kadłubie i na siedzeniach. A Walsh... Leżał na podłodze w kałuży własnej krwi, z ramieniem wykręconym na bok, a krople szkarłatu kapały z jego szyi na wykładzinę. Miał poderżnięte gardło.

Obok niego leżała pusta torba Elizabeth.

Frankie Webb zabrał resztkę ich zapasów.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Idziemy - powiedział stanowczo Seth. Rzucił w kierunku Elizabeth płócienny worek.

- Spakuj niedużo rzeczy. Tylko ubrania na zmianę i wszystkie skarpety, jakie zdołasz znaleźć. Będziemy też potrzebowali pojemnika na wodę, znajdź jakieś resztki jedzenia i weź flary.

- Co? - Poczwała, że ogarnia ją panika.

- Idziemy.

- Ale... ale samolot. Nie możemy teraz odejść. Nie teraz, kiedy wreszcie mają nas uratować.

- Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że Frankie Webb okaże się aż takim szaleńcem. On jest całkiem nienormalny, a jednocześnie diabelnie konsekwentny. Jeśli tu zostaniemy, nigdy nie pozwoli nam ujść z życiem. Udowodnił to aż nadto jasno. Frankie wie, że jeśliby został ponownie schwytany, z pewnością nie uniknąłby egzekucji. Postanowił więc sam zająć się zniszczeniem siebie. Niby z jakiego innego powodu miałby rozwalać latarnię kierunkową? To oczywiste. Webb od początku nie chciał, aby ktokolwiek z nas został uratowany. Mieliśmy wszyscy zginąć razem z nim i dlatego rozpoczął tę swoją grę drapieżnika... Widocznie czerpał przyjemność z tej zabawy w kotka i myszkę. Do czegoś takiego zdolny jest tylko człowiek chory psychicznie albo morderca, który nie ma już nic do stracenia...

Elizabeth, słuchając Seta, cały czas miała wrażenie, że jakaś ciemna mgła zasłania jej świat. Odetchnęła głęboko, zamrużyła kilkakrotnie i szeroko otworzyła oczy, chcąc odzyskać ostrość widzenia.

- Ale jeśli odejdziemy, nikt nie będzie wiedział, gdzie nas szukać. Znajdziemy się na łasce natury.

Ukląkł przed nią, a na jego twarzy pojawił się wyraz skupionej powagi.

- Wolę być na łasce natury. Wiem, jak walczyć ze śniegiem, zimnem i trudnymi warunkami w górach, ale zupełnie nie wiem, jak walczyć z podstępny mordercą. Nie mogę ryzykować, że zaskoczy nas we śnie.

- Ale nawet nie wiemy, dokąd idziemy.

- Odejdziemy stąd i wejdziemy na szczyt tej góry.

- Na sam szczyt?!

- Idąc w górę, minimy linię drzew. Zbierzemy drewno na opał i będziemy obserwowali okolicę. Jeśli zobaczymy jakiegokolwiek ślady ekipy poszukiwawczej, rozpalimy ognisko albo wystrzelimy flary i spróbujemy dać im znać, gdzie jesteśmy.

Plan brzmiał rozsądnie, ale myśl o wspinaniu się na górę była dla Elizabeth nie do zniesienia. W jednej chwili robiło się jej zimno, a w następnej gorąco. Jej skóra stała się lepka i rozpalona, ale nie powiedziała o tym Sethowi. Nie mogła. On nie powinien wiedzieć, że zaczynała się załamywać.

Seth ujął jej rękę.

- Nie mamy wyboru, Lizzie.

Przełknęła szybko, chcąc pokonać swój strach i popatrzyła na Seta, usiłując czerpać otuchę z jego obecności. Ręce, które jej dotykały, były suche i chłodne. Nad górną wargą Seta pojawiły się krople potu. Nagle Elizabeth zdała sobie sprawę, że nie tylko ona nie czuje się dobrze. Była pewna, że gdyby położyła rękę na czole Seta, jego skóra okazałaby się równie rozpalona jak jej.

Ale... czy mieli wybór? Frankie Webb był przecież niespełna rozumu. Niby dlaczego likwidował wszystkich pasażerów, jednego po drugim?

Skinęła głową, niechętnie wzięła torbę i powoli zaczęła wypełniać ją niezbędnymi rzeczami. Następnie, zgodnie z instrukcjami Seta, ubrała się w tyle warstw ubrania, ile się dało, włożyła też skórzane rękawice.

Zanim opuścili kryjówkę, Seth podszedł do niej i ujął jej twarz w swoje ręce.

- Pójdziemy powoli. Jeśli się zmęczysz, daj mi znać. Nie będziemy gnali, ale ten marsz i tak może się okazać niełatwy.

Skinęła głową.

- Najpierw skierujemy się na zachód. Na zachód? A gdzie był zachód?

- Nie chcę, żeby Frankie wiedział, co robimy, więc pójdziemy przez lasy, na razie kierując się na północ.

Elizabeth była bliska wyczerpania, jej odrętwiały umysł nie do końca rozumiał słowa Seta. Musiało to być widoczne, gdyż Seth przyciągnął ją do siebie i szepnął:

- Pamiętaj, cały czas trzymaj się blisko mnie. Będę przedzierał się przez śnieg i zrobię dla ciebie ścieżkę. Idź po moich śladach.

- Dam sobie radę. - Elizabeth ostatkiem sił uniosła dumnie brodę.
- Nie przejmuj się mną.

Czując jednak, jak z wyczerpania drżą jej nogi, zaczęła się zastanawiać, czy wypowiedzane słowa są równie słabe jak kolana.

Dopiero kiedy dotarli do miejsca, w którym stracił życie Michael Nealy, Elizabeth poddała się.

- Muszę odpocząć - jęknęła i opadła na kłodę drewna. Oddychając ciężko, oparła łokcie na kolanach.

Była chora. Nie dało się tego ukryć. Godzinami winiła za swój stan wysokość, zimno, ostry wiatr. Nie mogła już jednak zaprzeczyć temu, że po prostu była chora.

Czy powinna mu powiedzieć? Chciała się zmusić do dalszego marszu, ale dudniło jej w głowie, a całym ciałem wstrząsały dreszcze. Jeśli nie daje rady przedzierać się przez padający śnieg, jak zdoła wejść na szczyt góry?

Seth ukląkł koło niej.

- Masz ze sobą swój pistolet?

- Co?

- Pistolet. Masz go ze sobą? Elizabeth skinęła głową.

- Tak, ale...

- Gdzie jest?

Pogrzebała pod warstwami ubrań i wyciągnęła z kieszeni maleńki pistolet.

- Jesteśmy nieopodal miejsca, w którym Nealy spadł ze skały.

Zacząła trząść się jeszcze bardziej, teraz nie tylko z powodu wirusa, który ją zaatakował, ale także na wspomnienie tego, co wcześniej widziała.

- Nealy miał zapalniczkę. Pamiętasz?

Z trudem przypomniawszy sobie wieczór, kiedy wszyscy razem kłębili się w samolocie, a Nealy użył swojej zapalniczki, żeby zapewnić im choć minimalne źródło światła.

- Zamierzam mu ją zabrać.

Elizabeth złapała go za ramiona, kiedy zrozumiała, że chciał ją opuścić.

- Nie, ja...

- Nie przejmuj się. - Pogłaskał ją po policzku. - Nie będzie mnie tylko przez minutę, może dwie. Lód na krawędzi się rozpuścił i...

- Nie, błagam...

- Cii. - Pochylił się, by ucałować jej wargi. - Poczekaj tutaj na mnie. Miej oczy szeroko otwarte i trzymaj broń w pogotowiu. Obiecuję ci, że wrócę, zanim będziesz mnie potrzebowała.

Pomyślała, że przecież jest odważna. Zmusiła się, żeby skinąć głową. Zrobi to, czego chce Seth. Będzie taka, jaką jego zdaniem powinna być.

Seth wstał i rzucił na ziemię worek marynarski z nielicznymi przedmiotami, które uratowali przed Frankiem - z flarami, lusterkiem, zapalkami, ubraniami, gwizdkiem... I z książkami Willi. Elizabeth nalegała, żeby zabrali książki Willi.

- To potrwa tylko minutkę - obiecał powtórnie, po czym odwrócił się i podszedł do krawędzi.

Owinał sznur wokół pnia drzewa i wolno zaczął się spuszczać do przepaści.

Elizabeth nie potrafiła beczynnie siedzieć. Zerwała się na równe nogi i przeszła do miejsca, w którym zniknął Seth. Ignorując zawroty głowy i mdłości, zerknęła nad krawędzią, akurat w chwili, gdy Seth pokonywał ostatnie metry dzielące go od półki skalnej.

Zwłoki Michaela Nealy'ego wciąż leżały w tej samej pozycji. Cienka warstwa śniegu przykryła włosy i ubranie, ale nawet z tak dużej odległości Elizabeth widziała, że ciało jest całkowicie sztywne.

Nagle poczuła mdłości. Szybko przyłożyła rękę do ust, jednocześnie starając się oddychać głęboko. W myślach wciąż powtarzała: Nie zrobi mi się niedobrze. Nie teraz. Nie może teraz zrobić mi się niedobrze.

Ale kiedy Seth zdołał wreszcie odwrócić ciało i zobaczyła twarz trupa, poczuła tak silny ucisk w żołądku, że ostatkiem woli powstrzymała odruch wymiotny.

Puste oczy, które wpatrywały się w niebo, nie należały do Michaela Nealy'ego, lecz do Frankiego Webba.

Seth zaklął, cofnął się i stanął zgarbiony z rękami opartymi o kolana. Dopiero po kilku minutach wyprostował się i podjął trud wspinaczki.

Elizabeth czekała na Seta, wpatrując się w ciało i powtarzając sobie raz za razem, że na pewno ma halucynacje.

Frankie Webb?

A więc Frankie Webb przez cały ten czas był martwy. Ale jeśli to prawda... to oznaczało, że Michael Nealy nadal żyje.

Michael Nealy był mordercą...

- Seth? - odezwała się, kiedy wreszcie dotarł na górę i usiadł obok niej, usiłując złapać oddech. - Seth? Co tu się właściwie dzieje?

Potrząsnął głową. Jego twarz niepokojąco zbladła.

- Ja... ja nie wiem - wydyszał w końcu. - Ale wracamy. .. do samolotu.

Elizabeth wiedziała, że powinna się sprzeciwić. Powinna była zauważyć, że to wszystko jedno, kto próbował ich zabić - Frankie Webb czy Michael Nealy. Tak czy inaczej, nie byli bezpieczni.

Bolał ją jednak żołądek, brzuch i całe ciało. I miała pewność, że ani ona, ani Seth nie zdołają wspiąć się na szczyt. Co więcej, jeśli mają uzyskać jakieś informacje, powinni znaleźć się w miejscu, w którym zaczęły się te wszystkie tragiczne wypadki.

Przy samolocie.

Podczas wyczerpującego powrotu Elizabeth nie spuszczała wzroku ze ścieżki przed sobą. Nie mogła myśleć o zamarzniętym ciele Frankiego Webba ani o tym, co to dla nich oznaczało. Nie była nawet w stanie wyobrazić sobie, dlaczego Michael Nealy po kolei zabijał pasażerów.

Oddech uwiązał jej w gardle - to był na wpół szloch, na wpół jęknięcie. Nealy twierdził, że jedzie do Aruby na wakacje. Na wakacje... Więc dlaczego?

Krok za krokiem, metr za metrem, pokonali drogę powrotną. Elizabeth wkrótce zupełnie zubożniała na trudy wysiłku i zimno. Gdyby nie Seth, który bez wytchnienia prowadził ją przed siebie i wspierał na duchu, dawno upadłaby gdzieś po drodze.

Tak gorliwie starała się o niczym nie myśleć, że szła jak automat, i nie zauważyła, jak Seth się zatrzymał. Wpadła na jego szerokie plecy i oboje przewróciliby się na śnieg, gdyby Seth nie złapał jej za rękę. I właśnie wtedy ujrzała, co sprawiło, że zatrzymał się tak nagle. Koło samolotu, grzebiąc gorączkowo w śniegu, kręcił się Michael Nealy.

Chyba musiał jakoś wyczuć ich obecność w pobliżu, bo odwrócił się, spojrzał na nich, po czym zignorował ten fakt i powrócił do kopania.

- Niech cię szlag, Nealy! - krzyknął Seth i skoczył w kierunku mężczyzny.

Elizabeth stała jak sparaliżowana, a kiedy otrząsnęła się z odrętwienia i zdolna była jakoś zareagować, obaj mężczyźni już

tarzali się w śniegu. Odgłosy uderzeń pięści rozbrzmiewały w jej uszach.

Przerazona, podbiegła do nich i usiłowała wejść pomiędzy walczących. Nealy jednak odskoczył na bok, podniósł jakiś metalowy pręt i zamachnął się na nią. Kawał metalu poprzez kilka warstw ubrania boleśnie ugodził ją pod łopatką. Poczowała palący ogień na plecach i nagle zakręciło się jej w głowie. Upadła na kolana.

Miała wrażenie, że Seth biegnie do niej z bardzo dużej odległości. Gdy nareszcie znalazł się tuż obok niej, chwycił ją w ramiona, a ona natychmiast poczuła bolesny ucisk jego dłoni na swoich plecach.

Ku jej zdumieniu, Nealy nie wykorzystał tej okazji, żeby zaatakować. Opadł na kolana i znowu rozpoczął swoje gorączkowe poszukiwania.

Elizabeth nagle zdała sobie sprawę, że Nealy cierpi na tę samą chorobę, która dotknęła większość pasażerów. Ma dreszcze i gorączkę, a jego twarz jest spocona i blada.

Nagle usłyszała chrapliwy, ale radosny okrzyk Nealy'ego i zobaczyła, że właśnie odkrył pod stosem odłamków swój zamrożony plecak.

Nealy zaczął szarpać za zamek i zaszłochał, kiedy plecak nie chciał się otworzyć. W końcu udało mu się rozsunać zamek na tyle, żeby wyjąć z plecaka pogniecione pudełko, a z niego małą szklaną fiolkę. Kiedy wyciągał owiniętą w plastik strzykawkę, jego ręce bardzo drżały, chyba dlatego rozerwał plastikowe opakowanie zębami.

Seth nagle wstał, wypuszczając z objęć Elizabeth, która osunęła się na śnieg. Poczowała ogromny ból w plecach, gdy upadała na ziemię. Ale nie chciała krzyknąć, aby Nealy nie zorientował się, że Seth się do niego zbliża. Przygryzła wargę i patrzyła, jak Nealy przymocowuje do fiolki cienką igłę i czeka, aż przejdą mu dreszcze, żeby wyciągnąć z fiolki przezroczysty płyn.

Nie dostrzegł zbliżającego się Seta, który w biegu zdążył wyjąć pistolet i zniemacka kopnął Nealy'ego w rękę, przez co fiolka i strzykawka upadły na ziemię.

- Narkotyki?! - zawył Seth. - Zabiłeś tych wszystkich ludzi dla narkotyków?!

Nealy usiłował rzucić się w kierunku strzykawki, ale Seth strzelił ostrzegawczo w ziemię, wzbijając śnieg tuż przy jego twarzy.

- To nie narkotyki! - krzyknął Nealy, po czym skulił się i zaczął histerycznie szlochać.

Zanim Seth zdążył zareagować, Nealy znowu skoczył w kierunku strzykawki, a jego ręce zaczęły nerwowo grzebać w śniegu, aż w końcu ją znalazł. Kiedy jednak odkrył, że igła jest złamana, zaszlochał głośno.

- Niech cię szlag! Niech cię szlag! Zabiłeś nas wszystkich, rozumiesz? Wszystkich! - powiedział, wycierając łzy, które spływały mu po policzkach.

Seth patrzył na mężczyznę ze zdumieniem.

Nealy opadł w śnieg i nagle jego rozpacz zamieniła się w dzikie wybuchy histerycznego śmiechu.

- Wszyscy umrzemy! Wszyscy! Ale to nie katastrofa samolotu nas wykończy! I nie żywioły natury... To byłoby zbyt dobre... zbyt miłosierne...

Seth złapał go za kołnierz i postawił na nogi.

- O czym ty, u diabła, mówisz?

- To ja go odkryłem! Ja! Ale czy ktoś powiedział, że udoskonalenie mutacji to moja zasługa? Nie. Ukradli moją pracę. Ukradli ją.

Seth ściągnął brwi i potrząsnął Nealym.

- Cholera, to nie ma żadnego sensu. Nie rozumiem, o czym mówisz! Co ci ukradli?

Na twarzy Nealy'ego pojawił się wyraz ogromnego smutku i goryczy.

- Odkryłem wirus. To był taki eksperymentalny wirus... - Nealy urwał, jakby mu tchu zabrakło.

Elizabeth zebrała w sobie całą energię, jaka jej została i z dużym wysiłkiem podniosła się. Dopiero po chwili wolno ruszyła w kierunku mężczyzny.

Nealy wziął głęboki oddech i znużonym, cichym głosem zaczął mówić.

- Pracowałem w tajnej rządowej komórce badawczej. Miałem pracować nad antidotum dla wirusów klasy czwartej, takich jak AIDS. - Objął się rękami w pasie i zakołysał. - Kiedy jednak natrafiłem na mutację, byłem pewien, że nadszedł mój wielki dzień... że napiszą o mnie we wszystkich gazetach...

Seth puścił kołnierz Nealy'ego i mężczyzna, jak szmaciana lalka, bezwładnie osunął się na śnieg. Z jego piersi wydobył się krótki, urywany szloch. Dopiero po chwili zaczął znów opowiadać:

- Niestety, moi pracodawcy nie okazali się tak liberalni, jak się spodziewałem. Byli przerażeni konsekwencjami odkrycia tak potężnego wirusa... - Znowu urwał, jakby się dusił. Zacerpnął powietrza i zadrżał. - Tak więc... kiedy zaproponowano mi trzy miliony dolarów za kradzież próbki dla konkurencyjnej firmy... zgodziłem się.

Wirus! Zostali zarażeni potężnym, nieznanym wirusem... Seth spojrzął na Elizabeth z nadzieją, że nie dotarła do mej ta straszna prawda, że nie rozumie, o czym mówi Nealy... Niestety, przerażenie malujące się na jej twarzy nie pozwoliło mu już dłużej łudzić się. Elizabeth rozumiała, o czym mówi Nealy.

- I sprowadziłeś to... na pokład mojego samolotu? Jak śmiałeś! - na twarzy Seta malował się wielki gniew.

Nealy wyciągnął przed siebie rękę w obronnym geście.

- To nie powinien być żaden problem. Wirus był prawidłowo przechowywany i prawidłowo zabezpieczony. Gdyby nie ten wypadek, nigdy byś się nie dowiedział... Jednak samolot spadł, a mój plecak wyleciał razem z tym agentem... Znalazłem rozbite pudełko obok niego...

- Obok Caldwell'a? - zapytał Seth. Nealy skinął głową.

- A więc to ty go zabiłeś?

- Nie. Ja okazałem mu litość. To śmiertelny wirus. Po kontakcie z otwartymi ranami zabija w ciągu kilku godzin. Po zarażeniu drogą kropelkową śmierć przychodzi później, czasem dopiero po tygodniu. - Roześmiał się gorzko, histerycznie. - Po strasznych męczarniach... Drgawki, krwawienie wewnętrzne, zniszczenie najważniejszych organów, demencja. To tylko kwestia czasu... czasami kilku godzin...

- A więc śmierć Kowalskiego... - zaczął Seth. Nealy potrząsnął głową.

- Nie! Facet przewrócił się na odłamki... przewrócił się na nie...

- A Willa Hawkes?

- Była już niemłoda... bardzo osłabiona. Kiedy zaczęła kaszleć, musiałem się nią zająć, żeby nie zaraziła innych. Wirus przenosi się przez powietrze dopiero po dwudziestu czterech godzinach od znalezienia żywego organizmu. Potrzebowałem czasu, żeby uciec z

samolotu... - Zaszlochał, po czym zaczął spazmatycznie kaszleć. - Gdybym tylko nie włożył tego antidotum do bagażu umieszczonego w luku pokładowym. .. gdybym...

A więc dlatego Nealy'emu tak zależało na znalezieniu swoich bagaży, uświadomiła sobie Elizabeth.

- Już po upływie pierwszego dnia nie mogłem sobie pozwolić na to, żeby dłużej pozostawać na tym obszarze. Byłem jednak pewien, że lada chwila zaczniecie szukać bagażu...

Tak więc czekałem i przyglądałem się wam... ale po... po... - znów urwał i zaniósł się spazmatycznym szlochem.

- Po czym? Po zabiciu Frankiego Webba? - Seth patrzył na niego z coraz większym gniewem w oczach.

- Ten człowiek to bestia. I tak miał zostać stracony. Oszczędziłem tylko pieniądze podatników za czas jego odsiadki w więzieniu... Śmierć tego psychopaty dała mi trochę czasu i swobody...

- Skrzywił się. - Kiedy jednak inni pasażerowie zaczęli wykazywać objawy choroby, musiałem coś zrobić, jakoś się ratować...

- A więc ich zabiłeś - wyszeptała Elizabeth.

- Wolę termin... eutanazja. Proszę mi wierzyć, panno Boothe, oszczędziłem im tylko okropnych cierpień w czasie długiej agonii, która by ich nie ominęła.

- A nas postanowiłeś przestraszyć. Po to, żebyś mógł podjąć poszukiwania - zauważył z goryczą Seth. - Dlaczego nie powiedziałeś nam wszystkim prawdy?

Nealy wykrzywił wargi.

- Miałem tylko jedną próbkę antidotum i nie zamierzałem się nią dzielić. - Zachichotał histerycznie. - Gdyby ten sukinsyn Frankie Webb nie zniszczył latarni kierunkowej, być może nie musiałbym nikogo zabijać. Ale zniszczył jedyną nadzieję na to, że ratunek przyjdzie na czas, więc musiałem przedsięwziąć drastyczne kroki, żeby przynajmniej sobie zapewnić przetrwanie.

Zerknął na złamaną igłę i rzucił strzykawkę z antidotum w śnieg.

- Ale to wszystko na nic. Na nic! - Nagle skoczył do przodu i wyrwał pistolet z ręki Setha.

Seth zaklął i odskoczył na bok, przewracając Elizabeth w śnieg i nakrywając jej ciało własnym.

Na polanie rozległ się odgłos wystrzału.

Elizabeth zaszlochała, a potem wokół zapanowała śmiertelna cisza.

- Seth? - wyszeptała nagle, przestraszona, że została sama. Przestraszona, że ostatnie godziny życia spędzi bez ukochanego mężczyzny.

Usta Seta dotknęły jej ucha.

- Tu jestem - usłyszała cichy, łagodny szept. - Nealy strzelił do siebie, nie do nas.

Elizabeth nie potrafiła już dłużej opanować szlochu, który wzbierał w jej piersiach. Wtuliła się w ramiona Seta i zaczęła głośno łkać.

Tyle się wydarzyło - ponowne spotkanie z Setem, katastrofa samolotowa, walka o przetrwanie, śmierć i zniszczenie - i to wszystko miało teraz pójść na marne?

Czy przyjdzie obojgu umrzeć na tym szczycie?

Nagle dudnienie wypełniło jej uszy, zastanawiała się, czy zdoła na tyle długo zachować przytomność umysłu, żeby powiedzieć to, co powinna powiedzieć.

- Seth?

- Tak, kochanie?

- Kocham cię. Przepraszam, że nie dałam żadnej szansy naszemu małżeństwu...

- Cicho.

- Nie, muszę ci to powiedzieć. Muszę...

Przerwała, kiedy dudnienie zrobiło się głośniejsze i wyraźniejsze.

Ten hałas chyba nie pochodził z jej głowy... On był gdzieś na zewnątrz...

To helikopter.

Przybyła ekipa ratunkowa.

Nareszcie.

Seth patrzył z rozpaczą, jak Elizabeth traci przytomność. Raz za razem powtarzał słowa otuchy, ale nawet nie wiedział, czy pamiętała o samolocie, który ich zauważył, o nadziei na rychły ratunek. Powtarzał, że pomoc jest już w drodze, ale jej ciało stawało się coraz bardziej bezwładne, a twarz śmiertelnie blada.

W końcu, kiedy zaczął się obawiać, że straci ją na tej przeklętej górze, usłyszał odległy warkot helikoptera.

Zebrawszy resztki sił, dźwignął Elizabeth i niosąc ją na rękach, przeszedł kilka metrów w kierunku polany, gdzie maszyna zamierzała wylądować. Przebył zaledwie połowę drogi i upadł. Ostrożnie położył kobietę obok siebie i czekał, ciężko oddychając.

Czekał na ratunek. Już nie miał sił iść dalej.

Helikopter wylądował, wznecając tumany śniegu.

Seth z trudem dostrzegł majaczące w oddali jakieś ciemne kształty. Mrucząc słowa pociechy do ucha Elizabeth, czekał, aż zbliżą się do nich sanitariusze.

Odrzucił ich pomoc, pokazując ręką, że najpierw powinni zająć się kobietą leżącą obok niego. Następnie, wyrywając się z czyichś rąk, które usiłowały go powstrzymać, ruszył w kierunku miejsca, gdzie leżał Nealy. Padł na kolana i gorączkowo zanurzał dłonie w śniegu, aż trafił na strzykawkę i fiolkę. Przetoczył się na plecy i dopiero teraz pozwolił, aby czyjeś niewyraźne twarze pochyliły się nad nim i czyjeś mocne ręce dźwignęły go z ziemi.

Poczuł, że nadciąga noc i zdołał tylko wyszeptać:

- Jesteśmy... zarażeni... musimy... wziąć... antidotum... to bardzo groźny wirus... zabije nas... ta strzykawka. .. to antidotum...

I nagle cały świat pogrążył się w ciemności.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Elizabeth obudziła się i ujrzała biel, tak jaskrawą, że aż widoczną pod powiekami. Zamrugła i czekała, aż zacznie coś dostrzegać. Leżała w oszołomieniu, usiłując zrozumieć, co się stało.

Żyła. Przeżyła.

Przecież nie mogła z niczym pomylić zapachu środka dezynfekującego, szorstkości pościeli i monitorów przy łóżku, a także telewizora stojącego na półce przymocowanej do ściany.

Jakimś sposobem trafiła do szpitala.

I żyła.

Oderwała wzrok od olbrzymich drzwi prowadzących na jasnoróżowy korytarz. Powoli obróciła głowę w lewo, chcąc zobaczyć, co znajduje się po jej drugiej stronie. Było tam duże okno z widokiem na parking. W oddali malowały się wysokie górskie szczyty zalane słońcem. Pod oknem stał stolik, na nim wazon kwiatów. A obok krzesło.

W kącikach jej ust pojawił się uśmiech, kiedy ujrzała mężczyznę siedzącego na krześle. Miał rozczochrane, spłowiałe od słońca włosy i lekko zarośniętą szczękę. Ubrany był w mało twarzowy szpitalny szlafrok nałożony na burą piżamę. Mimo to Elizabeth pomyślała, że chyba nigdy nie widziała piękniejszego widoku od tego - Seth Brody śpiący obok na krześle...

Skrzypienie czyichś gumowych podeszew zmusiło ją do odwrócenia wzroku od Seta. Do pokoju weszła pielęgniarka, pchając przed sobą wózek na kółkach.

- Dzień dobry - powiedziała cichym głosem, nie chcąc zapewne budzić śpiącego mężczyzny. Była w średnim wieku, miała pulchne, różowe policzki i krótkie, brązowe włosy. W jej oczach widać było prawdziwą radość. - Jak to miło, że wróciła pani do nas.

- Jak długo... - Elizabeth urwała i odchrząknęła, gdyż z jej ust wydobyło się tylko chrypienie.

Pielęgniarka pochyliła się i poklepała ją po ręce. Elizabeth zauważyła, że na jej identyfikatorze napisane było imię: Madge.

- Była pani nieprzytomna przez prawie trzy dni. - Sprawdziła kroplówkę i wsunęła aparat do pomiaru ciśnienia na rękę Elizabeth. - A on tu był prawie przez cały czas - wskazała ręką na śpiącego Seta. - I to wbrew zaleceniom lekarza, jeśli mam być szczerą - ciągnęła Madge, najwyraźniej biegła w sztuce zagadywania pacjentów.

Zamilkła na chwilę, żeby zmierzyć ciśnienie, po czym odłożyła na bok aparat. - Właściwie to dotąd nasz szpital jeszcze nie miał okazji leczyć takich sław.

Elizabeth potrząsnęła głową.

- Nie wiem, o czym pani mówi - szepnęła, zmuszając swoje struny głosowe do pracy.

- No jasne! A skąd niby miałyby pani wiedzieć? - Madge wyjęła ze swojej przepastnej kieszeni elektroniczny termometr i podała go pacjentce. - Przecież pani w ogóle nie śledziła tego całego zamieszania, prawda?

Elizabeth nie wiedziała, czy oczekuje od niej odpowiedzi na tak zadane pytanie, zwłaszcza kiedy miała termometr w ustach. Milczała więc z nadzieją, że i tak zaraz wszystkiego się dowie od tej gadatliwej pielęgniarki.

I nie zawiodła się, bo Madge od razu zaczęła cicho opowiadać:

- Mniej więcej wtedy, kiedy zniknął wasz samolot, kablówka zaczęła się ekscytować wiadomością, że z ośrodka badawczego w Utah został ukradziony wirus, wyhodowany tam eksperymentalnie.

W Utah. Gdzie więc teraz była?

- Tak czy owak, historia nabrała rumieńców, kiedy odkryli, że główny podejrzany o kradzież wirusa kupił bilet na samolot, który podczas burzy spadł gdzieś w górach.

Madge zanotowała coś w swoim notesie, po czym wzięła stojącą obok tackę śniadaniową i ustawiła ją na kolanach Elizabeth.

- W pokoju pielęgniarek mam sok. Przyniosę go teraz, a potem zamówię dla pani jakieś prawdziwe śniadanie - powiedziała i westchnęła. - Na czym to ja stanęłam? A tak. Już wiem. Kilka dni temu nie puszczali w lokalnej telewizji niczego innego, tylko cały czas podawali informacje, że wreszcie zlokalizowano wrak. Reporterzy pojechali tam razem z ekipą ratunkową, więc wszystko nagrali. - Potrząsnęła głową. - Co za tragedia. Muszę pani powiedzieć, że pierwsze zdjęcia były wprost szokujące... Szokujące. Osobiście nie przypuszczałam, że znajdą kogoś żywego... i to wcale nie ze względu na ten wirus. Nie wyobrażałam sobie, że można przeżyć taką katastrofę. A kiedy kamery pokazały mężczyznę, który leżał w kałuży własnej krwi... - Urwała i zamilkła na moment. Dopiero po chwili dodała: - Wydaje mi się, że nie powinno się pokazywać takich rzeczy, nawet w telewizyjnych wiadomościach. To zbyt drastyczny widok.

Madge odwróciła się i wzięła z wózka plastikowy dzbanek. Podeszła do umywalki i napełniła go wodą, po czym z powrotem postawiła dzbanek na wózku. Następnie zdjęła plastikowe opakowanie z wielkiego kubka z logo szpitala i też nalała do niego wody.

- Dopiero kiedy helikopter wylądował na szczycie tej góry, wiadomo było, czy ktoś ocalał. - Poprawiła poduszki Elizabeth i wyrównała kołdrę. - Reporterzy wszystko sfilmowali. Siedziałam z dziewczynami w pokoju pielęgniarek i wszystkie widziałyśmy tego młodego, przystojnego człowieka - wyciągnęła rękę, wskazując na Seta - jak usiłował biec w kierunku helikoptera, trzymając panią w ramionach... - Chyba zabrakło jej tchu z podniecenia, bo na moment przerwała. - Nie umiem pani powiedzieć, co wtedy czułam, ale pamiętam, jak serce ścisnęło mi się w piersi na ten widok. I kiedy ten młody człowiek zobaczył, że sanitariusze umieścili już panią na noszach, nie pozwolił sobie pomóc... tylko natychmiast pokuśtykał w stronę wraku...

Madge zawahała się, czy mówić dalej, po czym zniżyła głos i pochyliła się nad Elizabeth, jak gdyby nie chciała, żeby jej słowa doszły do uszu Seta.

- Osobiście uważałam, że chyba postradał rozum, uciekając przed ratownikami. Widziałam, jak próbował ich wyminąć, a kiedy chcieli go zatrzymać, po prostu wyrwał się im, padł na kolana i zaczął grzebać w śniegu. Nawet komentator telewizyjny był pewien, że to zachowanie może wskazywać na ostatnie stadium choroby spowodowanej przez tego śmiertelnego wirusa. Dopiero później wszyscy przekonaliśmy się, że był w pełni świadomy tego, co robi. On rozpaczliwie szukał strzykawki z antydotum... - W oczach pielęgniarki zalśniło współczucie. Westchnęła głęboko i powiedziała z ogromnym przekonaniem w głosie: - Gdyby nie on, oboje byście już nie żyli. Ratownicy w drodze do szpitala podali wam to antydotum, a kiedy lekarze opisali próbkę w ośrodku badawczym, do szpitala dostarczono kolejną porcję. - Westchnęła z zadowoleniem i wskazała palcem na śpiącego Seta. - Czuwa tu nad panią wyjątkowy mężczyzna... prawdziwy bohater.

W tym momencie obie spojrzały na Seta i zauważyły, że jego powieki lekko drżą, tak jakby ostatnie zdanie dotarło do niego i usilnie próbował się obudzić. Nagle otworzył oczy i całkiem przytomnie spojrzął na Elizabeth, a potem na pielęgniarkę.

- Pójdę przynieść pani sok, moja droga - szepnęła Madge i wychodząc z pokoju, serdecznie uśmiechnęła się do Seta.

Cisza, która zapadła po wyjściu pielęgniarki, była naładowana rosnącą świadomością tego wszystkiego, co zdarzyło się od chwili, w której Elizabeth po raz ostatni widziała Seta. Teraz patrzyła na niego w skupieniu, przypominając sobie, jak wyznała mu miłość na chwilę przed tym, gdy straciła przytomność.

Nagle wydało jej się strasznie ważne, by uwierzył w szczerą jej słów. Naprawdę tak myślała, kiedy to mówiła, a teraz kochała go jeszcze bardziej.

- Seth, ja... - szepnęła.

Uśmiechnął się i usiłował podnieść się z krzesła, ale gestem ręki nakazała mu, aby nie wstawał.

- Siedz tam, proszę... Nie ruszaj się z miejsca. Jest parę rzeczy, które muszę ci powiedzieć i nie wiem, czy zdołam się skupić, jeśli będziesz siedział obok mnie i przerywał mi... - Przygryzła wargę, popatrzyła na swoje dłonie i zaczęła nerwowo zwijać skrawek poszwy. - Chciałam... Chciałam, żebyś wiedział, że nasze małżeństwo rozpadło się z mojej winy... Teraz, z perspektywy czasu, jestem tego pewna. Wiem, że zachowywałam się źle, a czasami wręcz dziecinne. I nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Tyle rzeczy powinnam była zrobić, a nie zrobiłam... Powinnam okazywać większą wyrozumiałość... i być bardziej otwarta na zmiany. A przede wszystkim powinnam była więcej rozmawiać z tobą o uczuciach. - Odetchnęła głęboko. - Teraz wiem, że źle robiłam, nie mówiąc ci, jak bardzo cię kocham. Nie chciałam dzielić się z tobą ani uczuciami, ani słowami o miłości. Załedwie napomykałam o moim uczuciu do ciebie, ale nigdy nie powiedziałam ci ani nie okazałam, jak jest wielkie. Co gorsza, sama nie ufałam sobie... a raczej... swoim uczuciom. Nie wiedziałam, czy są trwałe...

Elizabeth zagryzła wargę i opuściła wzrok na kołdrę, obawiając się spojrzeć w oczy Seta. Nie wiedziała, co może w nich wyczytać.

- Nie wiem, dlaczego się tak zachowywałam. Może dlatego, że będąc w tyłu rodzinach zastępczych, często słyszałam wyznania miłości, ale bez pokrycia. Zaczęło mi przeszkadzać to, że niektórzy mówią: „kocham cię” równie niedbałym tonem, jakim mówi się na przykład... o pogodzie. Nigdy nie wierzyłam w takie słowne manifestacje uczuć i chyba nigdy nie wierzyłam w trwałość własnych

uczuciu. - Wzruszyła ramionami. - A kiedy dowiedziałam się, że rezygnujesz z pracy i zacząłeś nalegać, abyśmy oboje przenieśli się na Zachód, wzięłam to za dowód twojego zmęczenia mną i pomyślałam, że nasze małżeństwo nie ma szans na przetrwanie.

Przełknęła ślinę, żeby uwolnić się od kuli w gardle.

- Myliłam się - dodała. - Bardzo się myliłam.

- Nie tylko ty kiepsko sobie radziłaś, Lizzie - powiedział szybko Seth. - Związaaliśmy się tak pośpiesznie. Powinniśmy dać sobie więcej czasu na przyjrzenie się naszemu związkowi. Myślę jednak, że już wtedy miałem ochotę wyjechać na Zachód, a ponieważ nie chciałem cię stracić, więc nic nie mówiłem o moich planach. Powinienem być lepiej wszystko przemyśleć... Nasze małżeństwo już na samym początku natrafiło na przeszkodę. Nie wiedziałaś, że wykonuję pracę, której nie lubię i prowadzę styl życia, który wydaje mi się ograniczający i denerwujący. Nie umiałem albo może nie chciałem rozmawiać z tobą o tym. Więc nie zastanawiałem się długo i z wielką radością przyjąłem pracę pilota oblatywacza, nawet się z tobą nie konsultując... Może dlatego, że podejrzewałem, iż ci się to nie spodoba...

Seth podniósł się z krzesła, wolno podszedł do Elizabeth i siadł na skraju łóżka.

- Wiem, że może nie jest to najlepsza chwila na tego typu rozmowy. Jesteś słaba, zmęczona i głodna. Ale zanim pozwolę ci odpocząć, chcę, żebyś wiedziała, co czuję. Naprawdę.

Ujął ją za rękę i splótł ich palce.

- Kocham cię, Elizabeth. Kochałem cię od samego początku naszej znajomości i nadal cię kocham. Nie chcę żyć bez ciebie. Chcę mieć żonę, dom, rodzinę, ale tylko z tobą. Wiem jednak, że potrzebujesz czasu na podjęcie tak poważnej decyzji. Proszę cię tylko o to, żebyś się nad tym zastanowiła i zgodziła się zjeść ze mną kolację, umówić na randkę albo dwie, jak zechcesz. Potem pojedę za tobą do Nowego Jorku. Nawet jeśli będę musiał zrezygnować ze wszystkiego...

Elizabeth słuchając wyznań Seta, powoli odsuwała od siebie wszelkie wątpliwości. Przeżyła katastrofę samolotu i to doświadczenie nauczyło ją, że życie jest bardzo kruche. Byłaby idiotką i zmarnowałaby wielką szansę na miłość, gdyby nadal upierała się iść wcześniej obraną drogą. Zrobiła karierę zawodową, ale za jaką cenę!

Chyba nie powinna już dłużej zajmować się swoją karierą u boku takiego pracodawcy, który nie budził jej szacunku. A przede wszystkim nie wolno jej zignorować szansy, jaką otrzymała od losu - by żyć z mężczyzną, którego kochała i zacząć wszystko od początku. Od tej chwili. Od tego właśnie miejsca.

Zarzuciła ręce na szyję Setha i przyciągnęła go do siebie. W tej samej chwili uświadomiła sobie, że nie ma już żadnych wątpliwości co do trwałości ich związku. Seth okazał jej na wiele sposobów, jak bardzo ją kocha - nawet chciał poświęcić dla niej życie.

Uniosła głowę i ujęła jego twarz w swoje ręce, po czym pocałowała go. Najpierw miękko, delikatnie, a po chwili z całą namiętnością, na jaką było ją stać w tym momencie. Dopiero kiedy obojgu zabrakło powietrza, puściła go, opadła na poduszkę i z przekornym uśmiechem na twarzy powiedziała:

- No dobrze. Zgadzam się na kolację. Randka też byłaby miła. Ale wolałabym raczej wyjść za ciebie za mąż. Dragi i ostatni raz. Już na zawsze.

Na twarzy Setha malowała się teraz ogromna radość, a spojrzenie jego niebieskich oczu było pełne ciepła i miłości.

- Trzymam cię za słowo - powiedział i uśmiechnął się do Elizabeth.

- Mam nadzieję. - Przyciągnęła do siebie ukochanego, aby go jeszcze raz pocałować. - Mam nadzieję.